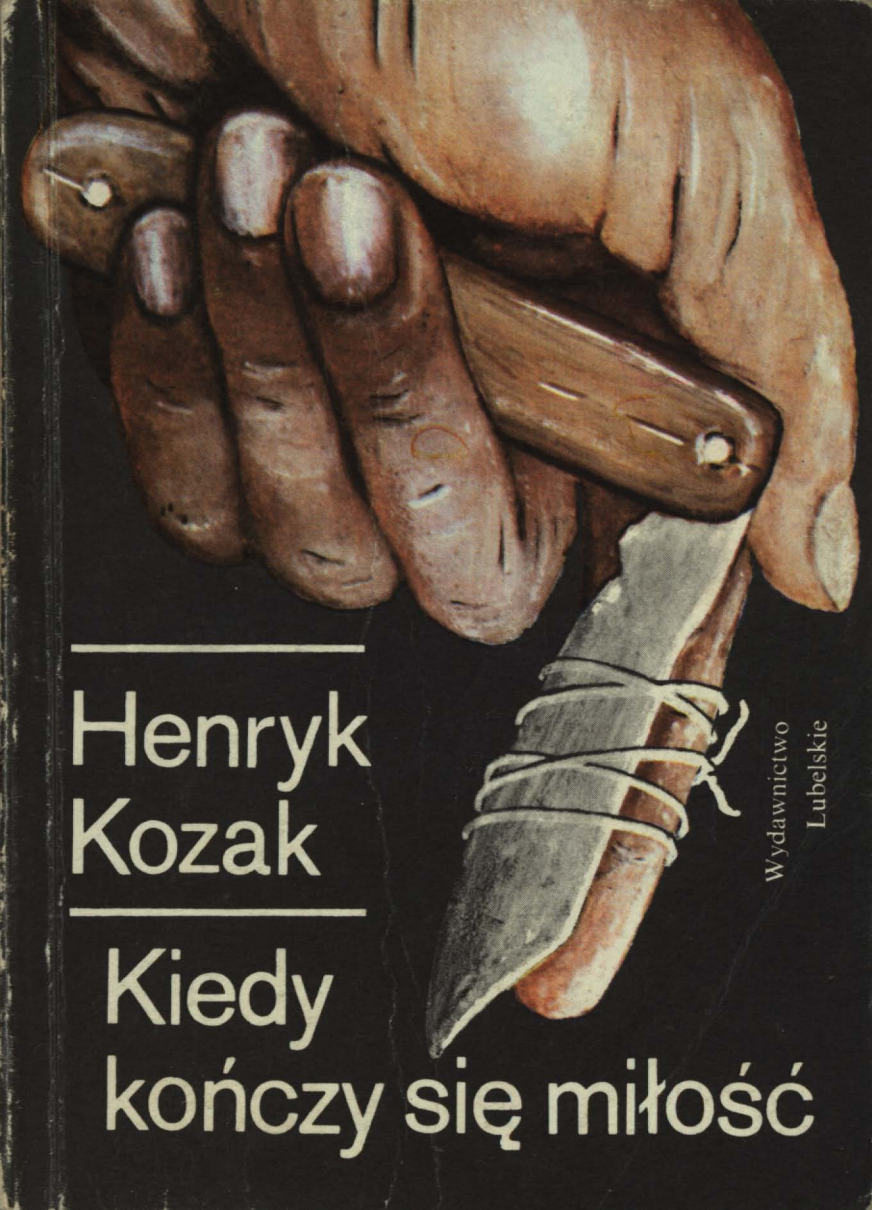




Henryk
Kozak

Kiedy
kończy się miłość

Wydawnictwo
Lubelskie

KIEDY
KOŃCZY SIĘ
MIŁOŚĆ

Henryk
Kozak

Kiedy

kończy się

miłość

Wydawnictwo
Lubelskie

Henryk Kozak

Opracowanie graficzne
Mirosław Zdrodowski-Zdrozdowski

*Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska*



5 152568000000



XIII B kół
REGIONALIA

96488

884-3

XIII B.2

ISBN 83-222-0539-2

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie,
Lublin 1988

Wrześniowe niebo z wolna pokrywało się chmurami. W pokoju pociemniało, w firankach zatrzepotał wiatr. Hanka Kozicka wstała zza biurka i wolno podeszła do okna. Wsparła się dłońmi o parapet i przymknęła oczy. Stała tak nieruchomo, w rozmarzeniu przez kilka minut. Myślała o kończącym się lecie, o urlopie spędzonym nad Morzem Czarnym i o tym, że w przyszłym roku także pojedzie do słonecznej i gościnnej Warny.

Z zadumy wyrwał ją głos koleżanki:

— Hanka! Bądź tak dobra i zapal światło!

Odwrociła się i powoli ruszyła w kierunku drzwi. Włączyła kontakt i zatrzymała się przy biurku pracującej w skupieniu przyjaciółki.

— Krycha! — powiedziała. — Czy ty wiesz, że dzisiaj kończy się lato? Że w tym roku nie wykąpiemy się już w jeziorze, że nie będziemy się opalać, chodzić boso po plaży? No, odezwijże się! — dodała po chwili z udanym zniecierpliwieniem.

Sierakowska podniosła głowę znad biurka, poprawiła ciemne okulary i uśmiechnęła się smutno.

— Wiem, wiem — odrzekła. — Od świtu tylko o tym bębnią w radiu. A ty weź się lepiej do roboty! — poradziła i westchnąwszy wróciła do swoich papierów.

Kozicka wzruszyła beztrosko ramionami.

— Jeszcze zdążę — mruknęła niegrzecznie i tanecznym krokiem popłynęła w stronę okna.

Lato dogorywało. Słońce z trudem przebijało się przez ciemne chmury, wzmagał się wiatr. Szarpał smukłymi topolami, rosnącymi na obrzeżach obszernego, fabrycznego placu, wznicał tumany kurzu, gonił liście. Zewsząd napływała jesień.

Kozicka znów pograżyła się w melancholijnej zadumie. Nagle na drodze dojazdowej do zakładu spostrzegła milicyjną nysę. Samochód zatrzymał się przy portierni i wysiadło z niego dwóch młodych milicjantów. Przez kilka chwil stali rozglądając się dookoła, jakby nie wiedzieli dokładnie, w którą stronę mają się udać, wreszcie ruszyli ku budynkowi, gdzie mieściła się dyrekcja zakładu. Kozicka odchyliła firankę, aby przyjrzeć im się dokładniej, nie rozpoznała jednak w nich żadnego ze swoich znajomych. Pospieszenie wróciła za biurko. Zapaliła papierosa, następnie wyjęła z szuflady lusterko i poprawiła makijaż. Miała dwadzieścia osiem lat, ale wyglądała znacznie młodziej. Szczupła, średniego wzrostu, o blond włosach, miłej i ładnej twarzyczce, była ozdobą biura.

— Krysiu! — zagadnęła uśmiechając się przymilnie. — Powiedz mi, czy coś ciekawego zdarzyło się w mieście podczas mojej nieobecności?

Sierakowska odgarnęła z czoła ciemne loki.

— Nie, nic! — odparła po chwili zastanowienia. — A dlaczego pytasz?

— Bo wyobraź sobie, że przed minutą widziałam na placu przed biurowcem dwóch milicjantów. Wydaje mi się, że poszli do dyrektora.

— Pewnie znów podpadł któryś z kierowców — wyraziła przypuszczenie Sierakowska. — A może przyszli jeszcze raz w sprawie Pawła Kowalskiego — dorzuciła.

Kozicka drgnęła.

— Pawła? A co to za sprawa? — zapytała szybko.

Sierakowska odsunęła papiery na brzeg biurka.

— To ty nic nie wiesz? — zdziwiła się szczerze.

— Nie! Czy coś się z nim stało? — zapytała ze źle maskowaną obojętnością w głosie.

Sierakowska z niedowierzaniem przyjrzała się koleżance.

— On nie żyje! — powiedziała. — W sobotę o świcie na szosie pod Piotrkowem znaleziono jej zwłoki. Mówią, że to był wypadek drogowy.

Kozicka zbladła. Jej niebieskie oczy momentalnie zaszkliły się łzami.

— A co z jego żoną? — zapytała po chwili niepewnym, drżącym głosem.

— A co ma być? Rozpacza biedaczka! Ale to dziwne! — Sierakowska zamyśliła się na moment. — O ile dobrze wiem, jesteście serdecznymi przyjaciółkami i ty mówisz, że o niczym nie wiedziałaś!?

Kozicka ukryła twarz w dłoniach. Poczuła się dotknięta uwagą koleżanki. Nie dała jednak tego poznać po sobie.

— Kiedy odbył się pogrzeb? — zapytała.

— We wtorek!

— A więc tylko dzień przed moim powrotem — szepnęła ocierając chusteczką kąciki oczu. — Mój Boże, jakie to straszne! Taki młody, zawsze uśmiechnięty, pełen życia...

Sierakowska przysunęła się z krzesłem do biurka koleżanki.

— Rozumiem, co czujesz — powiedziała ciepło. — Ja także mocno to przeżyłam. Ludzie mówią... — urwała, gdyż wszystko to, co do tej pory słyszała na temat śmierci Pawła, uważała za plotkę. — Zresztą, co ja ci będę mówiła. Niech ci inni powiedzą. Nie będę zajmować się przekazywaniem, delikatnie mówiąc, nie sprawdzonych wiadomości.

— Przecież wiesz, że nikt mi nic nie powie! — wybuchnęła Kozicka.

— Wiem.

— Więc powiedz mi chociaż, jak to się stało!? — prosiła.

— No cóż, słyszałam, że po pijanemu wpakował się motocyklem na drzewo. Zginął na miejscu.

— A skąd on wziął ten motocykl!?

— Ponoć Kazik Ostrowski mu pożyczył. Znasz go chyba!?

— Oczywiście!

— I co o tym myślisz?

— Wydaje mi się to bardzo dziwne. Przecież oni nienawidzili się i co najmniej od roku nie rozmawiali ze sobą...

— Tak też mówią w mieście. A może ten motocykl został celowo uszkodzony?

Kozicka zamyśliła się. Twarz miała zupełnie białą.

— Przez kogo? — zapytała.

— No jak to! Nie wiesz?

— Masz na myśli żonę Pawła, Iwonę?

Sierakowska rozejrzała się wokoło i zniżywszy głos do szeptu, oświadczyła:

— Nie tylko. Kazika także.

Kozicka pocałowała koleżankę w policzek.

— Dziękuję ci, Krysiu. Ja od razu, jak tylko powiedziałaś mi, że Paweł nie żyje, pomyślałam, że to musi być ich robota. Bo to na pewno oni...

— Milicjanci jednak twierdzą, że to był wypadek — przerwała jej zdecydowanie Sierakowska.

— Skąd o tym wiesz? Od starego!?

Sierakowska potwierdziła skinieniem głowy. Mąż jej był dzielnicowym w komisariacie i przez pierwsze dwa dni

uczestniczył w wyjaśnieniu przyczyn śmierci Pawła Kowalskiego.

— Wy tłumacz mu, że to nie może być prawda!

— Sama mu wytłumacz.

— Ażebyś wiedziała, że to zrobię. Jutro pójdę do komisariatu.

— Jutro jest wolna sobota.

— Wobec tego pójdę do domu komendanta. Na pewno mnie wysłucha!

— Jak chcesz. Ja jednak na twoim miejscu nie mieszałabym się do tego. W końcu to nie twoja sprawa — studziła zapędy koleżanki Sierakowska. — Albo przynajmniej wstrzymaj się do poniedziałku. Może coś się wyjaśni. Zapytam starego, czy nie ma jakichś nowych informacji. Zgoda?

Kozicka odrzuciła głowę do tyłu. Powoli odzyskiwała równowagę. Jej oczy nabrały zimnego blasku.

— Jeszcze się zastanowię — powiedziała przyglądając się swoim zaciśniętym dłoniom.

Kończył się dzień. Major Józef Lewicki od kilkunastu dni naczelnik wydziału kryminalnego WUSW w L., siedział za biurkiem w swoim gabinecie kompletnie załamany, ze wzrokiem utkwionym w protokołach. Nie lepiej wyglądali też jego oficerowie: kapitan Adam Bernacki i porucznik Janusz Kasperek. Na ich twarzach malowało się przygnębienie i rezygnacja. Pół godziny temu wrócili z B.

Wieść o brutalnym zabójstwie Hanki Kozickiej rozeszła się błyskawicznie. Miasteczko huczało od plotek i nieprawdopodobnych wręcz teorii. Przez kilkanaście godzin skrupulatnie je wyjaśniali. Bez efektu jednak. Teraz zastanawiali się, co powinni zrobić jutro, aby w meldunku do biura

kryminalnego napisać, że w wyniku energicznych czynności śledczych wykryto sprawcę zabójstwa. W dzisiejszym meldunku napisali krótko — morderca nie znany.

— Przeanalizujemy pokrótce jeszcze raz wszystko to, co do tej pory ustaliliśmy, a także zeznania świadków i dane z oględzin miejsca zabójstwa — przerwał przedłużającą się ciszę major Lewicki. — Zgoda? — Inspektorzy skinęli głowami. — Pozwólcie więc, że najpierw ja podzielę się swoimi spostrzeżeniami — kontynuował Lewicki. Mówił wolno, z namysłem. — Zacznę od zeznań Krystyny Sierakowskiej. Mam je przed sobą. Wynika z nich niezbicie, że Hanka Kozicka miała zamiar dzisiaj pójść do komisariatu milicji w B. i złożyć ważne zeznania dotyczące śmierci Pawła Kowalskiego, a raczej podejrzeń co do tego, czy faktycznie jego śmierć nastąpiła w wypadku drogowym. Wprawdzie jeszcze nie mamy wyników sekcji zwłok ani ekspertyzy z badań stanu technicznego motocykla, ale na podstawie znanych nam faktów jest mało prawdopodobne, aby zgon Pawła Kowalskiego nastąpił w innych okolicznościach. — Major Lewicki przerwał, przebiegł oczami protokół z przesłuchania Sierakowskiej, następnie wstał i przeszedł się po pokoju. Był wysokim, szczupłym mężczyzną po czterdziestce, o regularnych rysach i łagodnym spojrzeniu. — Sierakowska nie wie — podjął sadowiąc się znów w fotelu — co miała do przekazania kapitanowi Wołczyńskiemu Kozicka... Przypuszcza, że nic konkretnego, najwyżej swoje odczucia, podejrzania, zasłyszane plotki. A więc, moim zdaniem, ten trop nie zaprowadzi nas do mordercy. Zgadza się ze mną?

Inspektorzy wymienili spojrzenia.

— Tak — odrzekł porucznik Kasperek, młody, najwyżej trzydziestoletni blondyn. — Chyba tak — poprawił się.

— A co wy o tym sądzicie, kapitanie? — major zwrócił się do Bernackiego.

— Nie mam zdania — odparł prędko. — Za mało wiemy o niej, o jej prywatnym życiu, aby dzisiaj to rozstrzygnąć — dokończył.

— Była kiedyś kochanką Kowalskiego — wtrącił porucznik. — I do samej śmierci przyjaciółką jego żony — uzupełnił po chwili.

Lewicki pokiwał głową.

— Macie rację — stwierdził zadržując wzrok na twarzy Kasperka. — Musimy bliżej zbadać te dziwne powiązania. Zajmiesz się tym jutro — rozkazał.

— Tak jest!

— To jeszcze nie koniec — podjął po chwili nie spuszczać wzroku z twarzy porucznika. — Zajmiesz się też Kazimierzem Ostrowskim. To bardzo zagadkowa postać. Skłócony z Kowalskim i jego żoną, z Kozicką. Nie ma też najlepszej opinii u miejscowych milicjantów.

Porucznik skinął głową i zapisał coś w notatniku. W wydziale pracował piąty rok, od ukończenia szkoły oficerskiej w Szczytnie. Przedtem był dzielnicowym w jednym z komisariatów.

— Znam go trochę z dawnych czasów. Dziesięć lat temu mieszkał w L. przy ulicy Lubartowskiej. Prowadziłem nawet przeciwko niemu dochodzenie — poinformował. — Na pewno zasługuje na naszą uwagę.

— Przejdźmy teraz do zeznań innych świadków — podjął Lewicki. — Według mnie niczego konkretnego nie wnoszą do śledztwa. Albo ci ludzie byli wobec nas nieszczerzy, albo nic nie wiedzą. Nie wolno nam jednak tracić z nimi kontaktu — niespodziewanie podniósł głos. — Trzeba z nimi wciąż rozmawiać, pytać. Znam trochę te małe miasteczka i mentalność mieszkających w nich ludzi. Są in-

ni — nieufni i podejrzliwi przede wszystkim. I dlatego mam do was prośbę. Rozmawiajcie z nimi, nie lekceważcie konstruowanych przez nich wersji, wysłuchajcie uważnie nawet tych najbardziej fantastycznych. Chodzi o to, żeby nie zrazić ich do siebie, żeby poczuli, że przyjechaliśmy, aby wykryć sprawcę zabójstwa, a nie likwidować bimbrownie czy nielegalny handel mięsem. Znacie ich zeznania? — zapytał biorąc protokół do ręki.

— Ja znam — oświadczył kapitan Bernacki.

— I ja — stwierdził porucznik Kasperek. — Chciałbym jednak przy okazji przypomnieć jedno z nich. Chodzi mi o zeznania Aliny Rek. Otóż twierdzi ona, że około godziny dwunastej na ulicy Wyzwolenia, na wysokości szpitala, widziała Hanę Kozicką idącą pod rękę z nie znaną jej młodą kobietą. Tę kobietę musimy ustalić. Prawdopodobnie jest ostatnią osobą, która widziała Hanę Kozicką żywą.

Naczelnik z hałasem odsunął się od biurka.

— Masz rację — rzekł. — Wyjaśnij to. Jest to bardzo ważne zeznanie. Niezmiernie ważne! — powtórzył przyglądając się z uznaniem Kasperkowi. — Przejdźmy już jednak do protokołu z oględzin miejsca zdarzenia. Jak wiecie, miejscem zabójstwa jest mieszkanie denatki. Znajduje się ono na ostatnim piętrze bloku przy ulicy Żeromskiego dwadzieścia. W mieszkaniu panuje wzorowy porządek. Sierakowska, która bywała w nim dość często, twierdzi, że nic nie zginęło. W nie zamkniętym barku leżało piętnaście tysięcy złotych, dziesięć dolarów i dwa złote pierścionki. To by wykluczało motyw rabunkowy zbrodni — umilkł na moment. — A może macie inny pogląd na tę kwestię? — zapytał.

Oficerowie przecząco potrząsnęli głowami.

— A więc brnijmy dalej w ten protokół. Na stronie trzeciej jest opis zwłok. Zacytuję ten fragment: „Zwłoki leżą

na tapczanie, ubrane w długą, kremową koszulę nocną, obficie nasyconą krwią. Koszula w okolicy piersi przecięta jest w kilku miejscach”. A teraz konkluzja, sformułowana przez lekarza medycyny sądowej, który brał udział w oględzinach. Cytuję: „Na podstawie zewnętrznych oględzin zwłok należy przyjąć, że zgon Hanny Kozickiej nastąpił w wyniku ran zadanych ostrym narzędziem w okolicę serca”. Myślę, że zabójstwo Kozickiej jest zabójstwem z motywów seksualnych. I tego będziemy się trzymać, przynajmniej do czasu otrzymania wyników sekcji zwłok — zdecydował. — Macie coś jeszcze do dodania? — zapytał wkładając protokół do skoroszytu.

Zgłosił się Bernacki.

— Tak, ale w innej sprawie. Morderstwo, według lekarza medycyny sądowej, popełniono wczoraj około dwudziestej drugiej. O tej porze ludzie jeszcze nie śpią. Kozicka na pewno w jakiś sposób broniła się, może wzywała pomocy. Tymczasem jej sąsiedzi niczego nie słyszeli, nikogo nie widzieli. I to mnie zastanawia.

Major skrzywił się.

— Niepotrzebnie. Już ci mówiłem, że trzeba z nimi porozmawiać jeszcze raz. Jeśli zaś mordercą jest osoba zaprzyjaźniona z Kozicką, to faktycznie mogli nic nie słyszeć. Kozicka po prostu nie spodziewała się ataku ze strony takiej osoby.

Bernacki pokiwał ze zrozumieniem głową.

— A co twierdzi kobieta, która odkryła morderstwo? — zapytał porucznik Kasperek. — Dotychczas nie znam jej zeznań.

Kapitan Bernacki, który rano przesłuchiwał ją, wzruszył bezradnie ramionami.

— To samo, co sąsiedzi, czyli nic — odrzekł. — Rankiem, o wpół do piątej, przyszła posprzątać klatkę

schodową. Zauważyła, że drzwi do mieszkania Kozickiej są uchylone, weszła do środka, zobaczyła, co się stało, narobiła krzyku, zbiegli się sąsiedzi, przyjechała milicja. I tyle.

— Mieszka w tym samym bloku?

— Tak, na parterze, pod dwójką.

— Faktycznie niewiele. — zgodził się smutno Kaspek. — A co ze śladami? Zabezpieczono je czy też nie? — zapytał patrząc na majora.

Lewicki nerwowo zaczął kartkować gruby, oprawiony w czerwoną skórę notatnik.

— Tak! Inspektorzy z wydziału kryminalistyki zabezpieczyli trochę śladów linii papilarnych, obuwia — poinformował. — Linie papilarne ujawniono na przykład na nożu, który prawdopodobnie był narzędziem zbrodni.

— A więc pozostawił je morderca! — wyrwał się Bernacki.

— Być może — zgodził się naczelnik. — Najpierw jednak musisz go znaleźć.

— To nie będzie takie trudne! — ekscytował się Bernacki. — Będziemy daktyloskopować wszystkich, którzy utrzymywali kontakty z Kozicką, aż wreszcie trafimy na potrzebną nam osobę.

Major uśmiechnął się i pokiwał głową. Optymizm inspektora wydał mu się jednak przedwczesny.

— Nie mam nic przeciwko temu. Może się okazać, że to faktycznie najprostsza droga wiodąca do mordercy. Obyś miał rację.

— W każdym razie trzeba przyłożyć się do tego solidnie. Jest szansa, że możemy przy pomocy naszych daktyloskopów dopaść sprawcę już w poniedziałek. I musimy ją wykorzystać.

— W porządku! — zgodził się naczelnik, spojrzał na

zegarek i zamyślił się. — Późno już — dodał po chwili. — Czas kończyć pracę. Jutro czeka nas równie ciężki dzień. Wiecie, czym macie zająć się w pierwszym rzędzie? — popatrzył po zmęczonych twarzach inspektorów. — Samochód zamówiłem na szóstą. Przykro mi, że zabieram wam niedzielę. Spotkamy się jutro o dwudziestą, oby w lepszym już nastroju. Są pytania? — zapytał podając Bernackiemu skoroszyt z protokołami przesłuchań.

— Nie ma — odparł kapitan, po czym włożył protokół do teczki.

Lewicki wstał. Na jego pociągłej twarzy pojawił się jakby cień uśmiechu. Wiedział, że ci dwaj go nie zawiodą. Zawsze pracowali z pełnym poświęceniem aż do skutku. Tak jak ich nauczył pułkownik Gozdarowski.

— To dobrze — rzekł. — Życzę powodzenia.

Oficerowie wstali i skinąwszy głowami, opuścili gabinet. Windą zjechali na parter, potem przeszli przez dyżurkę i znaleźli się na zewnątrz gmachu. Noc była cicha i jasna. W lipach szeleścił wiatr, na niebie mrugały wesoło gwiazdy.

Szli wolno nie odzywając się do siebie. Myśleli o jutrzejszym dniu i o tym, co im przyniesie: nowe rozczarowania czy może zaświta nadzieja.

Na placu Litewskim bez słowa uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Właśnie wtedy zegar na gmachu poczty zaczął wybijać dwudziestą czwartą.

Niedziela była słoneczna i ciepła. Nad jesiennymi polami płynęło babie lato, w przydrożnych wiejskich sadach szykowały się do odlotu szpaki. Było cicho i sennie.

Bernacki i Kasperek zza szyb samochodu w milczeniu obserwowali krajobraz. Z L. wyjechali dopiero o wpół do ósmej, gdyż kierowca, który miał ich zawieźć do B., nagle

zachorował, a znalezienie zastępcy w pogodną niedzielę okazało się sprawą niezwykle trudną i czasochłonną.

O ósmej byli już jednak w miasteczku. Wysiedli w pobliżu dworca autobusowego, odesłali kierowcę do domu i wolno poszli w kierunku komisariatu. Ulice były smutne i puste, ale mimo to skąpane w porannym słońcu miasteczko wydało się im piękniejsze i bogatsze od tego z wczorajszego dnia: chłodnego i ponurego.

W komisariacie oczekiwał ich już kierownik, kapitan Zenon Wołczyński. Zaprosił do swojego gabinetu, poczęstował kawą, wyjął z żelaznej szafy teczkę pełną dokumentów i z tajemniczą miną położył przed nimi.

— Zapoznajcie się z tym — powiedział z przejęciem, gładząc się po pokażnej łysinie.

Bernacki rozpiął marynarkę, z wewnętrznej kieszeni wyciągnął długopis i notatnik, po czym sięgnął po osteplowaną teczkę.

— Pewnie masz jakieś rewelacyjne informacje! — domyślał się patrząc mu badawczo w oczy.

— Sam oceń — skromnie odparł kierownik i wyszedł.

Nie zwlekając pogrążyli się w lekturze. Już po paru minutach mieli w notatnikach po kilkanaście nazwisk mężczyzn, gorących wielbicieli Hanki Kozickiej, a także tych porzuconych przez nią przed laty, którzy stali się jej wrogami. Każdy z nich mógł być mordercą i dlatego każdego należało zapytać o alibi i poddać badaniom daktyloskopijnym.

Największe emocje były jednak dopiero przed nimi, a spowodować je miała krótka notatka służbowa, sporządzona przez dzielnicowego, sierżanta sztabowego Bolesława Artymiuka. Bernacki przeczytał ją dwukrotnie i z wypiekami na twarzy przekazał Kasperkowi.

— Mamy chyba sprawcę! — powiedział drżącym głosem.

Kasperek szybko przebiegł ją oczami. Potem jeszcze raz i jeszcze.

— Tak! To musi być on — stwierdził pocierając dłonią czoło.

— A więc idźmy po niego! — zdecydował Bernacki. — Niech nam przynajmniej wyjaśni, co robił przedwczoraj o dwudziestej drugiej trzydziści w klatce schodowej w bloku przy ulicy Żeromskiego dwadzieścia.

Pół godziny później stali przed drzwiami mieszkania mecenasa Aleksandra Grabowskiego. Kasperek raz po raz naciskał dzwonek, ale wewnątrz ponowała cisza. Wreszcie gdy już mieli odchodzić, zazgrzytał klucz w zamku i po krótkiej chwili ujrzeni przed sobą eleganckiego, przystojnego mężczyznę około pięćdziesiątki, z ładnie przyszyżoną szpakowatą bródką i siwymi włosami.

— Czym mogę służyć? — zapytał uprzejmie, najwyraźniej zaskoczony wizytą nie znanych mu ludzi.

Bernacki nie czekając na zaproszenie, wszedł do przedpokoju.

— Czy pan mecenas Aleksander Grabowski? — zapytał.

— Tak. Nazywam się Grabowski. Jestem adwokatem.

— A my jesteśmy z milicji. Musimy zadać panu kilka pytań.

— W porządku, jeśli panowie muszą... Ale dlaczego w niedzielę? — próbował zażartować.

— Jutro mogłoby być już za późno — odparł Kasperek, bacznie obserwując twarz mecenasa. Niczego jednak z niej nie wyczytał, nawet niepokoju. — Możemy wejść?

— Oczywiście, proszę bardzo.

Kasperek stanął obok Bernackiego w wąskim, zabudowanym szafami przedpokoju.

— Proszę, oto moja legitymacja.

Grabowski zapalił światło i głośno odczytał imię, nazwisko i stopień Kasperka.

— Widzimy się chyba po raz pierwszy — powiedział.

— Tak, my rzadko występujemy na sali sądowej, a w B. jesteśmy po raz drugi w życiu — poinformował.

Mecenas zamyślił się.

— Proszę dalej — zaprosił otwierając obite brązową dermą drzwi, prowadzące do niedużego, skromnie, lecz gustownie urządzonego pokoju, który widocznie służył gospodarzowi jako gabinet.

— Napijcie się, panowie, kawy? — zapytał Grabowski. Zachowywał się nadal swobodnie i pewnie.

Bernacki wiedział jednak, że jest to spokój udany. Zawodowy.

— Nie, dziękujemy! Przyszliśmy do pana w innej sprawie — powiedział oschle. — Domyśla się pan zapewne w jakiej!?

Adwokat przybladł lekko, potem spuścił oczy i długo wpatrywał się w swoje splecione na kolanach, wypiełgnowane ręce. W końcu rzekł cichym, lecz wyraźnym głosem:

— Jeśli mam być szczery, to ... — zawiesił na chwilę głos — ... tak. Gratuluję szybkiego działania.

— Staramy się.

Grabowski pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Ale ja nie jestem mordercą! — rzucił niespodziewanie. — Chcę, żebyście to, panowie, wiedzieli, zanim zadacie mi pierwsze pytanie.

Bernacki i Kasperk wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Zaskoczył ich tym oświadczeniem.

— A czy postawiliśmy panu taki zarzut? — udał zdziwienie Kasperk. — Zapytaliśmy tylko, czy wie pan, w jakim celu tu do pana przybyliśmy?!

— Zgadza się! Ja jednak znam sposób myślenia mili-

cjantów. Zbyt często formułujecie oskarżenia tylko na podstawie poszlak.

Bernacki poruszył się niespokojnie i zmrużył oczy.

— Oj, chyba zagalopował się pan nieco! Jako prawnik powinien pan wiedzieć, że my nie „formułujemy oskarżeń”.

Mecenas przez dłuższą chwilę gładził swoją siwą bródkę.

— Przepraszam! — powiedział. — Nie chciałem panów urazić.

Znów na przeciąg kilkunastu sekund zapanowała cisza. Bernacki wyjął z teczki protokoły przesłuchania podejrzanego i świadka i położył je sobie na kolanach. Zastanawiał się, czy nie należałoby pojechać z Grabowskim do komisariatu i tam go przesłuchać. W końcu doszedł jednak do wniosku, że nie ma takiej potrzeby.

— Przesłuchamy pana w charakterze świadka — oświadczył. — Mogę chyba skorzystać z pańskiego biurka?

Grabowski skinął głową, następnie wstał, z szuflady wyjął dowód osobisty i położył go na blacie.

— Będzie panom potrzebny — powiedział zgryźliwie.

— Oczywiście. Sam dowód nam jednak nie wystarczy. Będziemy musieli jeszcze pana zdaktyloskopować — odciął się Bernacki, zajmując miejsce za biurkiem.

— Jak przestępcę!

— Nie, jak osobę podejrzaną o dokonanie zabójstwa — wtrącił się Kasperek. Pewność siebie mecenasa denerwowała go, jednocześnie utwierdzała w przekonaniu, że Artymiuk najprawdopodobniej wytypował właściwą osobę.

Bernacki otworzył dowód.

— Możemy zaczynać? — zapytał przyglądając się fotografii.

— Jestem gotowy — odparł mecenas i przysunął się do biurka. — Postaram się panom pomóc.

Kapitan Bernacki uśmiechnął się uprzejmie.

— To pięknie z pana strony. Nie ukrywam, że liczyliśmy na to — powiedział. Wypełniał pierwszą, osobowopoznawczą część protokołu. — Uprzedzam pana o odpowiedzialności karnej z art. 247 kodeksu karnego — dorzucił podkreślając jednocześnie odpowiedni fragment. — Zna pan niewątpliwie dokładnie jego treść. — Grabowski przytaknął. — Wobec tego przystępujemy do rzeczy — ciągnął dalej kapitan. — Proszę nam powiedzieć, czy znał pan Hankę Kozicką, a jeśli tak, to kiedy widział ją pan po raz ostatni.

Adwokat wyprostował się w fotelu.

— Hankę Kozicką poznałem dwa lata temu — odrzekł w zamyśleniu, jakby przypominał sobie tamte chwile. — A po raz ostatni widziałem ją przedwczoraj w nocy. Niestety, już martwą.

Bernacki spojrzał na niego przeciągle. Nie przypuszczał, że adwokat tak szybko przyzna się do wizyty w domu Kozickiej.

— Proszę nam o tym opowiedzieć — rzekł spokojnie.

Mecenas zagryzł wargi i zamrugał oczami. Widać było, że z trudem panuje nad nerwami.

— Tak, oczywiście — zaczął jaskając się. — W piątek, dwudziestego pierwszego września, wróciłem do domu tuż po godzinie dwudziestej, zmęczony, z bólem głowy. Cały dzień spędziłem w sądzie. Niestety, tego dnia nie dane mi było odpocząć. Moja żona dowiedziała się w końcu, że tegoroczny urlop spędziłem z Hanką w Bułgarii, stąd też jak tylko przekroczyłem próg mieszkania, zaczęła robić mi wymówki, potem szlochać, straszyć wyjazdem. Przez dwie godziny słuchałem cierpliwie jej gderania, wreszcie widząc, że nie zamierza poprzestać na tym, wyszedłem z domu. Było kilka minut po dwudziestej drugiej. Okrążyłem parę razy rynek i nawet nie wiem, kiedy znalazłem się przed

blokiem, w którym mieszkała Hanka. Po krótkim namyśle postanowiłem zobaczyć się z nią. Chciałem jej powiedzieć — umilkł na chwilę — że zdecydowałem się na rozstanie z żoną. Drzwi były otwarte. Cicho, starając się nie narobić hałasu w ciemnym przedpokoju, wszedłem do sypialni. I wtedy ją zobaczyłem. Leżała na tapczanie, na wznak, z nożem w piersi. Niewiele myśląc chwyciłem ten nóż, zacząłem ją ratować. Niestety. Hanka już nie żyła. Przerażony wybiegłem z mieszkania — znowu zamilkł na kilkanaście sekund. — Potem przez pół godziny — podjął beznamietnym głosem — chodziłem po mieście. Zastanawiałem się, czy dobrze uczyniłem, nie powiadamiając milicji o zbrodni. W końcu postanowiłem nie podejmować w tej sprawie żadnych czynności. Dzisiaj wiem, że postąpiłem nierozsądnie. Wtedy jednak nie byłem w stanie zachować się inaczej. Czuję się podle, było mi po prostu wszystko jedno, co się ze mną stanie, o co będę oskarżony i czy w ogóle będę. Nic mnie to w ogóle nie obchodziło. Pamiętam, że kiedy przyszedłem do domu, było już dobrze po dwudziestej trzeciej. Myjąc się postanowiłem opowiedzieć o wszystkim żonie. Wyszedłem z łazienki i wtedy stwierdziłem, że nie ma jej w domu. Nie wiem, o której przyszła, gdyż usnąłem. Rano w sobotę powiedziała mi, że szukała mnie po całym mieście. Ja jednak nie podtrzymałem rozmowy. Stąd też nie wiem, czy mówiła prawdę. Zresztą po południu tego dnia wyjechała do rodziców na wieś. To wszystko — zakończył.

Bernacki postukując długopisem przyglądał mu się uważnie przez kilkanaście sekund. Zaskoczył go zupełnie tym zeznaniem.

— Co o tym sądzisz? — zwrócił się o pomoc do porucznika.

— Dla mnie brzmi to wręcz nieprawdopodobnie —

odparł twardo Kasperek i uśmiechnął się ironicznie. — Wprawdzie zeznanie pana mecenasa jest spójne i logiczne, ale za bardzo wszystko się w nim zgadza — mówił patrząc z niechęcią na Grabowskiego. — Według mnie, to wszystko wyssane jest z palca — zakończył brutalnie.

Adwokat zbladł, a w jego oczach pojawiła się złość.

— Myli się pan. Wszystko to, co tutaj powiedziałem, jest najszczerzą prawdą! — zaprotestował. — Ja wypraszam sobie...

— Proszę pana! — przerwał mu ostrym tonem Bernacki. — Nie przyszliśmy tutaj po to, aby prawić sobie komplementy. Jest pan podejrzany o dokonanie zabójstwa Hanki Kozickiej. Była pana kochanką, przyznał pan, że widział ją tuż po tragicznym zgonie, na nożu zabezpieczono najprawdopodobniej ślady pańskich linii papilarnych. Czegoż pan chce więcej? Naocznego świadka?

Mecenas opanował się z wysiłkiem.

— Tak, moja sytuacja jest trudna — przyznał drżącym głosem. — Zamierzacie mnie zapewne osadzić w areszcie — domyślał się.

— Zastanowimy się — odparł Bernacki. — Na razie chciałbym panu zadać jeszcze parę pytań.

W oczach adwokata znów pojawiła się złość. Wyraźnie nie lubił być pytany.

— Słucham! — warknął.

— Czy wchodząc do sypialni w mieszkaniu Kozickiej, zapalał pan światło czy też nie?

— Nie musiałem tego robić, gdyż światło było włączone — odparł hardo, patrząc Bernackiemu prosto w oczy.

— I wychodząc zgasił je pan?

— Nie pamiętam. Raczej nie.

— Proszę sobie przypomnieć. To bardzo ważne!

— Nie zgasilem.

Bernacki uniósł brwi.

— A drzwi? Zamknął je pan dokładnie czy zostawił otwarte?

Mecenas z trudem przełknął ślinę.

— Pozostały raczej otwarte.

— A teraz proszę przynieść buty, w których był pan tego wieczoru — do przesłuchania włączył się porucznik Kasperek. — Będą nam potrzebne do badań porównawczych — wyjaśnił widząc zdziwioną minę Grabowskiego. — Chyba pan ich nie spalił! — dogryzł.

Adwokat potrząsnął głową.

— Nie spaliłem — wycedził, po czym wstał i poszedł do przedpokoju.

Kasperek ruszył za nim.

— Tylko proszę o właściwe — powiedział z przekąsem.

Adwokat pochylił się, otworzył szafkę na obuwie i wydobył z niej parę brązowych adidasów.

— Proszę — powiedział podając je Kasperkowi. Minę miał ponurą, goźną. Kasperek owinał je gazetą i wcisnął do teczki.

— Nie mam już więcej pytań — stwierdził zajmując poprzednie miejsce. — Dla mnie sprawa jest jasna — dorzucił po chwili, nie spuszczać wzroku z zaczerwienionej ze złości twarzy mecenasa.

Bernacki pokiwał głową. Mimo że fakty przemawiały przeciwko Grabowskiemu, on nie uważał sprawy za oczywistą. Wręcz przeciwnie.

— Czy często kłócił się pan z Kozicką? — zapytał.

— Nie — odrzekł cicho mecenas.

— Ale po powrocie z Bułgarii przestaliście się spotykać. Dlaczego?

Grabowski spuścił oczy. Wyglądał na załamanego.

— Hanka zabroniła przychodzić do siebie — przyznał się. — Chciała, żebym rozwiódł się z żoną.

— I pan jej to obiecał?

— Nie.

Zapanowała cisza. Bernacki zanotował ostatnie odpowiedzi adwokata, następnie podał mu gotowy protokół. Grabowski sięgnął po długopis i złożył na nim swój podpis.

— Nie będę go czytał — powiedział. — Szkoda czasu.

Bernacki wzruszył ramionami.

— Jak pan chce — mruknął.

— Czego jak czego, ale czasu to wkrótce będzie pan miał nadmiar — roześmiał się Kasperek.

Bernacki zgromił go wzrokiem.

— Bądź miłszy dla pana mecenasa — powiedział, myśląc jednocześnie, że on także nie ustrzegł się ironii. Dodał więc: — Mam nadzieję, że wybaczy nam pan najście.

Grabowski wydał wzgardliwie wargi.

— Tak! — rzekł wyniośle. — A zresztą czy mam jakieś inne wyjście? Nawet gdybyście mnie zamknęli, nie mógłbym mieć do was pretensji. Nawarzyłem sobie piwa i sam muszę je wypić. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego tak głupio zachowałem się tamtej tragicznej nocy — niespodziewanie zaczął się kajać.

Bernacki wstał, przyglądził ręką włosy i z kamienną twarzą zajął się porządkowaniem biurka. Podniósł się również Kasperek. Stał obok mecenasa na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał mu się uważnie. Był coraz bardziej przekonany o jego winie.

— Panie mecenasie! — powiedział w końcu, przerywając przedłużającą się ciszę. — Proszę nam jeszcze wykazać miejsce pobytu pańskiej żony.

Grabowski palcami prawej ręki przetarł oczy. A może je tylko na chwilę zasłonił, aby ukryć powracającą złość?

— Już chyba mówiłem, że wyjechała do rodziców.

— A kiedy wróci?

Mecenas wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Jak pan wie, moje współzycie z żoną od pewnego czasu nie układa się najlepiej.

— Ale adres teściów to pan zapewne pamięta.

— Wytyczno koło Włodawy — poinformował spokojnym głosem Grabowski.

Kasperek zanotował adres w notatniku.

— Dziękuję! Teraz to już naprawdę nie mam więcej pytań — rzucił uśmiechając się ironicznie. — Możemy więc już chyba pójść do komisariatu — dodał spoglądając na wpatzonego w okno Bernackiego.

Ten skinął głową i odwrócił się. Zmęczyło go to przesłuchanie: delikatne, uprzejme, grzeczne. Zastanawiał się, czy mimo to adwokat zgłosi prokuratorowi nadzorującemu śledztwo jakieś uwagi czy zastrzeżenia. Jeśli będzie je miał — pomyślał — to będzie znaczyło, że jest winien.

— A więc chodźmy! — odezwał się poprawiając krawat. — Pan również — spojrzał na mecenasa. — Musimy pobrać odciski pańskich palców — wyjaśnił widząc zdziwienie na twarzy prawnika.

Pijąc kawę w gabinecie kapitana Wołczyńskiego, mówili o skomplikowanej sytuacji rodzinnej adwokata Grabowskiego, zastanawiali się, ile prawdy jest w jego zeznaniach.

— Według mnie — mówił kapitan Wołczyński — Grabowski kłamie. Jestem o tym przekonany. Żaden adwokat nie zachowałby się tak infantylnie na miejscu zbrodni. I niech on nas nie mami swoim stanem psychicznym. Wiedząc, że pozostawił masę śladów, zmyślił tę historyjkę z nożem. Jest ona bardzo naiwna, ale na razie nie do podważenia. Zamiast bronić się, on nas zaatakował. A spróbujcie mu teraz udowodnić, że kłamie. Uprze się przy swojej wersji i klops!

Stanowisko Wołczyńskiego poparli Kasperek i Arty-

miuk. Bernacki skłonny był raczej dać wiarę zeznaniom Grabowskiego.

— Nie! To nie może być on — tłumaczył kolegom. — Jest za miękki, zbyt subtelny, no i przede wszystkim nie miał motywu.

— Nie zgadzam się z tym! — zaoponował Kasperek. — A może on miał już dość tej Kozickiej?...

— Przeciwnie, on chciał się z nią ożenić — upierał się przy swoim Bernacki.

— Słuchajcie! — Do rozmowy włączył się Artymiuk. — A dlaczego nie bierzemy pod uwagę żony mecenasa?

Bernacki podrapał się długopisem w głowę.

— Słusznie! — rzekł. Wpisujemy ją na listę osób podejrzanych. Wyślij telegram do włodawskiego urzędu, niech ją solidnie przesłuchają — polecił.

Artymiuk wyszedł. W gabinecie na moment zapanowała cisza.

Przerwał ją Wołczyński.

— Co zamierzacie dalej robić? — zapytał.

Bernacki spojrział na zegarek.

— Czternasta! Mam ochotę poznać Kazika Ostrowskiego, a także Iwonę Kowalską. A ty, Janusz? — popatrzył na kartkującego kodeks karny Kasperka.

Kasperek odłożył książkę i przeciągnął się.

— Z przyjemnością będę ci towarzyszył — odparł.

I zaraz wyszli. Nadal było upalnie, bezwietrznie, duszno, tak jakby to była pełnia lata, a nie początek jesieni. Z marynarkami zarzuconymi na ramiona, prawie w milczeniu szli wyludnionymi ulicami w kierunku górującego nad miasteczkiem kościoła, w pobliżu którego mieszkała Iwona Kowalska. Bez trudu znaleźli uliczkę Pochyłą i drewniany, zadbanej dom, opatrzonej tabliczką z jej nazwiskiem. Otworzyli skrzypiącą furtkę i znaleźli się na sporym,

zagraconym podwórku. Przez chwilę rozglądali się wokół, jakby chcieli zapamiętać możliwie najwięcej szczegółów, po czym wolno ruszyli w stronę domu. Drzwi wejściowe były uchylone, a przez otwarte okna sączyła się muzyka.

Bernacki wyjął z portfela legitymację służbową i postukał nią w klamkę.

— Kto tam!? — usłyszeli prawie natychmiast energiczny kobiecy głos. — Otwarte!

Kasperek pchnął drzwi.

— Milicja!

Znajdowali się w mrocznej sieni, pachnącej suszonymi grzybami i wilgocią.

— Już idę — usłyszeli ponownie ten sam głos, a zaraz potem zapaliło się światło i ujrzeni przed sobą młodą, szczupłą kobietę o jasnych włosach i ciemnych oczach, ubraną w długi, niebieski szlafrok.

— Panowie do kogo? — zapytała obrzucając ich nieufnym, zimnym spojrzeniem.

Bernacki podał jej legitymację.

— Chcemy porozmawiać z panią Iwoną Kowalską — powiedział starając się nadać swojemu głosowi jak najprzystojniejsze brzmienie.

— Słucham panów!

— Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Hanki Kozickiej — poinformował. — Wiemy, że była pani jej serdeczną przyjaciółką.

Kowalska zwróciła legitymację, nawet nie zajrzawszy do środka.

— Proszę wejść do pokoju! — powiedziała chłodno i poszła w głąb mieszkania.

Bernacki i Kasperek wymienili spojrzenia i ruszyli za nią.

— Czy tylko w tej sprawie? — zapytała, gdy usiedli w

głębokich fotelach, pamiętających jeszcze pewnie dawne, dobre czasy tego domu.

— W zasadzie tak! — odrzekł po chwili namysłu Kasperek. — Śledztwo w sprawie śmierci pani męża prowadzi tutejszy komisariat.

— Wiem! — oświadczyła. — Prowadzi je nadzwyczaj sprawnie! — Na jej pełnych wargach pojawił się ironiczny uśmiech. — Tak sprawnie, że minęły dwa tygodnie od jego śmierci, a ja nadal nie wiem, jak zginął. Ale za to ludzie wiedzą! — wybuchnęła. — To straszne, oni mnie podejrzewają — ukryła twarz w dłoniach. — Oczerniają...

— Proszę się uspokoić. Zajmiemy się także sprawą pani męża — obiecał Bernacki. — Chociaż wszystko wskazuje na to, że był to nieszczęśliwy wypadek.

— To nie mógł być nieszczęśliwy wypadek! — krzyknęła pełnym rozpaczyny głosem i rozplakała się. Szybko jednak uspokoiła się. Otarła łzy z twarzy i uśmiechnęła się przepraszająco. — Proszę mi wybaczyć — powiedziała — ale ja już nie mogę. Nagle zostałam sama, wszyscy mnie unikają, szkalują...

Bernacki patrzył, jak jej duże, brązowe oczy znów napęlniają się łzami.

— Rozumiem panią — rzekł łagodnie. — Ale tak żyć nie można. Musi pani wziąć się w garść, zapomnieć, a nie pogrążyć się w żalu i rozpacz.

Kowalska, nadal blada i drżąca, osuszyła chusteczką oczy.

— Wiem, tylko jak to zrobić? — zapytała w zamyśleniu.

Bernacki nie odpowiedział. Myślał o tym, że musi jej być bardzo ciężko i źle. Wyręczył go Kasperek.

— Proszę pani, nie można się tak nad sobą rozczulać — powiedział sucho. — Czas jest najskuteczniejszym lekarstwem. Jest pani młoda, ładna. A wracając do sprawy —

lubila pani Hanke Kozicką? — zapytał niespodziewanie.

— Przyjaźniłyśmy się od dziecka.

— A kiedy widziałyście się po raz ostatni?

Kowalska zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

— Na początku września, tuż przed jej wyjazdem do Bułgarii.

— A po powrocie?

— Nie! Na pewno jej nie widziałam.

— Ale wiedziała pani, że wróciła z wczasów?

— Skądże! Poszłabym do niej, opowiedziała... — głos jej zadrzał. — Nigdy sobie tego nie wybaczę — zakończyła, znów z trudem powstrzymując łkanie.

Kasperek wstał.

— Na razie podziękujemy pani — powiedział. — Proszę odpoczywać i nie przejmować się plotkami. Dokończymy tę rozmowę we wtorek, może w środę. Dobrze?

Kowalska skinęła głową. Jej jasne, bujne włosy rozsypały się na plecach.

— Bardzo proszę — odparła. — Może już do tej pory będzie wiadomo, dlaczego Paweł zginął — dodała cichym, łapiącym się głosem. — No i kto zabił Hanke!

— Na pewno! Zrobimy wszystko, aby ustalić mordercę — zapewnił Kasperek, po czym niespodziewanie usiadł. — Coś mi się jeszcze przypomniało — powiedział patrząc znacząco na Bernackiego.

Kapitan bezradnie wzruszył ramionami. Nie wiedział, do czego zmierza jego młodszy kolega. Dotychczas tylko raz pracowali razem. Było to przed czterema laty, gdy udało im się wykryć w pięć dni wyjątkowo niebezpiecznego mordercę.

— Rozumiem! — powiedział jednak.

Kasperek wyrwał z notatnika kartkę i podał ją Kowalskiej.

— Czy może pani napisać oświadczenie, że nie widziała pani Hanki Kozickiej od czasu jej przyjazdu z wczasów i że nawet pani z nią nie rozmawiała? — zapytał jednym tchem.

Kowalska spuściła oczy i zaczęła układać rozchylający się na kolanach szlafrok. Ręce jej lekko drżały, a twarz zrobiła się jeszcze bardziej biała, surowa i napięta.

— Oczywiście! — odpowiedziała twardo nie podnosząc wzroku.

Kasperek położył przed nią długopis.

— A więc proszę to napisać!

Bernacki z rosnącym zdziwieniem przyglądał się porucznikowi. Wciąż nie pojmował, do czego zmierza. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, od czasu do czasu zerkając na pochyloną nad kartką papieru Kowalską lub uważnie obserwującego ją Kasperka. Wreszcie znecierpliwiony przedłużającą się, pełną napięcia ciszą, przystanął obok Kowalskiej i powiedział:

— Widzę, że podtrzymuje pani jednak swoje stwierdzenie!

Kowalska popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Robiła wrażenie przemęczonej, jakby nieobecnej.

— Długo jeszcze? — ponaglił ją Kasperek.

— Już kończę! — odrzekła stłumionym głosem. — Proszę! — dodała po chwili i podała porucznikowi zapisaną kartkę. — Mam nadzieję, że to wystarczy!

Kasperek bez czytania złożył ją na pół i wepchnął do kieszeni marynarki.

— Ja także mam taką nadzieję — powiedział uśmiechając się zagadkowo. — Nic więcej nie masz do pani? — zwrócił się do Bernackiego.

Kapitan przecząco pokręcił głową.

— Myślę, że powinniśmy już pójść — rzekł. — Nie widzisz, że gospodyni ma już dość nas i naszych pytań?

Kowalska uśmiechnęła się smutno.

— Nie! Dlaczego? — usiłowała protestować. Widać jednak było wyraźnie, że przejścia z ostatnich dni mocno nadwerężyły jej siły, że pragnie zostać sama.

Kasperek wstał.

— Masz rację! — stwierdził patrząc na nią spod oka, bo wydało mu się, że na jej twarzy dostrzegł pełen ironii uśmiech.

— Do zobaczenia — dorzucił, a jego oczy zwężyły się nieprzyjemnie.

Dwie minuty później byli już na ulicy. Upał zelżał, wydłużyły się cienie. W koronach potężnych, przykościelnych wiązków wesoło pokrzykiwały młode kawki.

Bernacki ujął porucznika pod ramię.

— Po co pobrałeś od niej to oświadczenie? — zapytał pełnym rozdrażnienia głosem.

Kasperek zatrzymał się na moment i przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

— To ty naprawdę nie wiesz? — zdziwił się.

Bernacki skrzywił się.

— Mówże wreszcie! — niecierpliwił się.

Pociągłą, szczupłą twarz Kasperka rozjaśnił uśmiech.

— A przypomnij sobie zeznania Sierakowskiej! Przecież to od niej wiemy, że Kozicka telefonowała z biura do Kowalskiej, że nawet trochę się posprzeczały.

Bernacki spochmurniał jeszcze bardziej.

— Tam nic takiego nie ma! — odrzekł spokojnym, ale stanowczym głosem.

Kasperek zmierzył go ironicznym spojrzeniem.

— Macie, kolego, zaniki pamięci!

— Na pewno nie mylę się. Sierakowska nic takiego nie powiedziała — upierał się przy swoim Bernacki.

— Więc może wyczytałem to w którejś z notatek milicjantów.

— Być może, chociaż wątpię...

— Dajże ty mi spokój! — zdenerwował się Kasperek. — Przecież nic się nie stało. Może zrobiłem to intuicyjnie!?

Przez dłuższy czas szli w milczeniu, prowadzeni ciekawskimi spojrzzeniami mieszkańców miasteczka. Tragiczna śmierć dwójga młodych ludzi wciąż była głównym tematem ich rozmów i dyskusji. Zastanawiano się, jak długo potrwa śledztwo, no i przede wszystkim, kto mógł pozbawić życia najpierw Kowalskiego, a kilka dni później Kozicką.

Pierwszy odezwał się Bernacki.

— Mam nadzieję, że dobrze nam życzą — powiedział pokazując wzrokiem grupkę mężczyzn stojących przy kiosku „Ruchu”.

— Na pewno — odparł z przekonaniem Kasperek.

— Nie spodobała ci się Iwona Kowalska — zmienił temat rozmowy.

— Zgadłeś!

— Dlaczego?

— Jeszcze nie wiem.

— Podejrzewasz ją?

— Nie. Zauważyłem tylko, że jest niezłą aktorką. Doskonale zagrała pogrążoną w żałobie młodą wdowę...

Bernacki raptownie zatrzymał się.

— Przesadzasz. Powiem więcej: krzywdzisz ją — obruzył się. — Jestem głęboko przekonany, że jej rozpacz jest autentyczna.

Kasperek machnął z rozdrażnieniem ręką.

— Może i tak! — rzekł rozglądając się dookoła. Znajdowali się na ulicy Zbożowej. Od posesji Kazimierza Ostrowskiego dzieliło ich jeszcze około pięćdziesięciu metrów. — Spiszemy zeznania Ostrowskiego na protokół czy tylko tak sobie z nim pogawędzimy? — zapytał.

— Proponuję ograniczyć się do rozmowy — odparł

Bernacki. — Protokół sporządzimy jutro. A może trzeba będzie wezwać go do nas, do L.?

Kasperek pokiwał ze zrozumieniem głową. Znał Ostrowskiego dość dobrze. Swego czasu prowadził przeciwko niemu dochodzenie za kradzież materiałów budowlanych i przyjmowanie łapówek. Dlatego był bardzo ciekawy, jak zareaguje na jego widok.

Przyjął ich w kuchni. Był nie ogolony i czuć było od niego alkohol. Zmięte ubranie i podkrążone oczy wskazywały, że dopiero co wstał z łóżka.

— Pana znam — powiedział przyglądając się z nie ukrywaną niechęcią Kasperkowi. — To przez pana spędziłem prawie dwa lata za kratkami. Prawda? — zmrużył szyderczo oczy.

Kasperek zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy.

— Myli się pan — odrzekł próbując zachować obojętność. — Zasłużył sobie pan na nie.

Przez moment mierzyli się oczami.

— Czego ode mnie chcecie? — wykrztusił wreszcie podsuwając stołki. Sam usiadł na rozlatującym się krześle przy oknie. — Słucham! — warknął.

Kasperek wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Właśnie! — powiedział patrząc na Bernackiego. — Może ty wiesz, czego my możemy chcieć od spokojnego obywatela Ostrowskiego?

Kapitan zamrugał oczami.

— My? — zdziwił się podejmując rozpoczętą przez Kasperka grę. — To raczej pan Ostrowski ma do nas interes.

W oczach Ostrowskiego pojawiła się wściekłość.

— Ażebyście wiedzieli, że mam! — wycodził przez zęby. — Kiedy zwróćcie mi motocykl? Chyba te dwa tygodnie powinny wam wystarczyć na przeprowadzenie

badan. Ale co to was obchodzi, że ja nie mam czym jeździć do roboty — wykrzykiwał.

Bernacki i Kasperek popatrzyli rozbawieni na siebie.

— To pan nie wie, że badania wykazały, iż pański motocykl został celowo uszkodzony!? — zaatakował Bernacki. — Że komuś zależało, aby Kowalski dojechał nim prosto na tamten świat.

Wyprowadzony z równowagi Ostrowski, z ponurą miną wpatrywał się w drewnianą podłogę.

— Bzdura! — rzekł po chwili drapiąc się po brodzie. — To niemożliwe. Chcecie mnie zastraszyć!

Kasperek wymierzył w niego wskazujący palec.

— Jutro przekonają się pan, że nie żartujemy.

— Zresztą pan sam doskonale wie, że to prawda. Powiem więcej, pan nawet wie, kto to zrobił — dorzucił Bernacki.

Ostrowski opuścił głowę na kolana, następnie gwałtownie poderwał się i podszedł do kredensu. Otworzył drzwiczki, spoza talerzy wydobyl napoczętą butelkę wódki i postawił na stole.

— Muszę się napić — powiedział drżącym głosem, myśląc o czymś intensywnie. — Mogę? — zapytał wpatrując się w Bernackiego.

Ten skinął głową i wstał. Zrobił parę kroków i zatrzymał się przed trzęsącym się ze zdenerwowania Ostrowskim.

— Znał pan Hankę Kozicką? — zapytał.

— W tym mieście każdy ją znał — odparł szybko Ostrowski, uciekając ze wzrokiem. — Nic mnie jednak z nią nie łączyło — dorzucił przeczuwając, że milicjant zapyta go o to. — Nawet nie kłanialiśmy się sobie. Ja zresztą rzadko wychodzę do miasta, do późnej nocy pracuję, do domu wracam dopiero po dwudziestej.

— A nad czym to pan tak ciężko pracuje? — z ironią zapytał Kasperek.

— Prowadzę zakład blacharski.

— Od jak dawna i gdzie? — pytał dalej Bernacki.

— W Sitniku, pod Bełżycami. Wkrótce minie rok.

— Był pan na pogrzebie Pawła Kowalskiego? —
znenacka zmienił temat.

Ostrowski potarł dłonią czoło.

— A dlaczego niby miałbym nie być! — odrzekł
prostując się na krześle. — Lubilem go.

— Ale ostatnio ponoć pogniewaliście się!? Dlaczego?

Na twarzy Ostrowskiego pojawiło się zakłopotanie.

— Tak, faktycznie! — przyznał się. — Od ponad roku
nie odzywaliśmy się do siebie. Bo wie pan, nie wiadomo
dlaczego, bez żadnych podstaw, zaczął rozpowiadać, że ja
kombinuję z Iwoną, znaczy z jego żoną. Powiedziałem mu
więc parę przykrych słów. O mało mnie nie pobił. I tak się
skończyła nasza przyjaźń.

Bernacki uśmiechnął się kpiąco.

— A jaka jest prawda? Kombinuje pan z Iwoną czy nie?

Ostrowski obrzucił milicjanta nienawistnym spojrzeniem.

— Zawsze traktowałem ją jak koleżankę. Razem cho-
dziliśmy do ogólniaka, od czasu do czasu na dancingi i nic
poza tym.

Bernacki z powątpiewaniem pokiwał głową.

— Nie wierzę — rzekł.

— Pańska sprawa — mruknął Ostrowski, przyglądając
się swoim dłoniom.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, dlaczego pożyczył pan
swojemu wrogowi motocykl? Nie mogę tego zrozumieć.

Ostrowski znieruchomiał na moment.

— Ja!? — zdziwił się. — A skąd ma pan takie
informacje? — zaśmiał się krótko, chrapliwie. — No i
przede wszystkim nie wrogowi — zaprotestował. — Ja
Pawła nigdy nie uważałem za wroga.

Bernacki strapił się.

— Chce pan powiedzieć, że sam sobie wziął?

— Chyba tak. Stał przed warsztatem, nie zabezpieczony...

— Pójdzie pan na pogrzeb Hanki Kozickiej? — znów zmienił temat.

Ostrowski przez dłuższy czas nie odpowiadał. Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy.

— Oczywiście, że pójdę — odrzekł wreszcie. — A dlaczego miałbym nie pójść!? Znałem ją przecież.

Bernacki pokiwał ze zrozumieniem głową i spojrzał na zegarek.

— To dobrze — powiedział. — Późno już. Dzisiaj nie będziemy protokółować pańskich zeznań. Zrobimy to jutro. Proszę się więc zastanowić co do tego motocykla — uśmiechnął się tajemniczo. — Zrozumieliśmy się?

Ostrowski niecierpliwie potrząsnął głową.

— Ja nic więcej nie wiem! — oświadczył stanowczo i sięgnął po butelkę. — A jeśli chodzi o motocykl, to chciałbym go jak najszybciej odzyskać. Powiedziałem już chyba dlaczego!

— Pamiętam — rzekł Bernacki i położył mu dłoń na ramieniu. — Ale jutro pogadamy konkretnie, bez niedomówień i wzajemnego czarowania. Szczerze. Jak na spowiedzi. Dobrze?

Ostrowski wzruszył z rozdrażnieniem ramionami.

— Wszystko mi jedno — burknął. — Może być dzisiaj, może być jutro — dorzucił sztywno. — Nic innego ode mnie nie usłyszycie.

— Nie wierzę panu! — do rozmowy włączył się Kasperek. Siedział na taborecie, po prawej stronie Ostrowskiego i nie spuszczał z niego oczu. — Z własnego doświadczenia powinien pan wiedzieć, że nie uda się panu nas oszu-

kać. Prędzej czy później dowiemy się prawdy. I co wtedy?

Ostrowski poderwał się gwałtownie. Chwilę stał, z butelką w rękę, jak gdyby chciał złożyć ważne oświadczenie. Oczy mu błyszczały, drżały kąciki ust.

— Powiedziałem prawdę — wyrzekł jednak i ciężko opadł na krzesło. Potem podniósł butelkę do ust i zaczął pić łapczywie.

Bernacki odwrócił się z niesmakiem i mruknawszy do widzenia, wyszedł. Kasperek zaś jeszcze przez kilkadziesiąt sekund przyglądał mu się badawczo. Nic jednak oprócz złości nie wyczytał z jego rozognionej twarzy. Dopiero na ulicy przypomniał sobie, że tak samo zakończyła się jego pierwsza z nim rozmowa.

Tylko że wtedy wiedziałem, o co go podejrzewam — pomyślał — a dzisiaj... — Machnął z rezygnacją ręką i szybko dołączył do oczekującego nań Bernackiego. Nie spiesząc się poszli w kierunku rynku.

O dwudziestej w gabinecie majora Lewickiego poza gospodarzem i jego dwoma inspektorami znajdowali się także: kapitan Andrzej Maciejczak z dochodzeniówki i ekspert, kapitan Longin Szubert z wydziału kryminalistyki, specjalista z dziedziny mechanoskopii. W milczeniu oczekiwano na lekarza medycyny sądowej Andrzeja Strzałkowskiego, który już wczoraj obiecał zapoznać prowadzących śledztwo z wynikami sekcji zwłok Hanki Kozickiej i Pawła Kowalskiego. Gotowa też już była ekspertyza stanu technicznego motocykla. Kapitan Szubert, ponaglany przez Lewickiego od soboty, prawie nie opuszczał laboratorium. Wreszcie o osiemnastej, po szczegółowym przebadaniu materiałów zabezpieczonych na miejscu wypadku, zakończył opracowanie ostatecznej wersji opinii. Siedział teraz w

kącie gabinetu z głową wtuloną w ramiona, niepozorny, z podkrążonymi od wielogodzinnego wpatrywania się w mikroskop oczami i zastanawiał się, czy opinia zakładu medycyny sądowej co do przyczyn zgonu Kowalskiego będzie w jakimś stopniu korespondowała z jego orzeczeniem.

— Kiedyż on się wreszcie zjawi! — powiedział półgłosem i rozejrzał się niespokojnie po gabinecie. Przyszło mu na myśl, że medyk za przyczynę śmierci Kowalskiego uznał obrażenia odniesione przez niego w wypadku drogowym. Wtedy jego ekspertyza zostanie uznana przez siedzących obok kolegów za całkowicie fałszywą. Wzdrygnął się na tę myśl, przeciągnął dłonią po ostrzyżonych na jeża czarnych włosach i mruknął:

— A może on zapomniał o nas!

— Cierpliwości! Jest dopiero kwadrans po ósmej — uspokajał go Bernacki. — Zaraz przyjdzie.

— Obiecał mi, że się nie spóźni — odezwał się major Lewicki, wpatrując się w wiszący na ścianie zegar. — Cóż, nie będziemy dłużej czekać — postanowił po krótkim namyśle. — Szkoda czasu! Bernacki! Co nowego w B.?

Kapitan skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Niewiele! — rzekł. — Nadal nie wiemy, kto jest sprawcą.

— Nie jest tak źle! — wpadł mu w słowo Kasperek i spojrzał na niego z dezaprobatą. — Mordercą, według mnie oczywiście, jest najprawdopodobniej mecenas Grabowski... — przerwał na chwilę i popatrzył po zebranych, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na nich jego słowa.

Major wyprostował się za biurkiem. Niespokojnie zamrugał oczami.

— Mów dalej — ponaglił.

Kasperek sięgnął po leżące przed Bernackim akta, następnie odnalazł protokół przesłuchania Grabowskiego i

odczytał go. Zrelacjonował też pokrótce rozmowy, jakie przeprowadzili z Kowalską i Ostrowskim. Później odpowiadał na pytania.

Lewicki poprosił o zabranie głosu kapitana Szuberta. Ekspert, zbudzony z głębokiego zamyślenia, włożył okulary i odchrząknął.

— Zacznę od oględzin miejsca znalezienia zwłok Pawła Kowalskiego — rozpoczął powoli, cedząc słowa. — Jak wiecie, znajduje się ono w miejscowości Piotrków, dwa kilometry przed B. Zwłoki leżały w płytkim, trzydziestocentymetrowym rowie, w odległości trzech metrów od motocykla, twarzą do ziemi. W odległości jednego metra od zwłok leżał plastikowy kask z porwanym paskiem. Motocykl i kask zabezpieczyłem i poddałem dokładnym oględzinom. Stwierdziłem następujące uszkodzenia motocykla: stłuczenie reflektora, zgięcie poniklowanej ramy, spłaszczenie w dwóch miejscach przedniego błotnika oraz przecięcie opony i dętki w przednim kole o długości dwóch centymetrów. Ponadto stwierdziłem, że podpórka motocykla była otwarta. Na miejscu zdarzenia nie ujawniłem żadnych śladów hamowania lub wleczenia motocykla. Kawałki szkła z rozbitego reflektora rozrzucone były w promieniu półtora metra. I to byłyby najważniejsze momenty, na które zwróciłem uwagę — Szubert przerwał na kilkanaście sekund. — A teraz wnioski. — Podjął tym samym monotonnym głosem. — Uszkodzenia motocykla powstały w czasie, gdy pojazd stał na podpórce. Położenie ciała ofiary i motocykla jest sztuczne. Ułożono je tak, aby upozorować wypadek. Oponę i dętkę przepiłowano ostrym i cienkim narzędziem, najprawdopodobniej nożem. Czynności te wykonano na unieruchomionym kole motocykla. A zatem — ekspert urwał na chwilę — zdarzenie to jest umyślnym, zamaskowanym zabójstwem — zakończył.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Bernacki i Kasperek zastanawiali się, dlaczego tak długo trwały te badania, Maciejczak zaś myślał, że po upływie dwóch tygodni niezmiernie trudno będzie zrekonstruować okoliczności zabójstwa, bo świadkowie zaczną zasłaniać się niepamięcią, a Ostrowski, traktowany dotychczas przez miejscowych milicjantów bardziej jako świadek niż podejrzany, wciąż będzie upierać się przy swoich zeznaniach, złożonych pierwszego już dnia, zaraz po znalezieniu zwłok. Muszę się ostro wziąć za niego — postanowił. Lewicki ze ściągniętymi gniewnie brwiami wciąż coś notował w swoim notatniku. Wreszcie skończył. Rzucił długopisem o biurko i podniesionym głosem powiedział:

— To skandal! Bo inaczej tego nie można nazwać! Czy te badania rzeczywiście musiały tak długo trwać? — zapytał łagodniejszym nieco już tonem.

Kapitan Szubert ociągał się z odpowiedzią.

— Niestety! — rzekł tylko.

Lewicki machnął z powątpiewaniem ręką.

— Być może! Nie znam się na tym! Mam za to parę pytań. Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, jakiego przedmiotu użyto do zdemolowania tego nieszczęsnego motocykla.

— Najprawdopodobniej metalowego prętu o grubości około centymetra — poinformował prędko Szubert.

— A czy nie mogło być tak, że na Kowalskiego, który siedział na motocyklu, stojącym na podpórcie, najechał jakiś samochód?

Szubert zdecydowanie pokręcił przecząco głową.

— To niemożliwe! Przeczy temu charakter uszkodzenia ramy, błotnika i reflektora. Uderzono w nie co najmniej trzykrotnie.

— A może... — przerwał, gdyż do gabinetu wszedł

doktor Strzałkowski. Rzucił aktówkę na stół i usiadł obok Kasperka, uśmiechając się przepraszaingly. Lewicki zmierzył go taksującym spojrzeniem.

— Co się z tobą działo? — zapytał.

Strzałkowski potarł dłonią czoło, wzruszył bezradnie ramionami.

— Przepraszam — rzekł cicho. — Do dwudziestego miałem dyżur w szpitalu.

— Ale opinię z sekcji zwłok to chyba masz przygotowaną!?

— Oczywiście.

Major z hałasem odsunął się od biurka.

— Macie pytania do kapitana Szuberta? — zapytał.

Oficerowie przecząco pokręcili głowami. Ekspertyzy Szuberta zawsze były nie do podważenia. Teraz ciekawi byli, co o przyczynach śmierci Pawła Kowalskiego powie lekarz.

Lewicki wstał, zapalił papierosa i podszedł do okna. Było już zupełnie ciemno. W stojącym naprzeciwko budynku tylko w niektórych oknach paliło się światło. Odwrócił się powoli i patrząc na Strzałkowskiego, powiedział:

— Udzielam ci głosu! Postaraj się mówić krótko, konkretnie. Jest już bardzo późno.

Lekarz rozpiął marynarkę i przysunął się do stołu. Jego młoda twarz stężała. Przesunął dłonią po jasnych, falujących włosach i spokojnie rozpoczął:

— Podczas sekcji zwłok Pawła Kowalskiego stwierdziłem trzy rany tłuczone głowy. Pierwszą w okolicy ciemieniowo-potylicznej tylnej, drugą w okolicy potylicznej lewej i trzecią w okolicy czołowej prawej na granicy owłosienia. Wszystkie te rany połączone były ze złamaniami kości czaszki. Na zwłokach nie zauważyłem żadnych śladów otarć, wskazujących na wleczenie ofiary. Rany te powstały

na skutek uderzenia twardym, okrągłym przedmiotem i spowodowały prawie że natychmiastowy zgon. Stanowczo wykluczam wypadek drogowy jako przyczynę powstania tych obrażeń, mimo że jeszcze dzisiaj rano ja i moi koledzy z zakładu medycyny sądowej twierdziłszy, że mogły one powstać w jego wyniku. Dopiero badanie krwi na zawartość alkoholu otworzyło nam oczy. Otóż Kowalski w chwili śmierci był trzeźwy. Alkohol wiano mu do żołądka już po zgonie. Wtedy jeszcze raz przeanalizowaliśmy charakter tych trzech ran i już zgodnie doszliśmy do wniosku, że pochodzą one prawdopodobnie od metalowego, grubego pręta, a zadać je musiała ręka człowieka. Jeśli zaś chodzi o śmierć Hanki Kozickiej, to spowodowało ją pięć ran kłutych, w tym dwie serca. To wszystko, co mam do powiedzenia — zakończył z wyraźną ulgą, spoglądając na majora.

Lewicki zgasił papierosa i wrócił na swoje miejsce.

— Czy nie można było dojść do tych wniosków tydzień wcześniej? — rzucił zgryźliwie nie kryjąc zdenerwowania.

Szubert i Strzałkowski pospuszczali głowy. Widać jednak było, że nie zamierzają się tłumaczyć.

— Przecież morderca przez te dwa tygodnie na pewno zatarł wszelkie ślady, przygotował sobie alibi, nauczył się zeznań — mówił dalej Lewicki. — Jeśli nam się nie uda go wykryć, będzie to tylko wasza wina. Czy te dwa zabójstwa mają ze sobą jakiś związek? — zapytał niespodziewanie.

— Tak. Zdarzyły się w tym samym mieście — odpowiedział spokojnie Maciejczak i lekko uśmiechnął się.

Lewickiego aż podrzuciło.

— To wiem! — warknął postukując palcami lewej ręki o biurko. — Bernacki! Co o tym sądzisz?

Kapitan zmarszczył czoło i uśmiechnął się bezradnie.

— Nie mam pojęcia — oświadczył.

— A ty? — major zwrócił się do Kasperka.

— Przypuszczam, że tak. Wynika to z zeznań świadków, z notatek.

— A co je łączy konkretnie!? — dopytywał się.

— Osoba mordercy — odparł przeczuwając, że naczelnik żąda od niego właśnie takiej odpowiedzi.

— Otóż to! — wykrzyknął major. — Wkrótce przekonacie się, że mordercą Kozickiej i Kowalskiego jest ten sam człowiek. Tak mi podpowiada moja intuicja. A wiecie, że jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

— Tym razem zawiedzie! — wtrącił ponuro Maciejczak. Był najstarszy z inspektorów. W milicji pracował już dwadzieścia lat, od początku w sekcji zabójstw. — Z dotychczas zebranych materiałów procesowych i operacyjnych wynika coś wręcz przeciwnego — kontynuował mrużąc swoje niebieskie, duże oczy. — Mordercą Kozickiej jest najprawdopodobniej mecenas Grabowski, zaś Kowalskiego zabić mógł tylko Ostrowski. I tego będę się trzymać w swoich działaniach do skutku, aż udowodnię im winę.

— A jaką rolę wyznaczyłeś Kowalskiej? — zapytał Kasperek. — Pamiętaj, że dzisiaj nie chciała przyznać się do tego, iż rozmawiała przez telefon z Kozicką w piątek kilka godzin przed jej śmiercią.

— Czy to jest pewna informacja?

— Jak najbardziej. Sprawdziliśmy ją z Adamem.

— Więc może jest kochanką Ostrowskiego i jego pomocnicą!?

— Nie można wykluczyć też żony mecenasa — zauważył Bernacki. — Zazdrosna kobieta jest zdolna do wszystkiego — dokończył sentencjonalnie.

W gabinecie ucichło na kilka chwil.

— Kogo jeszcze powinniśmy umieścić na liście osób podejrzanych? — zapytał Lewicki z zamiarem podtrzymania dyskusji.

— Na razie wystarczy nam tych nazwisk — odezwał się Maciejczak. — Gruntowne sprawdzenie ich alibi, kontaktów, powiązań zajmie nam na pewno dwa, trzy dni.

— Macie rację! — poparł go Kasperek. — A co do nowych nazwisk, to nie musimy się martwić. Ostrowski broniąc się dostarczy nam podejrzanych. Kowalska też.

— Nie zapominaj też o mieszkańcach B. — dorzucił Bernacki. — W miasteczku aż huczy od plotek.

— W każdej plotce jest odrobina prawdy — wtrącił się Szubert. — Już oni najlepiej wiedzą, kogo stać na popełnienie zbrodni. Znają się od dziecka, codziennie spotykają na ulicy, w kolejkach...

Znów na moment zapanowała cisza. Lewicki podniósł oczy znad biurka i popatrzył po twarzach siedzących naprzeciwko milicjantów. Postanowił zakończyć odprawę. Już wiedział, jakie zadania przydzielić na jutro.

— Proszę kolegów! — zaczął enérgeticznie, aby ukryć ogarniające go zmęczenie. — Jutro czeka nas bardzo ciężki dzień. Po wysłuchaniu waszych uwag i opinii doszedłem do wniosku, że należy bezzwłocznie zatrzymać mecenasa Grabowskiego, Iwonę Kowalską i Kazimierza Ostrowskiego, przeprowadzić przeszukanie ich mieszkań, warsztatów pracy, zabezpieczyć do badań kryminalistycznych ich ubranie i obuwie, zdaktyloskopować. Kapitan Maciejczak zajmie się mecenasem, inspektor Bernacki Kowalską, a porucznik Kasperek Ostrowskim. O ich losie zadecyduje prokurator. Przypuszczam, że na podstawie posiadanych przez nas materiałów procesowych zastosuje wobec nich środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztu. Są pytania? — zamknął notatnik, do kieszeni schował długopis. — Słucham! — ponaglił.

Oficerowie nie mieli jednak żadnych wątpliwości co do słuszności poleceń naczelnika. Zaraz też rozeszli się pełni nadziei, że poniedziałek przyniesie nowe informacje, które wreszcie wprowadzą śledztwo na właściwe tory.

Poniedziałek zaczął się jednak fatalnie. Punktualnie o ósmej na biurku Lewickiego zadzwieczał telefon. Major, nie przerywając lektury porannej prasy, sięgnął po słuchawkę.

— Lewicki, słucham — powiedział.

— Melduje się porucznik Kasperek — usłyszał. Głos inspektora brzmiał nienaturalnie, niepokojąco.

Lewicki złożył gazetę i rzucił ją na stojący nie opodal fotel.

— Co się stało? — zapytał niecierpliwie. — No, mówże prędzej! — ponaglił.

W słuchawce przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie porucznik jednym tchem wyrzucił z siebie:

— Ostrowski nie żyje! Został zamordowany!

Major uniósł się na krześle, zamrugał nerwowo oczami i mocniej ścisnął słuchawkę. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Do tej pory zajmował się włamaniami. Śledztwa w sprawach o zabójstwa prowadził pułkownik Gozdarowski. Od pierwszego września Gozdarowski był już jednak na emeryturze.

— Cholera! — zaklął zakrywając dłonią mikrofon, następnie wstał, otworzył na oścież okno i zaczerpnął powietrza. Dopiero wtedy rzucił w słuchawkę:

— Czy to jest pewne? Może popełnił samobójstwo!?

— Nie! — odparł szybko Kasperek. — Ma potworną ranę na szyi, leży w kałuży krwi.

— Kiedy to się stało?

— Lekarz twierdzi, że około trzeciej nad ranem.

— I co my teraz zrobimy? — major coraz bardziej wpadał w panikę. — Zabezpieczyliście jakieś ślady? — zapytał.

— Jeszcze nie rozpoczęliśmy oględzin miejsca zabójstwa — już nieco spokojniej poinformował Kasperek. — A ponadto będzie nam potrzebny porządny fotograf i ekspert...

— Za dziesięć minut wyjadą do was — przerwał mu Lewicki. — Oględziny prowadzić będzie Maciejczak!? — bardziej stwierdził, niż zapytał.

Kasperek potwierdził.

— A ty czym się teraz zajmiesz? — pytał dalej Lewicki, myśląc jednocześnie, że powinien natychmiast poinformować o wydarzeniu szefa wojewódzkiego urzędu. Tylko co ja mu powiem? — zastanawiał się gorączkowo. Bo zapewnienie, że staramy się wykryć mordercę, na pewno mu nie wystarczy.

— Wyjaśnieniem okoliczności morderstwa — dobiegł go głos Kasperka. — Postaram się zrekonstruować ostatnie godziny jego życia.

— A co z Kowalską i mecenasem?

— Mecenas jest już w prokuraturze wojewódzkiej. Zawiózł go Bernacki. Po powrocie przesłucha Kowalską.

— Potrzebujecie pomocy?

Kasperek długo nie odpowiadał. Analizował sytuację.

— Tak — rzekł w końcu. — Jest nas za mało i, prawdę powiedziawszy, ogarnia mnie przerażenie...

— Mnie także — przyznał się Lewicki. — Wyślę wam mojego zastępcę, majora Rybińskiego. — Przez kilkanaście lat był kierownikiem sekcji zabójstw, jest doświadczonym milicjantem, ma wiele sukcesów na swoim koncie — przerwał, gdyż zorientował się, że reklamuje swojego zastępcę. Wiedział, że Bernacki, Kasperek, a także inni

inspektorzy z sekcji zabójstw mieli nieco odmienne zdanie na jego temat.

— Czy to oznacza, że będzie on kierownikiem grupy śledczej? — zapytał Kasperek bez entuzjazmu w głosie.

— Właśnie to chciałem powiedzieć! — odrzekł twardo Lewicki. Przełożył słuchawkę do lewej ręki, prawą zaś chwycił firankę i zasłonił okno. Wrześniowe słońce świeciło z każdą minutą silniej. W gabinecie nagle zrobiło się duszno, a na czole Lewickiego pojawiły się krople potu. — Po szesnastej przyjadę do was — dodał po chwili nie zmieniając tonu.

— Tak jest — powiedział Kasperek.

— Powiedzcie mi jeszcze, dlaczego wczoraj nie zatrzymaliście tego Ostrowskiego w areszcie!? — zaatakował niespodziewanie. — Były przecież podstawy.

Kasperka zatkało. Pomyślał, że szef chce zrzucić na nich odpowiedzialność. Szybko jednak odzyskał pewność siebie.

— Bo nie otrzymaliśmy od majora takiego polecenia! — odparował.

Tym razem długo nie odpowiadał Lewicki.

— Tak! — rzekł wreszcie. — Popelniliśmy poważny błąd. Ostrowski powinien dzisiejszą noc spędzić w naszym areszcie — umilkł na chwilę. — Trudno, stało się — westchnął głęboko. — Zadzwonicie, gdy uporacie się już z oględzinami miejsca zabójstwa Ostrowskiego. Mam nadzieję, że morderca pozostawił trochę śladów po sobie...

— Mocno w to wierzę — rzekł Kasperek.

— No to do roboty! — otarł chusteczką pot z twarzy. — Nie zapomnijcie o przydzieleniu odpowiednich zadań miejscowym milicjantom. Są u siebie, mają więc znacznie większe możliwości...

— Już to zrobiłem — przerwał mu Kasperek. — Bardzo na nich z Bernackim liczymy.

— Przede wszystkim jednak liczcie na siebie. Nie ich, lecz was będę rozliczać z postępów w śledztwie — przestrzegął.

Kasperek uśmiechnął się. Wiedział, że Lewicki jest wielkim służbistą.

— Pamiętam o tym! — odparł zjadliwie.

— To dobrze! — rzekł naczelnik i położył słuchawkę. Potem długo wpatrywał się w wiszący na ścianie kalendarz. Od pierwszego zabójstwa minęły dwa tygodnie, a oni wciąż poruszali się po omacku i nic nie wskazywało, że najbliższe dni przyniosą rozwiązanie zagadki. Przeciwnie, sprawa komplikowała się coraz bardziej. Przysunął bliżej telefon i wykręcił numer swojego zastępcy.

— Słuchaj! — powiedział spokojnie. — W B. zdarzyło się nowe zabójstwo. Tak, trzecie w przeciągu dwóch tygodni. Pojedź tam i zrób wszystko, ażeby było ostatecznie. W ciągu trzech dni musimy mieć mordercę. Powtarzam, musimy. Zabierz ze sobą fotografa, a także specjalistę od zabezpieczenia śladów, najlepiej Szuberta, jest chyba najsolidniejszy. To wszystko. Powodzenia! — odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko. Czekala go teraz wizyta u szefa wojewódzkiego urzędu. Wstał, zapiął marynarkę, poprawił krawat i ruszył w stronę drzwi.

— Idę do pułkownika Koczary — rzekł do sekretarki.

Kapitan Bernacki o zabójstwie Ostrowskiego dowiedział się dopiero o godzinie dziesiątej po powrocie z prokuratury wojewódzkiej. Zmroziła go ta wiadomość. Przez dobrą minutę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wreszcie opadł bezwładnie na krzesło i jęknął:

— Nie, to niemożliwe!

Kapitan Wołczyński wyszedł z za biurka.

— Niestety, to prawda — powiedział smutno. — Byłem tam.

Bernacki podniósł na niego oczy.

— Powinienem go chyba zobaczyć — rzekł.

Wołczyński wzruszył ramionami.

— A po co? — zapytał. — Zresztą zwłoki zostały już zabrane do zakładu medycyny sądowej. Strzałkowski obiecał, że jeszcze dzisiaj zrobi sekcję. Do oględzin też nie jesteś im potrzebny. Dadzą sobie radę bez ciebie, tym bardziej że przyjechał major Rybiński.

Bernacki wstał. Był już spokojny, opanowany.

— Masz rację — powiedział. — Zajmę się Kowalską i mecenasową. Prawdopodobnie jest już w domu.

— Tak! To druga wiadomość, jaką miałem ci przekazać.

— A ja mam dla niej przykrą nowinę. Prokurator aresztował jednak jej męża. Nie uwierzył w jego zeznania.

Kierownik wrócił za biurko.

— Spodziewałem się tego — rzekł robiąc mądrą minę. — Możemy więc spokojnie zabrać się do zbierania dowodów przeciwko niemu. Przypuszczam, że teraz, gdy siedzi, znajdują się nawet świadkowie.

Bernacki pokiwał głową, potem przysunął krzesło do biurka i usiadł. Na kilkadziesiąt sekund zapanowało milczenie. Pierwszy odezwał się Wołczyński:

— Dać ci milicjanta do pomocy? — zapytał.

Bernacki wzruszył ramionami.

— Dziękuję, poradzę sobie! — mruknął obojętnie, myśląc, że tym razem zabrali się do śledztwa wyjątkowo ślamazarnie. — A może są jakieś pozytywne efekty naszych dotychczasowych działań? — zapytał z gorzką ironią.

Kierownik wtulił głowę w ramiona i zaczerwienił się.

— Niestety, na razie żadnych — odparł cicho ze

wzrokiem utkwionym w blacie biurka. Zachowywał się tak, jakby wszystko to, co do tej pory wydarzyło się w miasteczku, było wyłącznie jego winą. W milicji pracował trzydzieści lat, z czego dwadzieścia pięć spędził w tym budynku. Zdarzyło się kilka morderstw, parę napadów z bronią w rękę. Były to jednak sprawy proste, najczęściej zwykłe, sąsiedzkie porachunki. Tym razem było inaczej. — Zastanawia mnie — podjął przenosząc spojrzenie na Bernackiego — dlaczego w mieście coraz mniej mówi się o morderstwach. Ludzie wzruszają ramionami, nawet ci, którzy niejednokrotnie mi pomogli, nie chcą wypowiadać się na ten temat. Jakby się bali...

— Dziwisz się im!? — przerwał mu gwałtownie Bernacki.

— No nie, przy tego typu sprawach to chyba naturalne — zgodził się kierownik. — Mam jednak nadzieję, że aresztowanie Grabowskiego rozwiąże niektórym języki.

Bernacki skinął głową i powiedział sucho:

— Obyś miał rację! — Wstał i podszedł do okna. Nadal było słonecznie, ciepło. — Przejdę się — dorzucił patrząc na pożółkłe już korony drzew.

— Mógłbym pójść z tobą — zaoferował pomoc Wołczyński.

Bernacki powoli odwrócił się. Na jego ustach pojawił się ciepły, grzeczny uśmiech. Nic jednak nie powiedział. Myśłami był już na ulicy Wyzwolenia, w mieszkaniu adwokata Grabowskiego. Zastanawiał się, jak przyjmie go Zuzanna Grabowska, czym wytłumaczy swój nagły wyjazd z miasteczka i jeszcze szybszy powrót, jak zareaguje na fakt aresztowania jej męża. Ciekawy był też najnowszych plotek, które Grabowska niewątpliwie znała. Postanowił wydobyć z niej wszystko, nie tylko plotki, poznać jej tajemnice, nawet te najbardziej osobiste, intymne.

— Za dwie godziny przyślij samochód — poprosił biorąc do ręki teczkę.

— A co? Zamierzasz może przywieźć tutaj panią mecenasową? — zainteresował się Wołczyński.

Bernacki zatrzymał się z ręką na klamce.

— Być może! — odrzekł. — Jest jedną z sześciu najbardziej interesujących nas osób. Troje z nich już nic nam nie powie, bo zostali zamordowani. Hanka Kozicka, kochanka mecenasa Grabowskiego — z ponurą miną zaczął wyliczać — Kazimierz Ostrowski, kochanek Iwony Kowalskiej i Paweł Kowalski, wielbiciel i przyjaciel Hanks Kozickiej. Jak dotychczas żyją: mecenas Grabowski, jego żona i Iwona Kowalska. Muszę się wreszcie dowiedzieć, co ich ze sobą łączyło. Powinienem się spieszyć, bo kto mi zaręczy, że jutro Kowalska i mecenasowa będą jeszcze wśród żywych? Na razie bezpieczny jest tylko Grabowski.

Wołczyński odchrząknął i podrapał się po łysinie.

— Nie kracz! — wyszeptał z przestachem. Nadal nie mogło pomieścić mu się w głowie, że w tym jego spokojnym, cichym i sennym miasteczku zdarzyły się trzy potworne morderstwa. — Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował. Cały czas będę u siebie.

— A ty powiadom mnie o wynikach oględzin miejsca zabójstwa Ostrowskiego — poprosił Bernacki. — Myślę, że skończą je, zanim ja uporam się z przesłuchaniem mecenasowej.

Wołczyński skinął głową, po czym wyszedł zza biurka i zatrzymał się przy Bernackim.

— Życzę powodzenia! — rzekł kładąc mu rękę na ramieniu. — A jeszcze jedno — powstrzymał zbierającego się już do wyjścia kapitana — Grabowska jest jeszcze przystojną, uroczą kobietą. Nie daj się zwieść — przestrzegł uśmiechając się szeroko.

Mecenasowa okazała się kobietą ponad czterdziestoletnią, wysoką, dość tęgą, o czarnych włosach i pełnych wargach. Przyjęła go sztywna, dostojna i wyniosła. Widać było jednak, że z trudem zachowuje spokój. Najpierw obrzuciła go taksującym, nieprzyjemnym spojrzeniem, następnie zaprosiła do pokoju, wskazała obszerny skórzany fotel, sama zaś przysiadła na brzegu kanapy.

— Już myślałam, że pan dzisiaj nie przyjdzie! — powiedziała wciąż przyglądając się uważnie i podejrzliwie Bernackiemu, po czym ze źle udanym zainteresowaniem zajęła się wertowaniem legitymacji, którą kapitan wręczył jej zaraz po przekroczeniu progu mieszkania. — Szybko pan awansował. W pańskim wieku większość milicjantów jest jeszcze w stopniu sierżanta — rzekła zgryźliwie.

Bernacki postanowił nie zareagować na zaczepkę.

— Dziękuję za uznanie — rzekł spokojnie. — Porozmawiajmy jednak o pani. O ile się nie przesłyszałem, oczekiwała mnie pani!

— Tak, z wielką niecierpliwością!

— Cieszę się! Bo to oznacza, że ma mi pani coś ważnego do powiedzenia. Zgadłem?

Grabowska po raz pierwszy uśmiechnęła się. Nie porzuciła jednak ironii.

— Jest pan także jasnowidzem! Napije się pan kawy? — zapytała niespodziewanie.

— Z przyjemnością!

Mecenasowa podniosła się z niejakim trudem z kanapy, obciągnęła spódnicę.

— To potrwa dobre pięć minut — powiedziała. — Będzie pan miał czas zastanowić się jeszcze raz nad pytaniami, z którymi pan tu przyszedł.

— A pani nad odpowiedziami na nie!

— Nie sądzę, ażeby mnie pan zaskoczył. Znam...

— Mimo to postaram się — przerwał jej Bernacki.

Grabowska wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Miło się z panem gawędzi — rzekła i poszła do kuchni.

Bernacki został sam w małym, najwyżej piętnastometrowym pokoju, urządzonego tak jak tysiące innych tego typu mieszkań. Trzy jasne regały, szafa, na półkach kryształ, książki, porcelana, na ścianie reprodukcje Chełmońskiego, Renoira. Wpatrując się w „Drogę wśród traw” to znów w „Żurawie” zastanawiał się, jak zareaguje Grabowska, gdy powie jej, że przed godziną prokurator wojewódzki zastosował wobec jej męża areszt tymczasowy. Ucieszy się czy zmartwi, a może zacznie rozpaczać, obwiniać milicję? Postanowił też, że zapyta ją o kochanka. Bo co do tego, że go miała, Bernacki nie miał żadnych wątpliwości. Choćby dlatego, żeby odegrać się na swoim niewiernym mężu.

— Może pani pomóc? — krzyknął.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Wstał więc i poszedł w stronę kuchni. Zastał Grabowską wpatrzoną w okno, zamyśloną, nieobecną.

— Może jednak zrezygnuję z tej kawy — powiedział łagodnym głosem. — Poczekam na lepszą okazję.

Grabowska odwróciła się powoli, popatrzyła na niego uważnie swoimi ciemnymi oczami i rzekła cicho:

— Przepraszam, zamyśliłam się trochę nad swoim życiem.

Bernacki pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Wiem, że jest pani bardzo ciężko. Została pani sama...

— No nie, tak źle to jeszcze ze mną nie jest — zaprotestowała gwałtownie. — Mam przyjaciół, koleżanki. Nie wyglądam chyba na tak zwaną kurkę domową — zakończyła spokojnie, nalewając wrzątku do kolorowych filiżanek.

— Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem — zapewnił Bernacki.

— Jest pan nawet miły! Chodźmy dokończyć tę rozmowę.

Bernacki zajął swoje poprzednie miejsce, Grabowska zaś usiadła naprzeciwko niego na krześle.

— Sąsiadki powiedziały mi, że zabrał pan dzisiaj o świcie mojego męża. Chciałabym wiedzieć dokąd i dlaczego? — podjęła spokojnym, rzeczowym tonem.

Bernacki sięgnął po kawę. Przez długą chwilę nie odpowiadał, wpatrywał się w siedzącą przed nim kobietę. Zaczynała mu się podobać jej bezpośredniość i rzeczowość.

— Powiedziały też zapewne, co podczas pani nieobecności zdarzyło się w miasteczku.

— Owszem!

— Więc powinna pani wiedzieć, dlaczego zatrzymaliśmy pani męża.

— Przypuszczacie, że on zabił swoją kochankę!?

— Wiele okoliczności na to wskazuje.

— Bzdura! — zdenerwowała się Grabowska. — Zdarza się to tylko w kryminalnych filmach. Ja dobrze znam swojego męża. On nie mógł tego zrobić.

— Prokurator jest innego zdania.

— Aresztował go?!

— Tak, pod zarzutem zabójstwa Hanki Kozickiej.

Grabowska podniosła się gwałtownie i przeszła się po pokoju.

— To straszne nieporozumienie — powiedziała zatrzymując się przed Bernackim. — Pewnie też uważacie, że zabił on Pawła Kowalskiego, a dzisiejszej nocy Kazika Ostrowskiego. Ludzie, przecież wy się kompromitujecie!

— To o morderstwie Ostrowskiego także już pani wie? — zdziwił się Bernacki.

— Tak, wiem. Wiem także, że wie o tym cały blok, w którym mieszkam, a pewnie też większość mieszkańców tego uroczego miasteczka, w którym przyszło mi żyć — powiedziała uśmiechając się ironicznie.

Bernacki podniósł kawę do ust.

— Doskonała, dawno takiej nie piłem! — pochwalił. — O której pani wróciła? — zapytał po chwili.

— Kilka minut po ósmej — odparła szybko. — Przyjechali milicjanci z Włodawy i kazali mi wracać do domu.

— A dlaczego pani wyjechała? Tylko niech mi pani nie mówi, żeby odwiedzić rodziców!

Grabowska poczerwieniała i zmieszała się.

— Przede wszystkim właśnie po to — odrzekła po chwili namysłu. — A poza tym chciałam przemyśleć pewne sprawy, poradzić się rodziców.

— Co to za sprawy?

— Postanowiłam rozwieść się z mężem.

— I co na to pani rodzice?

— Zgodzili się ze mną, że dalsze życie z tym człowiekiem jest bez sensu.

— Ma pani kogoś?

Grabowska uniosła powieki i spojrzała bystrym, hardym wzrokiem na Bernackiego.

— To moja osobista sprawa — rzekła.

— W takim razie spróbuję dowiedzieć się nazwiska tego mężczyzny w inny sposób — spokojnie powiedział Bernacki. — Przypuszczam, że wielu ludzi w miasteczku wie, kim jest ten szczęśliwiec.

Grabowska westchnęła głęboko.

— Dobrze, powiem panu. Nazywa się Zenon Majdański, jest lekarzem w ośrodku zdrowia w Sitniku. Będziecie go przesłuchiwać?

— Prawdopodobnie tak. Wróćmy jednak do tego wieczoru, kiedy została zamordowana Kozicka. Pokłóciła się pani z mężem. Czy tak?

— Nie zaprzeczam. Zrobiłam mu awanturę za tę wycieczkę z Kozicką do Bułgarii. Zdenerwował się i wyszedł z domu.

— A pani?

— Wyszłam także.

— Dokąd?

— Poszłam na parking, wsiadłam do samochodu i pojechałam do Zenona. Niestety nie zastałam go w domu. Poczekalam w samochodzie z pół godziny przed jego domem, po czym wróciłam do B.

— Jak długo jedzie się do tego Sitnika?

— Około trzydziestu minut!

— Zatem nie było pani w domu co najmniej przez półtorej godziny!

Grabowska skinęła głową.

— Nie dłużej jednak niż dwie — zastrzegła.

— I o której była pani z powrotem w domu?

Mecenasowa zamyśliła się.

— Dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że gdy byłam na klatce schodowej, z któregoś mieszkania dobiegł mnie odgłos zegara wybijającego dwunastą.

Bernacki zmrużył oczy i uśmiechnął się.

— Może to była jedenasta! — rzekł.

Grabowska wzruszyła bezradnie ramionami i uciekła ze wzrokiem.

— Doprawdy nie wiem. Być może mój mąż pamięta...

— Mąż twierdzi, że wróciła pani dopiero nad ranem, około trzeciej — przerwał jej gwałtownie Bernacki.

— Kłamie! — spokojnie odrzekła mecenasowa. — Na pewno kłamie! — powtórzyła z przekonaniem w głosie.

W pokoju zapadło milczenie. Przerwał je Bernacki.

— Macie państwo dzieci? — zapytał.

— Niestety nie — odparła Grabowska. — Z mojej winy — dorzuciła po chwili smutno.

— A może pani wie, co łączyło pani męża z Pawłem Kowalskim? — zmienił temat.

Mecenasowa poruszyła się niespokojnie na krześle i zaczęła bawić się łyżeczką.

— Tego zamordowanego na szosie przed Piotrkowem? — upewniła się.

Bernacki skinął głową.

— Nie przypuszczam, aby mój mąż zadawał się z takim młokosem — odparła wyniośle. — Chyba, że...

— Chyba, że bronił go przed sądem. To chciała pani powiedzieć?

Grabowska przytaknęła.

— A może znał jego żonę? Słyszałem, że Iwona Kowalska...

— Podkochiwała się w moim mężu! — dokończyła ze złością. — Tak, przyłapałam ich nawet razem w łóżku. Ale to było dawno, trzy, cztery lata temu. Przyznam się, że miałam ochotę ją zabić!

— Zamordowany został jednak jej mąż!

Grabowska roześmiała się.

— Jestem więc poza wszelkimi podejrzeniami.

— Powiedziała mu pani o tym? No, o jego żonie i pani mężu! — sprecyzował.

Mecenasowa znów zamyśliła się głęboko. Bernacki spokojnie obserwował jej twarz i rozdygotane ręce.

— Tak! — przyznała się. — Chciałam, żeby i on cierpiał.

W pokoju znów na kilkanaście sekund zapanowało milczenie.

— Nic z tego jednak nie wyszło — podjęła beznamytnie. — Paweł już w tym czasie nie kochał jej. A ona — urwała na moment — związała się z Ostrowskim. I trwało to do wczoraj, do jego tragicznej śmierci.

— Mąż pani chyba dobrze znał Ostrowskiego — raczej stwierdził, niż zapytał Bernacki.

— Tak, bardzo dobrze! — potwierdziła Grabowska. — Po prostu często potrzebował pomocy. To kombinator, drobny cwaniak, złodziej. Mimo wszystko żał mi go.

— Ponoć zalecał się też do Kozickiej!

— Tak, ale ona wołała Pawła Kowalskiego, no a później wybrała mojego męża.

— Strasznie to wszystko skomplikowane — te dziwne powiązania, nieprawdopodobne wręcz związki ludzi na pozór zupełnie sobie obcych.

— Widzę jednak, że jak na razie nieźle sobie pan radzi z rozszyfrowywaniem tych powiązań.

— Staram się. Za to mi zresztą płacą — powiedział z uśmiechem. — A wracając do Ostrowskiego. Kto pani powiedział o jego śmierci?

— Już panu mówiłam, że sąsiadka z dołu. W takim miasteczku jak to, nic się nie ukryje. Pojęcie tajemnica tu traci swoje znaczenie.

Bernacki pokiwał głową i westchnął.

— Ma pani rację. Ale mimo to nie możemy poradzić sobie z wykryciem sprawcy czy też sprawców morderstw.

— Może za późno wzięliście sprawy w swoje ręce. Nasza milicja nie ma po prostu doświadczenia w prowadzeniu tego typu dochodzeń.

— Dziękuję za uznanie.

Na pełnych ustach Grabowskiej pojawił się ciepły, grzeczny uśmiech.

— Jestem przekonana, że dojdziecie prawdy.

Bernacki odstawił pustą już filiżankę, następnie wyjął notatnik i zaczął przerzucać w nim kartki.

— Nie będzie to takie proste — urwał na chwilę i patrząc badawczo na siedzącą przed nim kobietę, dokończył sucho:

— Wpisuję panią na listę osób podejrzanych. Nie ma pani alibi.

Grabowska uniosła się na krześle. Szybko opanowała się jednak.

— Zapewni mi je doktor Zenon Majdański — powiedział hardo.

— Przecież nie było go w domu! — zareplikował kapitan.

Grabowska poczerwieniała, rysy jej stwardniały, w oczach pojawiło się przerażenie. Zrozumiała, że popełniła poważny błąd.

— Nie było pani w domu co najmniej przez trzy godziny — mówił dalej Bernacki. — Prawdopodobnie nie pojechała pani do Sitnika, no i ten nagły wyjazd do Wytoczna, do rodziców, też mi się nie podoba. To wszystko, proszę pani, nie trzyma się kupy.

Grabowska, wciąż zaczerwieniona, nieruchoma, wpatrywała się w swoje splecione na kolanach ręce.

— Ja nic więcej nie wiem! — powiedziała cicho nie podnosząc oczu.

— Kłamie pani! — atakował dalej Bernacki, bacznie ją obserwując. — Bezczelnie pani kłamie!

Mecenasowa poruszyła się niespokojnie.

— Proszę mi to udowodnić! — powiedziała hardo.

Bernacki pokiwał z uznaniem głową.

— Spodziewałem się tej odpowiedzi — rzekł. — Jest pani twarda, opanowana i aż dziwne, że udało mi się panią przyłapać na kłamstwie.

Mecenasowa wzruszyła ramionami i odburknęła:

— Mało mnie obchodzi pańska o mnie opinia!

Kapitan uśmiechnął się i złośliwie zmrużył oczy.

— Doprawdy? A ja myślałem, że wprost przeciwnie, że pragnie pani, abym bliżej ją poznał. Zresztą naprawdę bardzo mi na tym zależy — zakończył zjadliwie.

Mecenasowa pominęła milczeniem uwagi kapitana. Wydawało się, że słucha, ale myślami była gdzie indziej. Dopiero oschły ton Bernackiego przywrócił ją do rzeczywistości.

— Ponieważ jest pani podejrzana o zabójstwo kochanki męża, muszę panią zdaktyloskopować, a także zabezpieczyć do badań ubranie, w którym chodziła pani tego fatalnego dnia.

Mecenasowa pokiwała ze zrozumieniem głową.

— Jeśli to konieczne! — mruknęła.

— Niestety! Żal pani męża? — nagle zmienił temat rozmowy.

— Oczywiście! — odparła i obrzuciła Bernackiego zdumionym spojrzeniem.

— Zapomniałem pani powiedzieć, że mąż przyznał się do zabójstwa Hanki Kozickiej. Tak więc badania pani garderoby to tylko formalność zapewne. A fakt, że żałuje pani męża, dobrze o pani świadczy — rzekł z cieniem szacunku w głosie.

Grabowska wstała.

— Pan się myli. Ja nie dlatego żałuję męża, że tak nakazuje sumienie czy dlatego, że powinnam go żałować. On nie mógł się przyznać do zabójstwa Hanki. On tego nie mógł zrobić. On jest niewinny! — wykrzykiwała stojąc przed milicjantem.

— Naprawdę pani w to wierzy? — zdziwił się Bernacki. zaskoczony nagle zmianą w zachowaniu mecenasowej.

— Tak, bo to ja zamordowałam Kozicką — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Bernacki poderwał się, a raczej jak sprężyna wyskoczył z fotela. Przez kilkanaście sekund nie mógł wydusić z siebie żadnego słowa. Zaskoczyła go tym nieoczekiwanym wyznaniem.

— Pani bredzi! — wrzasnął wreszcie i opadł z powrotem na fotel. — Wiem, pani chce ratować swojego męża, ale to nie jest dobry sposób. Zapewniam panią, to nie jest dobry sposób! — powtórzył ocierając z czoła zimny pot.

Grabowska uśmiechnęła się smutno i usiadła. Bernacki ze zdziwieniem skonstatował, że jest dziwnie spokojna i opanowana, tak jakby prowadziła z nim towarzyską pogawędkę o pogodzie czy o wakacyjnych planach.

— Powtarzam! — powiedziała stanowczo. — To ja ją zabiłam. Nie mogłam już dłużej ścierpieć docinków sąsiadek, znosić ich ironicznych spojrzeń czy pełnych udawanej litości pocieszanek.

Bernacki powoli dochodził do siebie. Nadal jednak podejrzliwie obserwował twarz siedzącej naprzeciwko kobiety i gorączkowo zastanawiał się, czy jest to możliwe, aby miał przed sobą morderczynię. Nie, to niemożliwe! Ta kobieta drwi sobie ze mnie! — podsumował swoje rozważania. Musiał jednak coś postanowić.

— Proszę pani! — zaczął łagodnie. — W związku z pani oświadczeniem zmuszony jestem zatrzymać panią do dyspozycji prokuratora.

— Wiem! — odrzekła krótko.

— Nie chciałbym jednak zabierać pani jak pospolitego przestępcy. Może woli pani sama przyjść do komisariatu. Powiedzmy za godzinę.

Grabowska wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno — powiedziała apatycznie. —

Może mnie pan nawet zakuć w kajdanki i prowadzić przed sobą przez całe miasto.

Bernacki wstał i zaczął chodzić po pokoju. Myślał, że desperacja mecenasowej wymaga pełnego wyświeatlenia i że zajmie się tym w sposób szczególny.

— Tego nie mogę zrobić — powiedział z uśmiechem. — Poczekam na panią w komisariacie.

Grabowska skinęła głową i spojrzała pośepnie swoimi wielkimi, ciemnymi oczami na inspektora.

— Nie chce pan wiedzieć, kapitanie, w jaki sposób pozbawiłam życia swoją rywalkę!?

Bernacki zaprzeczył ruchem głowy. Potem dodał:

— Nie, nie chcę! Sposób zabójstwa znam z oglądzin. A pani? — zapytał po chwili. — Z plotek? Od sąsiadek? Czy uczynnych koleżaneczek!/? — ironizował. — No, słucham!

Grabowska wstała. Rozejrzała się po pokoju tak, jakby już nigdy nie miała tu wrócić, potem zebrała puste naczynia po kawie i poszła do kuchni. Bernacki zaś sięgnął po teczkę i wyłączył magnetofon. Postanowił powiedzieć mecenasowej, że nagrał całą rozmowę na taśmę i że prokurator po wysłuchaniu jej podejmie tylko jedną decyzję: każe zwolnić z aresztu jej męża, a zaaresztuje ją.

— Nadal kocha pani swojego męża!/? — bardziej stwierdził, niż zapytał opierając się o framugę kuchennych drzwi.

Grabowska pochylona nad zlewem nie zareagowała. Zachowała się tak, jakby nie usłyszała pytania. Bernacki wiedział jednak, że pytanie dotarło do niej. Mimo to powtórzył je.

Grabowska powoli odwróciła się. Zauważył, że oczy ma pełne łez i że drżą jej kąciki ust.

— Sama już nie wiem — odparła w zamyśleniu. — A zresztą czy to ma w tej sytuacji jakiegolwiek znaczenie!/?

— Nie boi się pani więzienia? — zapytał i zarumienił się. Przylapał się na myśli, że zachowuje się nie jak milicjant, lecz jak obrońca. Ciągle miał nadzieję, że Grabowska zmieni swoje zeznania, że zaprzeczy, iż jest morderczynią Kozickiej.

— Boję się wielu rzeczy. Samotności, złych ludzi, starości — odparła cicho patrząc w okno, zza którego dobiegały piskliwe krzyki uganiających się za piłką dzieci. — Chciałabym zostać sama — poprosiła przenosząc spojrzenie na milicjanta. — Przypuszczam, że jeszcze nie raz i nie dwa będziemy rozmawiać ze sobą. I niech się pan nie boi. Nie ucieknę, nie zacznę się ukrywać ani namawiać świadków do fałszywych zeznań.

— Wierzę pani — rzekł Bernacki. — Ale zanim stąd wyjdę, chciałbym powiedzieć pani, że nagrałem całą naszą rozmowę na magnetofon i jeszcze dziś dostarczę taśmę prokuratorowi. Jestem przekonany, że za kilka godzin pani mąż odzyska wolność — mówił nie spuszczając jej z oczu. — Czy to chciała pani osiągnąć!?

Grabowska nie odpowiedziała. Bernacki jeszcze przez kilka sekund przyglądał się jej uważnie. Twarz mecenasowej jednak pozostała niewzruszona, obojętna.

— Wobec tego do zobaczenia za godzinę w komisariacie — powiedział i dotknął delikatnie jej ręki.

Grabowska drgnęła, potem kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, że zjawi się na pewno i uśmiechnęła się leciutko, prawie niedostrzegalnie. Bernacki pomyślał, że tym uśmiechem dziękuje mu za to, że okazał jej, morderczyni, odrobinę zaufania, że potraktował ją łagodnie, delikatnie. Zaraz też wyszedł.

Zbliżało się południe. Ulice były puste, senne. Szedł powoli w stronę rynku analizując jeszcze zeznania mecenasowej. Jednego był pewien. Zeznania te skomplikowały

śledztwo jeszcze bardziej, wprowadzały je na fałszywe tory. Mimo woli nasuwało się też jeszcze jedno pytanie: dlaczego przyznała się do nie popełnionej zbrodni, czyżby mordercą był jej mąż i ona o tym dobrze wiedziała? Nie, to niemożliwe! — powiedział półgłosem i obejrzał się wokoło. Nikt jednak nie siedł za nim. Przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej poznać wyniki oględzin miejsca zabójstwa Kazimierza Ostrowskiego. Był przekonany, że mordercą wszystkich trzech osób jest ten sam, na razie jeszcze nie znany, człowiek.

Na rynku zatrzymało go trzech podchmielonych mężczyzn, młodych jeszcze, najwyżej trzydziestoletnich. Obstąpili go dookoła i zasypali pytaniami:

— Macie go wreszcie!? — zapytał najtrzeźwiejszy. — Bajdurski jestem! — potrząsnął dłonią Bernackiego. — Gratulujemy!

Bernacki zaprzeczył myśląc, jak by tu uciec przed ich pijacką natarczywością.

— Głupi jesteś! — odezwał się niski grubasek. — Myślisz, że ci pan kapitan powie. To jest tajemnica! Mam rację!?

Bernacki uśmiechając się uprzejmie pokiwał głową i wycofał się przezornie do tyłu.

— A ja tam jestem pewny, że oni nic nie wiedzą — wymamrotał trzeci. — Za dużo ich się tu najechało! Jak go nie złapiecie, to będzie bardzo źle — mruczał, z trudem utrzymując równowagę. — Ludzie boją się dzieci posyłać do szkoły, gadają, że grasuje wampir... A wy sobie chodźcie i to do tych, którzy nic nie wiedzą... — chwycił się ramienia Bajdurskiego. — Dobrze gadam?

— Dobrze, ale za dużo — ostrzegł go grubasek. — Ty, Benek...

— Ale swoje wiem! — nie rezygnował Benek.

— Chętnie posłucham pana — grzecznie powiedział Bernacki. — Teraz jednak muszę już iść. Może wpadniecie jutro do komisariatu.

Benek przez chwilę przyglądał się Bernackiemu, po czym zaniósł się gwałtownym śmiechem.

— Chce pan z nas zrobić kapusiów!? Słyszałeś, Czesiek!? — zwrócił się do grubaska. — Panie, to przecież wasza sprawa. Mnie płacą za rozładowywanie wagonów, wam za łapanie różnych gagatków...

— Benek! nie wygłupiaj się — uspokajał kolegę Bajduński.

Bernacki jeszcze przez kilka minut cierpliwie wysłuchiwał bełkotu miłośników perły chmielowej, mając nadzieję, że dowie się od nich czegoś nowego, jakichś nowych szczegółów z życia interesujących go osób czy chociażby wysłucha krążących po miasteczku plotek. Niestety, zamiast tego poczęstowali go porcją niezbyt przyjemnych opinii o pracy ekipy śledczej i miejscowych milicjantów. W złym nastroju ruszył wreszcie do komisariatu, myśląc, że ich sądy nie są pozbawione racji i o tym, że zawód milicjanta jest chyba jednym z najbardziej dziwnych zawodów na świecie, a milicjant należy do tej kategorii ludzi, których zależnie od okoliczności poniża się lub uwielbia. Obywatel stając twarzą w twarz z milicjantem zwraca się do niego „panie władzo”, natomiast za jego plecami mówi „głina” lub „idiota”. Jeśli milicjant jest uprzejmy w stosunku do podejrzanych, wtedy szef mówi mu, że się spoufala, a często nawet podejrzewa o konszachty. Gdy jest wyniosły, przełożony twierdzi, że jest snobem; gdy działa szybko, zarzuca mu nieostrożność; a gdy z rozwagą i namysłem, uważany jest za leniwca. Gdy milicjantowi zdarzy się oberwać od chuligana przed knajpą, jest tchórzem; gdy mu odda, jest chamem; gdy szybko ujął sprawcę, to po prostu miał szczęście; no a jeśli go nie ujął,

jest półgłówkiem. Gdy wreszcie awansuje, koledzy (cywile również) uważają, że to dzięki układom; gdy lata mijają, a biedak wciąż jest kapitanem, twierdzą, że jest pewnie wyjątkowym durniem.

Tak rozmyślając dotarł do komisariatu. W gabinecie Wołczyńskiego major Rybiński składał relację z oględzin miejsca zabójstwa Ostrowskiego. Bernacki usiadł na jednym wolnym krześle, przy drzwiach. Rybiński mówił:

— Zwłoki Kazimierza Ostrowskiego leżały na podłodze przy łóżku w pozycji na wznak, silnie zbroczone krwią. Jedyną widoczną raną jest rana cięta szyi. Tuż przy zwłokach, na kawałku tektury, ujawniliśmy krwawy odcisk fragmentu spodu gumowego obuwia. Zabezpieczyliśmy też butelkę po wódce ze śladami linii papilarnych. Także krwawych. Stąd wniosek, że powinny należeć do mordercy. Innych śladów nie ujawniliśmy. Co do narzędzia zbrodni — to jest nim duży kuchenny nóż, ostry jak brzytwa. Wyniki oględzin oraz wstępne ustalenia dotyczące ofiary pozwalają przyjąć wersję, że zabójstwa dokonano z zemsty. Kategorycznie wykluczam motyw rabunkowy — przerwał na chwilę, odchrząknął i przyglądał prawą dłońią włosy. — Proszę sobie wyobrazić, że w kufrze stojącym tuż przy łóżku znaleźliśmy trzydzieści zegarków elektronicznych, pięć złotych pierścionków, blisko sto tysięcy złotych, kilkadziesiąt dolarów. Sprawca grzebał w tym kufrze, widział to wszystko, a jednak nie wziął. Dlaczego? — popatrzył po słuchających go w skupieniu milicjantach.

Nikt się jednak nie odezwał. Major Rybiński, oficer wyjątkowo zdyscyplinowany, pracowity, lecz jednocześnie ostrożny, unikający ryzyka, nie cieszył się popularnością u swoich podwładnych. Inspektorzy sekcji zabójstw nie lubili pracować pod jego kierownictwem. Denerwowała ich jego powolność i to przeważnie wtedy, kiedy decyzyje należało

podejmować i realizować błyskawicznie. Śmiano się, że on w takich przypadkach przystępował dopiero do opracowywania planów przedsięwzięć.

— Dlaczego!? — powtórzył z pewnym zniecierpliwieniem, przerzucając kartki notatnika.

Podniósł się Kasperek. Od początku uczestniczył w oględzinach, był tym, który odkrył zwłoki.

— Przypuszczam, iż morderca wiedział, że dzisiaj Ostrowski zostanie zatrzymany do dyspozycji prokuratora. Przestraszył się, że może nie wytrzymać przesłuchania, przyznać się do zabójstwa Kowalskiego i postanowił uciszyć go na zawsze. Nie chodziło mu więc o pieniądze, złoto, lecz o milczenie...

— Ale przecież nie można posądzić Ostrowskiego o zabójstwo Pawła Kowalskiego! — zaprotestował Bernacki. — Nie mamy na to żadnych dowodów. Absolutnie żadnych! — podkreślił. — A skoro już jestem przy głosie, mam dla was jeszcze niespodziankę najwyższego kalibru — urwał na chwilę. Dopiero gdy oczy wszystkich obecnych na sali zwróciły się na nim, dokończył: — Zuzanna Grabowska przyznała się do zabójstwa Hanki Kozickiej! Tu mam jej zeznanie! — wyjął z teczki taśmę magnetofonową, wstał, podszedł do majora Rybińskiego i położył ją przed nim na biurku.

Zapanowała cisza. Długa, przejmująca. Pierwszy odezwał się Maciejczak:

— Te morderstwa nie są dziełem jednego szaleńca...

— Co do tego nie ma już teraz żadnych wątpliwości! — przerwał mu major Rybiński. — Wracam do L., a wy realizujcie zaplanowane wczoraj czynności. Ty zaś — zwrócił się do Bernackiego — zajmiesz się przesłuchaniem Iwony Kowalskiej, a wy, poruczniku Kasperek, realizujcie zadania związane z morderstwem Ostrowskiego. Jak już

powiedziałem, opierając się na wynikach oględzin miejsca zdarzenia, mordercą prawdopodobnie jest osoba, z którą zamordowany utrzymywał stosunki towarzyskie. Trzeba też brać pod uwagę osoby pozostające w konflikcie z zamordowanym, no i te, którymi interesował się ze względów służbowych. Na przykład klienci, którzy nie zapłacili mu za remont samochodu, nie zwrócili pożyczki i tak dalej — zakończył wkładając notatnik do kieszeni marynarki. — Zrozumieliście zadania? — zapytał.

— Tak! — odezwał się Bernacki. — Ale korzystając z tego, że wracasz do L., mam do ciebie prośbę. Otóż za kilkanaście minut przyjedzie tu Grabowska. Trzeba ją zawieźć do prokuratora i przekazać do badań specjalistycznych jej garderobę.

— Załatwię to! — powiedział Rybiński. — Są jeszcze pytania? — zapytał po chwili. Odpowiedzią było milczenie. — Zatem do roboty! — zakomenderował. — Życzę powodzenia! — dorzucił już nieco łagodniejszym tonem.

Nie usłyszał jednak słowa dziękuję. Uczestnicy narady wychodzili z gabinetu kierownika Wołczyńskiego z opuszczonymi głowami, zgnębieni niepowodzeniem i co najgorsze, bez wiary w rychły sukces.

Godzinę później odbyło się drugie już tego dnia przesłuchanie mecenasa Aleksandra Grabowskiego, w którym uczestniczyli: major Lewicki, wiceprokurator wojewódzki Albert Borowicz oraz zastępca naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego major Szczęch. Mecenas kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego z tragicznym zgonem Hanny Kozickiej, powtórzył zeznania złożone rano w prokuraturze, wyjaśnił, skąd wzięły się na nożu ślady jego linii papilarnych, a na pytanie prokuratora

Borowicza, czy przyznaje się do winy, najpierw roześmiał się głośno, potem rzekł nie i zażądał natychmiastowego uchylenia aresztu. Oświadczył też, że jeszcze dziś, jeśli areszt nie zostanie uchylony, złoży zażalenie do sądu wojewódzkiego.

Przesłuchujący z uwagą i spokojem wysłuchali wynurzeń mecenasa. Decyzję o ponownym przesłuchaniu Grabowskiego powzięli po odtworzeniu taśmy z nagraniem zeznań Zuzanny Grabowskiej. Po tym przesłuchaniu mieli zadecydować, czy istnieją podstawy do zwolnienia go z aresztu czy też do utrzymania go w mocy.

— Zna pan Iwonę Kowską? — zapytał major Lewicki. Z całej trójki przesłuchujących był najbardziej zorientowany w ustaleniach poczynionych przez ekipę śledczą i operacyjną działającą w B.

Mecenas popatrzył po twarzach siedzących przed nim funkcjonariuszy. Domyślił się, że w śledztwie musiał nastąpić jakiś nieoczekiwany zwrot. Zresztą świadczyła o tym też ranga przesłuchujących go milicjantów i prokuratora.

— Tak, znałem ją! — odrzekł akcentując drugie słowo. — Moja żona zapewne opowiedziała ze szczegółami historię tej znajomości — domyślił się. — Przez kilka miesięcy była moją kochanką — dokończył.

— Czy wychodził pan z domu ostatniej nocy? — pytał dalej Lewicki.

Grabowski podrapał się po nie ogolonym policzku. Sytuacja, w jakiej nieoczekiwanie się znalazł, deprymowała go. On, mający pieniądze, układy, wpływowych przyjaciół, w areszcie. Patrząc podejrzliwie na majora, odparł zjadliwie:

— Tak! Wyprowadził mnie o świcie z mojego własnego domu pański milicjant. Nazywa się chyba Bernacki.

— A w jakich stosunkach pozostawał pan z Ostrowskim? — do rozmowy włączył się major Szczęch.

— Dlaczego pozostawał? — z uśmiechem zainteresował się mecenas. — Czyżby i on został pozbawiony życia!?

Szczęch kategorycznie zaprzeczył, myśląc jednocześnie, że mecenas jest jednak wyjątkowo inteligentnym i przebiegłym przeciwnikiem.

— No więc w jakich układach pozostaje pan z Ostrowskim? — zapytał ponownie, grzecznie, z uśmiechem.

— W bardzo dobrych! — odparł Grabowski. — Wie pan, on bardzo często staje przed sądem, w związku z tym potrzebny jest mu obrońca. Wybiera zawsze mnie. Widocznie ma do mnie zaufanie. Kilka razy wyciągnąłem go z miejsca, w którym ja się aktualnie znajduję. Poza tym nic mnie z nim nie łączy.

— Czyżby! — strzelił Borowicz.

Mecenas uniósł powieki i spojrzał na niego bystrym, hardym wzrokiem. Przez chwilę mierzyli się oczami. Znali się z sal sądowych co najmniej kilkanaście lat. Nigdy jednak nie przeszli na ty. Grabowski był tylko prowincjonalnym adwokatem.

— Zapewniam pana, prokuratorze, że nic! — odburknął.

— A z doktorem Zenonem Majdańskim? — zaatakował Szczęch.

Mecenas zmieszał się, poczerwieniała mu cała twarz. Szybko jednak doszedł do siebie.

— O doktora Majdańskiego radzę zapytać moją żonę — odpowiedział sucho mrużąc oczy.

— I to wszystko? — nie rezygnował Szczęch, myśląc jednocześnie, że adwokat pokazał, iż posiada niezły refleks.

— Niestety — mruknął. — Odnoszę wrażenie — rzekł po chwili pocierając czoło — że dysponujecie, panowie, wielkiej wagi materiałem procesowym — tym razem do

ataku przeszedł Grabowski. — Jestem zawodowcem, wiele spraw wyczuwam intuicyjnie, więc proszę was, przejdźmy do sedna, nie bawmy się w podchody kto kogo. Zgoda?

W pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie. Przesłuchujący wymienili spojrzenia.

— Ma pan rację! — odezwał się prokurator Borowicz. Lewicki i Szczęch przyzwalająco pokiwali głowami.

— No więc słucham!/? — powiedział skubiąc swoją siwą bródkę. Widać było, że zupełnie już odzyskał pewność siebie.

— Pańska żona przyznała się do zamordowania Hanki Kozickiej — oświadczył dobitnie prokurator.

Mecenas poderwał się z krzesła. Szybko jednak usiadł i z uwagą zaczął przyglądać się twarzom przesłuchujących go mężczyzn. Trwało to dość długo. Wreszcie powiedział:

— Bzdura!

— I tylko tyle ma pan do powiedzenia w tej sprawie?

— Tak! Mogę najwyżej skomentować jej zeznania — dorzucił po chwili.

— O, właśnie! — odezwał się Lewicki. — Ciekawi jesteście bardzo pańskiej opinii.

— Moja małżonka zakupiła sobie z was — szybko, z uśmiechem odrzekł Grabowski. — Przyznam się, że nie podejrzewałem jej o to. Struga bohaterkę. Tylko po co!/? Czyżby ubzduriała sobie, że wyciągnie mnie z więzienia?

Lewicki wzruszył ramionami.

— Być może — powiedział beznamietnie. — Ale to jeszcze nie wszystko. W przedpokoju mieszkania Kozickiej nasz ekspert odkrył ślady butów pańskiej żony. Wie pan chyba, co to oznacza?

Mecenas pokiwał głową. Nic jednak nie odpowiedział, tylko uporczywie zaczął przyglądać się swoim splecionym na kolanach dłoniom.

— Pańska żona miała powody, ażeby zabić Kozicką! — mówił dalej Lewicki. — Pan także! — dodał po kilku sekundach. A może zrobiliście to razem!? — dotknął ramienia pogrążonego w rozmyślaniach mecenasa.

Grabowski drgnął, spojrzał nieprzyjaźnie na majora i odsunął się z krzesłem od biurka, pod drzwi.

— Blefujecie — powiedział i westchnął głęboko. — Znam dość dobrze tę grę. Blefujecie! — powtórzył twardo.

— Panie mecenasie! — do przesłuchania włączył się major Szczęch. Wstał, obszedł dookoła biurko i zatrzymał się przed adwokatem. — Jest pan prawnikiem praktykującym co najmniej dwadzieścia lat. Co pan by zrobił na naszym miejscu? Uwierzył faktom czy osobie podejrzanej, wprowadzie o nieposzlakowanej opinii, ale której wyjaśnienia i zeznania kłócą się z zebranymi dowodami, nie przystają, że tak powiem, do okoliczności morderstwa? My — spojrzał na majora, potem na prokuratora — mamy podjąć decyzję, co z panem zrobić. Zatrzymać w areszcie czy zwolnić, a zaaresztować pańską żonę. Pan zaprzecza, że jest mordercą, pańska żona twierdzi, że zabiła. Przeciwno panu i pańskiej żonie zebraliśmy sporo dowodów świadczących o winie. Oboje byliście w mieszkaniu Kozickiej. Nasi eksperci nie mylą się, zresztą pan temu także nie zaprzecza — zakończył, bacznie obserwując twarz siedzącego w bezruchu Grabowskiego.

— Brakuje wam tylko mojego przyznania się do winy — rzekł zjadliwie mecenas nie podnosząc wzroku. — Nie doczekacie się tego. Nigdy! — urwał na moment, przetarł dłońmi oczy i tym samym tonem kontynuował: — Ja wiem, że wiele okoliczności wskazuje na to, że jestem mordercą, inne zaś obciążają moją żonę. Cóż mogę powiedzieć jeszcze. Śledztwo potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdybym tego piekielnego dnia zachował się rozsądnie, a nie jak smarkacz.

Jestem więc świadom, że oboje będziemy siedzieć, że użyję słów moich klientów. Zgadłem?

— Bardzo mi przykro! — rzekł Borowicz. — Na tym etapie śledztwa uchylenie aresztu nie wchodzi w rachubę! Zresztą pan o tym doskonale wie.

Mecenas pokiwał głową. Przez długą chwilę patrzył pośpennie przed siebie niewidzącymi oczami. Sytuacja, w jakiej się nieoczekiwanie znalazł, przytłaczała go coraz bardziej. Wiedział, że może potrwać aż do rozprawy sądowej. Wzdrygnął się na tę myśl i żeby ją odgonić, powiedział starając się zachować spokój:

— Mimo to złożę zażalenie na areszt.

— Byłem o tym przekonany — oświadczył w zamyśleniu Borowicz — Ma pan coś jeszcze do nas?

Grabowski pokręcił przecząco głową. Na jego twarzy pojawiło się zmęczenie.

Kilka minut później sprowadzono go do aresztu. Na korytarzu spostrzegł żonę, ta jednak odwróciła się na jego widok. A więc i ona jest przekonana, że to ja zabiłem — pomyślał ze smutkiem. Myślał również o tym w chwili, gdy zamykały się za nim ciężkie, żelazne drzwi celi.

Przesłuchanie Grabowskiej trwało krótko i nie wniosło nic nowego do śledztwa. Podejrzana potwierdziła poprzednie zeznania, wyjaśniła, w jaki sposób znalazła się w mieszkaniu Kozickiej i dlaczego zabiła. Decyzję prokuratora o areszcie przyjęła spokojnie, może nawet obojętnie. Potem zaprowadzono ją do wydziału kryminalistyki, gdzie ekspert od daktyloskopii pobrał od niej odciski palców. Nadal zachowywała się swobodnie, nie okazując strachu czy chociażby niepokoju o swój los. Rozpłakała się dopiero w gabinecie Lewickiego, gdy major poinformował ją, że jej

poświęcenie na nic się nie zdało, gdyż prokurator utrzymał swoją decyzję w mocy i zażalenie Grabowskiego na areszt zostanie najprawdopodobniej oddalone jako nieuzasadnione.

— Może jeszcze pani odwołać swoje zeznania! — zachęcał, gdyż także nie wierzył, aby mecenasową stać było na zamordowanie człowieka, chociażby znienawidzonego. Nie podobały mu się także wyjaśnienia Grabowskiej odnośnie sposobu zabójstwa. Wyraźnie nie pokrywały się z wynikami oględzin miejsca znalezienia zwłok, a także z opinią przedstawioną przez lekarza medycyny sądowej.

Mecenasowa otarła płynące po policzkach łzy i wyszeptowała:

— Bardzo żałuję!

Lewicki rzucił na biurko protokół i usiadł na krześle przed nią.

— Czego!? — prawie wrzasnął. — Czy tego, że wprowadziła nas pani w błąd, że gmatwa pani śledztwo...

Grabowska rozsłochała się na dobre.

— Proszę się uspokoić — zmienił ton na ciepły, delikatny. — Podziwiam panią. Broni pani człowieka, który już pani nie kocha, pozostaje tylko mężem. Rozumiem, że jest pani wciąż lojalna wobec niego, ale on nie jest tego wart.

Grabowska podniosła załzawione oczy.

— Ale teraz to już tylko ja mu zostałam — wyszeptowała. — Ja go nie mogę opuścić!

— A czy pani jest pewna, że on tego od pani oczekuje!? Mecenasowa westchnęła głęboko.

— Tak! — odparła z przekonaniem.

Major Lewicki z podziwem patrzył na nią. Musi go bardzo kochać — pomyślał.

— A co na to wszystko powie pani przyjaciel, doktor Majdański? — zapytał jednak.

Postanowił zmusić ją jeszcze raz do płaczu. Przyszło mu bowiem na myśl, że Grabowska nie kłamie, a przyznając się do zabójstwa, celowo postarała się wyrzucić na przesłuchujących wrażenie, iż uczyniła to z miłości do męża i chce go w ten sposób uratować przed aresztem. Czyżby była aż tak sprytna? — myślał. W każdym razie ekipa śledcza musi wziąć pod uwagę i taką ewentualność — postanowił.

Mecenasowa znów zaniósła się płaczem. Tym razem jednak opanowała się znacznie prędzej.

— Cóż, na pewno zerwie ze mną wszelkie kontakty. Przypuszczam, że czekał tylko na okazję — odpowiedziała ze smutkiem w głosie pochlipując cicho.

— Co mogę dla pani zrobić? — zapytał major, postanawiając zakończyć jak najszybciej rozmowę. Było już po szesnastej.

Grabowska wzruszyła bezradnie ramionami.

— Chciałabym porozmawiać z mężem — odparła po chwili.

— To niemożliwe. Prokurator nie zgodzi się.

— A czy do rodziców mogłabym napisać? — zapytała nieśmiało.

— Myślę, że tak. W celi otrzyma pani długopis i papier.

— Dziękuję — szepnęła.

Lewicki wstał, podszedł do telefonu i nakręcił numer aresztu.

— Proszę przyjść do mnie po panią Grabowską! — powiedział, po czym odłożył słuchawkę i patrząc na splekaną mecenasową, rzekł: — Do zobaczenia jutro. Radzę przemyśleć jeszcze raz swoje zeznanie.

Grabowska podniosła się z krzesła. Wytarła mokrą chusteczką oczy i przecząco potrząsnęła głową.

— Nic innego ode mnie nie usłyszycie — rzekła pełna udanej obojętności, patrząc posępnie w oczy Lewickiemu.

Chciała jeszcze coś dodać, ale do gabinetu wszedł milicjant z obsługi aresztu.

— Major mnie wzywał! — powiedział stojąc na baczność.

— Tak! Pani Grabowska uparła się zapoznać z naszym aresztem — rzekł z odrobiną ironii w głosie i podał milicjantowi postanowienie o zastosowaniu aresztu wobec podejrzanej Zuzanny Grabowskiej, podpisane przez prokuratora Borowicza.

Milicjant wziął dokumenty, po czym otworzył drzwi.

— Proszę! — powiedział patrząc z zainteresowaniem na przystojną, czarnowłosą kobietę. — Że też pani musiało się to przytrafić — dorzucił z żalem, gdy byli już na korytarzu.

Grabowska nie zareagowała. Szła jak odurzona. Myślała o tym, że przez całe swoje dorosłe życie była samotna i nieszczęśliwa i że dzisiejszy dzień jest ukoronowaniem jej dotychczasowej szarej i bezsensownej egzystencji.

Lewicki zaś jeszcze przez kilkanaście minut chodził po swoim gabinecie i gorączkowo zastanawiał się co dalej. Jednego był wciąż pewien. Trzy morderstwa, które wydarzyły się w B. na pewno były dziełem tego samego mordercy. Tylko kto nim jest? Grabowska przebywała jeszcze w Wytycznie u rodziców, kiedy zginął Ostrowski, a kiedy śmierć dosięgnęła Pawła Kowalskiego, mecenas z Kozicką bawili na wczasach w Bułgarii. Nawet przyznanie się mecenasowej do zabójstwa Hanki Kozickiej budziło niemiłe wątpliwości. Więc kto? — uderzył pięścią w biurko. Może Kowalska, a może klient Grabowskiego? Jasna cholera! — zaklął. Tę szóstkę musiało coś w przeszłości łączyć — skonstatował. Musimy się do tej tajemnicy dogrzebać — postanowił. A może kiedyś kogoś bardzo skrzywdzili i teraz ten ktoś mści się, zabija!? Przez długie lata przygotowywał się, opracowywał szczegółowo plany

zemsty i dlatego mimo wykonania ogromnej pracy wciąż pozostaje nie znany — uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż spodobała mu się ta wersja. Usiadł za biurkiem i zanotował ją w notatniku z zamiarem przekazania jej jutro na odprawie do realizacji.

W czasie gdy w WUSW w L. trwały indagacje Grabowskich, w komisariacie w B. kapitan Bernacki przesłuchiwał niejakiego Stefana Czyżyka, krawca, który z własnej inicjatywy zgłosił się w celu złożenia zeznań. Bernacki przyjął go w pokoju dzielnicowych z zamiarem szybkiego odesłania tam, skąd przyszedł. Nie wierzył bowiem, ażeby miał on do przekazania coś istotnego czy ważnego. Z kilkunastoletniej praktyki wiedział, że świadkowie tacy z reguły przychodzą po to, aby w zamian za nic nie znaczące informacje, plotki czy zmyślenia uzyskać jakieś osobiste korzyści. Ciekawe, czego on chce — myślał wściekły, że znów nie uda mu się przesłuchać Iwony Kowalskiej. Pewnie aby dzielnicowy omijał jego zakład, bo on jest uczciwy, zaopatruje się tylko u takich jak on, nie lubi cwaniaków, złodziei i popiera milicję.

— Czym mogę służyć? — zapytał uprzejmie i podsunął krzesło.

Czyżyk krygując się usiadł, założył nogę na nogę, westchnął głęboko i powiedział:

— Chciałbym wam pomóc w wykryciu mordercy.

Bernacki skinął głową i uśmiechnął się.

— To bardzo miło z pana strony — odparł taksując go wzrokiem. Krawiec, czterdziestopięcioletni, o krótkich rękach i ogromnych dłoniach, nie wywarł na nim najlepszego wrażenia. Ubrany w wiekowe dżinsy i czarną skórzaną marynarkę, brudną, wyszmelcowaną, wyglądał groteskowo.

Gruby, czerwony nos, sterczące siwe włosy, krzaczaste brwi upodobniały go do cyrkowego kłowna. — A co pana skłoniło do podzielenia się z nami swoimi wiadomościami o mordercy? — zapytał nie przestając się uśmiechać.

Czyżyk zrobił zdziwioną minę, rozejrzył się po pokoju.

— No nic! Ja naprawdę chcę wam pomóc! — odrzekł powoli jękając się. — Przyszedłem, bo przypuszczam, że to, co widziałem i słyszałem, musi mieć związek z morderstwem Pawła Kowalskiego.

Bernacki uniósł się na krześle. Czyżby facet zgłosił się faktycznie bezinteresownie!?

— W porządku! — powiedział. — Wykazał pan obywatelską postawę, gdyby tak wszyscy... — przerwał, gdyż uzmysłowił sobie, że prawi kazanie. — Więc proszę mi opowiedzieć, co pan widział i słyszał. Zapali pan? — podsunął Czyżykowi radomskie.

Krawiec wygrzebał z paczki papierosa, włożył go do ust, po czym wyjął z marynarki zapalniczkę, przypalił i kilka razy zaciągnął się głęboko.

— Chciałbym pana jeszcze prosić, aby to, co powiem, zostało między nami — rzekł w końcu.

— Oczywiście! — zapewnił Bernacki. — Ale, niestety, protokół z pańskich zeznań muszę sporządzić! — udał, że nie zrozumiał intencji krawca. — Taka jest procedura.

Czyżyk zamyślił się.

— Właśnie tego chciałbym uniknąć! — stwierdził. — Wie pan, jak to jest! Okrzykną mnie kapusiem, zdrajcą, stracę klientów.

Bernacki wstał i przeszedł się po pokoju.

— Proszę pana! — powiedział z szacunkiem. — Zastanowimy się nad tym później. Być może pańskie informacje nie są aż tak ważne, by zapisywać je na protokół przesłuchania świadka. No jak, zgoda?

Czyżyk, pocierając dłonią czoło, długo zastanawiał się nad propozycją kapitana. Potem przez kilka sekund wpatrywał się w okno. W końcu westchnąwszy głęboko machnął ręką i oświadczył z miną bohatera:

— Panie inspektorze! Może pan zaprotokółować moje zeznania. Jak się powiedziało a, trzeba powiedzieć i b. Prawda?

— Oto męska decyzja! — pochwalił go Bernacki. — Więc słucham! — dodał wyjmując z biurka protokół.

Czyżyk skinął głową, potem zgasił papierosa i zamyślił się głęboko. Bernacki nie spuszczał z niego oczu. Wciąż nie wierzył w czystość intencji krawca.

— No, niechże pan wreszcie zacznie mówić! — postanowił przerwać przedłużającą się ciszę.

Czyżyk zamrugał oczami, poprawił się na krześle.

— Otóż, panie kapitanie, zdarzyło się to czternastego września tego roku około godziny osiemnastej. Robotę skończyłem o szesnastej, lecz nie poszedłem do domu, tylko postanowiłem napić się czegoś mocniejszego w tej małej knajpce przy rynku...

— „Kolorowej”! — popisał się znajomością miasteczka Bernacki.

— Właśnie! — krawiec pokiwał siwą głową. — Posiedziałem z godzinkę, a w końcu widząc, że przyjdzie mi tu chyba samotnie przesiedzieć cały wieczór, bo jakoś nikt z kumpli nie zajrzał, postanowiłem pojechać do Sitnika. Wie pan, gdzie to jest?

Bernacki przytaknął, nie podnosząc głowy znad biurka.

— Pewnie do Ostrowskiego! — domyślił się.

— Tak, do niego. Pół roku temu zaprowadziłem mu do naprawy swoją syrenkę. Miała być gotowa za dwa tygodnie, a stoi rozbabrana do dziś...

— Niestety, Ostrowski już jej panu nie wyremontuje — zauważył kapitan smutno.

— Tak! — westchnął Czyżyk. — Słyszałem! Mówią, że także został zamordowany! — rzekł mrużąc oczy. — I dlatego przede wszystkim zdecydowałem się przyjść do pana i opowiedzieć to, czego przypadkowo byłem świadkiem. — Umilkł na chwilę, po czym podjął konfidencyjnym tonem: — Było już dobrze ciemno, gdy znalazłem się w pobliżu jego zakładu w Sitniku. Już, już miałem otworzyć furtkę i wejść na dróżkę prowadzącą do warsztatu, gdy nagle usłyszałem słowa: „Boże, zabijesz go”, a po chwili: „Kazik, opanuj się, oszalałeś chyba, nie zabijaj go”. Zatrzymałem się z ręką na klamce, włos mi się zjeżył, co robić, myślę. W końcu postanowiłem, że jednak nie będę mieszać się w cudze sprawy. Cicho, na palcach przeszedłem na drugą stronę drogi i zatrzymałem się przy dużej, starej wierzbie. Stałem sobie za nią i nasłuchuję, ale w zakładzie Ostrowskiego trwa cisza. Już zacząłem myśleć, że mi się to wszystko przywidziało, gdy raptem jakaś postać otwiera bramę, a kilkanaście sekund później z posesji wyjeżdża na zgaszonych światłach motocykl... — urwał, odetchnął głęboko i patrząc na Bernackiego, notującego pospiesznie jego słowa, podjął powoli, z namysłem: — postać tak jeszcze kilkanaście minut, cichutko, z bijącym sercem. Czułem, że zdarzyło się tu coś niedobrego. Do miasta wróciłem piechotą. Następnego dnia dowiedziałem się o śmierci Pawła Kowalskiego. Dzisiaj wiem, że zginął on właśnie wtedy, czternastego września w warsztacie Ostrowskiego. Nie przyszedłem z tym do was wcześniej, bo żył Kazik Ostrowski i po prostu bałem się jego — przyznał się. — To chyba wszystko — zakończył pośpiesnie.

Bernacki skończył notować i długo wpatrywał się w leżący przed nim protokół. Z wielkim trudem udało mu się zachować spokój.

— Szkoda, że dopiero dzisiaj zdecydował się pan złożyć

zeznania — powiedział obojętnie. — Być może udałoby się nam zapobiec morderstwu Ostrowskiego — dorzucił tym samym tonem.

Czyżyk zrobił skruszoną minę.

— Wiem, że źle zrobiłem — przyznał się. — Inaczej jednak nie mogłem postąpić — tłumaczył się wierząc się na krześle. — Ostrowski miał przyjaciół wśród najgorszych mętów...

Bernacki, już opanowany, pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Na pana miejscu sam też chyba inaczej bym się nie zachował — powiedział ciepłym głosem. — A teraz, jeśli pozwoli pan, chciałbym zadać jeszcze parę pytań — dodał po chwili bawiąc się długopisem.

Krawiec chwilę pomilczał.

— Oczywiście — zgodził się wędrując wzrokiem po sali. — Proszę pytać! Chętnie odpowiem, o ile oczywiście będę znać odpowiedź — zastrzegł się.

Bernacki odchrząknął i postukał długopisem o blat.

— A więc, po pierwsze, interesuje mnie, kto wypowiedział te słowa, które mi pan tak dokładnie przytoczył!?

Czyżyk potarł dłonią czoło i westchnął.

— Nie wiem! Naprawdę nie wiem! Nie poznałem po głosie...

— Chodzi mi o to, czy wypowiedziała je kobieta czy mężczyzna — przerwał mu Bernacki.

— Kobieta, panie kapitanie!

— A kto otworzył wrota?

— Nie wiem, było bardzo ciemno, ale wydaje mi się, że kobieta.

— Dlaczego wam się tak wydaje?

— Postać była taka drobna, niska, no i miała duże kłopoty z otwarciem tej bramy...

— I wszystko to odbywało się po ciemku?
— Tak! Nawet na chwilę nie zapalili światła.
— A mężczyznę widział pan?
— Nie! Nie słyszałem nawet jego głosu. Ale jestem pewny, że był to Kazik Ostrowski.
— A kobieta! Kim ona mogła być?
Czyżyk zmarszczył czoło i przez parę sekund zastanawiał się.

— Nie wiem, panie inspektorze! — rzekł stanowczo. — Ale tak sobie myślę, że pewnie nie pomylę się, jeśli powiem, że pewnie była nią żona Pawła Kowalskiego, Iwona. Tylko niech pan tego nie zapisuje! — poprosił. — To są tylko moje domysły.

Bernacki odłożył długopis i odsunął protokół na brzeg biurka.

— Słusznie! — zgodził się. — Jedno mnie tylko zastanawia — dorzucił patrząc prosto w oczy przesłuchiwanemu. Czyżyk znów zaczął wiercić się niespokojnie na krześle.

— Słucham, panie kapitanie — wymamrotał tym swoim ochrypłym głosem.

— Iwonę Kowalską to pan zapewne zna i niejednokrotnie z nią rozmawiał. Zgadza się?

— Tak, szyłem jej nawet co nieco.

— Więc nie rozumiem, dlaczego jej pan nie rozpoznał, chociażby po głosie! A może pan nie chciał jej rozpoznać!? — zaatakował Bernacki.

Krawiec zmieszał się. Twarz mu poczerwieniała i widocznie spocły się dłonie, bo zaczął je wycierać o spodnie.

— Mówię prawdę, panie kapitanie! — zapewnił z zapalem. — Nie rozpoznałem jej wtedy. Owszem, rozmawiałem z nią wiele razy, ale nigdy nie słyszałem jej krzyku. A ona wtedy krzyczała...

Zapanowała długa cisza.

— Macie coś jeszcze do mnie? — zapytał Bernacki, przerywając przedłużające się milczenie. Następnie wstał, podszedł do okna i otworzył je szeroko. Wraz ze świergotem wróbli wpadł do pokoju przejmujący głos Edyty Geppert, śpiewającej piosenkę „Kocham cię, życie”. W skupieniu wysłuchał jej do końca, po czym zamknął okno i wrócił za biurko. — Życie jest piękne — powiedział. — Zgadza się pan ze mną?

Krawiec skwapliwie pokiwał głową.

— Piosenka także.

— Więc może powie mi pan, dlaczego ludzie się zabijają?

Pytanie to wprowadziło Czyżyka w zakłopotanie.

— Nie wiem — odparł zamyślony. — Jedni z miłości, drudzy z nienawiści, a jeszcze inni dla pieniędzy, sławy, z zazdrości...

— A kiedy kończy się miłość także?

— Tak, chyba tak — jękał się krawiec — bo wtedy przychodzi nienawiść.

— I gdy są pijani, i gdy są trzeźwi, o hektar pola i o miedzę — urwał na moment, by uspokoić się. — Twierdzi pan, że życie jest piękne — podjął już łagodniejszym tonem — ale o tym, że na pana oczach zamordowano człowieka, mówi pan milicji dopiero po dwóch tygodniach. I myśli pan, że jest w porządku, bo późno wprawdzie, ale spełnił pan swój obywatelski obowiązek. A ja teraz powiem, kim pan jest! — znów uniósł się. — Jest pan tchórzem!

Czyżyk z pokorną miną wpatrywał się w podłogę.

— Bałem się — usiłował się tłumaczyć. — Pan nie znał Ostrowskiego. Jego tu wszyscy się bali. Gdyby wyszło, że to ja doniosłem, nasłabym na mnie zbirów i skończyłbym tak jak Paweł.

Bernacki skrzywił się z niezadowoleniem.

— Przesadza pan — mruknął — ale może chce się pan zrehabilitować? — zapytał nie spuszczać z niego oczu.

— Tak — zgodził się po krótkim namyśle. — Co mam zrobić? — po raz pierwszy od kilku minut spojrzał na Bernackiego.

Kapitan poweselał. Dobrze to rozegrałem — pomyślał.

— Och, nic wielkiego! — powiedział spokojnie. — Powie pan tylko Iwonie Kowalskiej w oczy to wszystko, o czym tu mówiliśmy.

Krawiec poderwał się. Najwidoczniej nie brał pod uwagę takiej możliwości.

— Ależ, panie kapitanie! — zaprotestował — ja nie jestem przekonany, że to była ona.

— A ja nie mówię, że powie jej pan to zaraz czy jutro — wyjaśnił mu spokojnie Bernacki. — Powie jej pan to dopiero wtedy, gdy ja będę przekonany, i to na sto procent, że kobietą, która czternastego września wieczorem przed warsztatem Ostrowskiego mówiła: „Kazik, opanuj się”, była Iwona Kowalska.

Czyżyk długo nie odpowiadał. Myślał.

— Sądzę, że to uczciwa propozycja — powiedział wreszcie. — Zgadzą się.

Bernacki odetchnął z ulgą. Koncepcja rozwiązania zagadki śmierci trzech osób rysowała mu się coraz wyraźniej.

— Bardzo się cieszę, panie Czyżyk! — stwierdził i podsunął mu do podpisania protokół przesłuchania świadka.

Czyżyk wydobyl z kieszeni swój długopis, złożył dwa zamaszyste podpisy w miejscu, które mu wskazał kapitan i zapytał rzeczowo:

— Kiedy mam spodziewać się tej konfrontacji?

Bernacki wzruszył ramionami.

— Nie wiem! Ale zapewniam pana, że dopiero wtedy, gdy będę pewny, że Kowalska brała udział w morderstwie Pawła. Oczywiście powiadomię pana odpowiednio wcześniej, tak, aby mógł pan przygotować się do tej, jak to pan określił, konfrontacji.

Krawiec wstał i zaczął przygotowywać się do wyjścia.

— Właśnie chciałem o to prosić.

— A ja o zachowanie w ścisłej tajemnicy naszej rozmowy. Nawet żona nie powinna o niej wiedzieć.

Czyżyk uśmiechnął się smutno.

— Jestem kawalerem — oświadczył.

Bernacki wyszedł zza biurka i wyciągnął na pożegnanie rękę.

— Dziękuję panu i do zobaczenia — powiedział ściskając ogromną dłoń krawca. — Bardzo nam pan pomógł.

Czyżyk uśmiechnął się z zadowoleniem i skinąwszy jeszcze na pożegnanie głową, opuścił pokój. Bernacki dokładnie zamknął za nim drzwi, następnie na głos przeczytał protokół, po czym poszedł na pierwsze piętro do gabinetu kierownika komisariatu. Usiadł w fotelu i przymknął oczy. Postanowił poczekać na Kasperka i przedstawić mu rewelacyjne zeznania Czyżyka. Postanowił też, że jeszcze dziś obaj udadzą się do Iwony Kowalskiej.

Kasperek wpadł do gabinetu kierownika Wołczyńskiego o piętnastej. Z jego znużonej twarzy Bernacki wyczytał, że nic nowego on ani jego ludzie nie ustalili, że przesłuchania sąsiadów, kolegów, znajomych czy przyjaciół zamordowanego zakończyły się fiaskiem.

— Zupełnie nic? — zapytał cicho, mając jednak pewną nadzieję, że Kasperek, znany z sumienności i dokładności,

znalazł jakiś ślad czy punkt, na którym będzie można oprzeć przyszłe działania.

— Absolutnie! — odrzekł. Wyglądał na zrezygnowanego. — Byłeś na obiedzie? — zapytał po chwili. — Jestem piekielnie głodny.

— Ja także! — powiedział wstając Bernacki.

— A więc chodźmy!

Milicyjna stołówka, jak wszystkie restauracje w B., znajdowała się przy rynku. W drodze Bernacki streścił koledze rozmowę z Czyżykiem, uzgodnili też, że przynajmniej do jutra zachowają ją tylko dla siebie. Postanowili również nie informować o niej majora Lewickiego.

— A wiesz, że ten Czyżyk to bardzo dziwny facet — dzielił się wrażeniami z przesłuchania Bernacki. — Niechlujny, zaniedbany stary kawaler. Zapytałem go, czy wie, dlaczego ludzie zabijają się, a on mi na to, że z miłości, nienawiści, dla pieniędzy...

— Nic oryginalnego nie powiedział — stwierdził Kasperek obojętnie. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Tak, ale naprowadził mnie na motyw tych zbrodni!

— Myślisz, że są popełniane z miłości czy z nienawiści? — zaśmiał się Kasperek. — Bo chyba nie dla forsy.

Bernacki zatrzymał się na moment, położył dłoń na ramieniu Kasperka i patrząc mu w oczy, powiedział:

— Kilka lat temu oni wszyscy bardzo się kochali. Powoli miłość przeradzała się w nienawiść...

— Być może masz rację — w zamyśleniu odpowiedział Kasperek. — Ale pospieszmy się — chwycił kapitana za ramię. — Czeką nas przecież jeszcze dzisiaj pasjonująca rozmowa z Iwoną.

— Właśnie! Ciekawe, czy uda nam się ją złamać.

— Wątpię! Miała czas przygotować się...

— I na pewno go nie zmarnowała — stwierdził z przekonaniem Bernacki. — Spójrz, jak obserwują nas ci z ławki. Pewnie porządnie nam się dostaje...

Kasperek skinął głową. Przez kilkadziesiąt metrów, jakie dzieliły ich od stołówki, nie odzywali się do siebie. Obserwowali ulicę. Spojrzenia mijających ich ludzi były nieprzyjazne, wręcz wrogie. Wiedzieli już o aresztowaniu małżeństwa Grabowskich i w większości nie byli przekonani o ich winie. Według nich morderca wciąż chodził wolny, a działania milicji wydawały im się ślamazarne i opieszale. Do tego mieli już dość tych obcych, wciąż węszących i wypytujących, zbyt ciekawskich funkcjonariuszy z województwa.

Podczas obiadu Bernacki powiedział:

— Nie zdobyliśmy sympatii mieszkańców miasteczka.

— Gadasz, jakbyś dopiero kilka dni pracował w milicji — odparł prędko Kasperek, nie podnosząc głowy znad talerza. — Oni po prostu wolą swoich milicjantów. I tak jest wszędzie. I musisz wreszcie się z tym pogodzić.

— Ale Czyżyk przyszedł do nas, nie do nich!

Kasperek zastanowił się.

— Wyjątek! Sam zresztą mówiłeś, że to dziwny facet.

Bernacki odsunął talerz i rozejrzał się po sali. Przy bufecie chicholiły się dwie kelnerki, w kącie przy drzwiach popijało kawę dwóch plutonowych.

— Czy ty wiesz, że jutro minie dwadzieścia lat mojej pracy w milicji? Ciekaw jestem, co mi z tej okazji powie mój przełożony, major Lewicki — zamyślił się na kilkanaście sekund. — Pamiętam — podjął tym samym nostalgicznym tonem — ten pierwszy dzień. Przyjął mnie pułkownik Gozdarowski. Wybraliście sobie ciężki odcinek pracy — powiedział. Był poważny, uroczysty. Ja, od kilku dni magister historii, śmiałem się w duchu z tej jego napuszonej powagi. Z pierwszej rozmowy z nim utkwilo mi jednak co

innego — jego pewność, że za dwadzieścia lat takie przestępstwa, jak zabójstwa, gwałty, rozboje, zupełnie znikną, a milicjant będzie sobie siedział za biurkiem i wysłuchiwał nie skarg, lecz...

— Co ci się tak zebrało na wspominki — przerwał mu Kasperek. — Obiecywano nam wiele rzeczy — odstawił talerz na sąsiedni stolik. — Za to wiem, co ci powie Lewicki. Chcesz, to mogę ci zdradzić.

— Mów! — rzekł i zapalił papierosa.

— Wezwie cię rano i zapyta: No to co tam nowego ustaliliście, Bernacki? Oj, niedobrze! Przyspieszcie działania — mówił to naśladując piskliwy głos szefa, z uśmiechem, ironicznie. — Jak mogłeś pomyśleć, człowieku, że on będzie pamiętał o czymś takim. Ty naprawdę zachowujesz się, jakbyś był nowicjuszem w naszym fachu.

Bernacki poczerwieniał i zmieszał się. Potem dotknął ręki kolegi i lekko się uśmiechając, powiedział:

— Cóż, staję się już starym, zrzedliwym milicjantem. Ale gdy już sobie tak gadamy, to jeszcze jedno ci powiem. Kiedyś, gdy jechałem, jak to się u nas mówi, do zabójstwa, to przez całą drogę przygotowywałem się do spotkania ze śmiercią. A gdy już byłem na miejscu, bałem się spojrzeć na zwłoki, podchodziłem do nich z zamkniętymi oczami, z trudem powstrzymując drżenie rąk. Oblewał mnie zimny pot i przez następnych kilka nocy śniły mi się koszmary. Dzisiaj jest inaczej. Dzisiaj wiem, że jest coś jeszcze strasznego od śmierci — zamyślił się głęboko.

Kasperek przyglądał się koledze z rosnącym zdziwieniem.

— Co? — zapytał zupełnie zbity z tropu.

— Życie! — odparł Bernacki cicho, jakby z zażenowaniem. — Życie, kolego! — powtórzył już nieco głośniej. — Znasz to: „Życie jest piękniejsze i strasniejsze jeszcze

jest, błędnie przy nim wszystko, błędnie przy nim nawet śmierć!”

Kasperek przecząco pokręcił głową. Nie interesował się literaturą. Czytał jedynie fachowe pisma, od czasu do czasu kryminały.

— Jest to, przyjacielu, końcowy fragment wiersza Edwarda Stachury, poety, który skończył tragicznie — wyjaśnił Bernacki.

— Chciał udowodnić, że życie jest straszniejsze od śmierci? — usiłował popisać się bystrością umysłu Kasperek. — Daj mi spokój! To są problemy do rozwiązania dla filozofów, a nie dla zwyczajnych glin.

— Mylisz się!

— Być może! Dla mnie jednak najstraszniejszą rzeczą jest śmierć. A życie? Spójrz! — wskazał wzrokiem na młode, zgrabne kelnerki. — Nic się z nim nie zrówna. Jest piękne. Wiedzą o tym te dziewczyny, życie kochała Hanka Kozicka, Kowalski. Pomylił się ten twój poeta! — wyjął z kieszeni portfel. — Płacimy i do roboty. A jak już skończymy i wyjedziemy z tego cholernego miasteczka, to wiesz, co zrobię?

Bernacki bezradnie wzruszył ramionami.

— Zadzwoń do kumpli i pójdziemy do „Unii” lub „Viktorii”, poderwiemy dziewczyny i przez trzy dni nic nie będę robić poza podpisywaniem rano listy, no i wiesz chyba, co mam na myśli. A jak mi Lewicki zwróci uwagę, to powiem mu, że uważam, iż zasłużyłem sobie na odpoczynek, a on niech lepiej zajmie się ważniejszymi sprawami niż rozmyślaniami, co też może robić Kasperek, gdzie i z kim. Chyba mam rację!?

— A co na to wszystko powie Elżbieta?

— Jest u teściowej, szczęśliwa, że ją kocham, dumna, że robię karierę — wysupłał z portmonetki dwustuzłotowy

banknot i położył go na stole, a na nim popielniczkę. — Powinno wystarczyć!

Bernacki wyjął pięćsetzłotowy, a dwustuzłotowy schował do kieszeni marynarki.

— Ten na pewno wystarczy! — rzekł myśląc o tym, że jeszcze dziesięć lat temu był taki sam jak Kasperek. Nie miewał wątpliwości, wahań, lubił się bawić. — Cieszę się, że razem prowadzimy tę sprawę — powiedział. — Myślę, że za dwa, trzy dni wyskoczysz z kumplami i porządnie się zabawisz.

— A ja martwię się stanem twojego ducha — oświadczył z powagą Kasperek. — Coś mi się zdaje, że jak pójdziesz na emeryturę, to zajmiesz się pisaniem wierszy czy, nie daj, Bóg, traktatów moralnych — zakończył z uśmiechem i poklepał kumpla po plecach.

— Nie ma obawy, od pisania traktatów moralnych są inni, lepsi od nas. Ale jeśli chcesz, to w drodze do Iwony Kowalskiej mogę powiedzieć ci, dlaczego tak nieprzyjaźnie spoglądano na nas, gdyśmy tu szli na ten niesmaczny obiad.

— Chętnie posłucham! Najpierw jednak zapłacę! — odrzekł Kasperek. Wstał, podszedł do kelnerki i podał jej banknot. — Reszty nie trzeba — powiedział z uśmiechem i puścił do niej oko.

Wyszli na ulicę. Ogarnął ich ciepły, jesienny wieczór, jeden z tych, kiedy nieruchomieje wszystko; liście na drzewach, obłoki, ptaki, przed domami ludzie i babie lato nawet nie zadrży w powietrzu. Chwilę stali odurzeni tą ciszą i spokojem.

— To chyba już jeden z ostatnich dni złotej jesieni — zauważył Bernacki. — W takie wieczory za nikim się nie tęskni, słucha się liści, z obłoków się wróży — zacytował fragment poematu autora, którego nazwisko wyleciało mu z pamięci.

— Zadziwiasz mnie! — stwierdził z uśmiechem Kasperek. — Naprawdę nie wiedziałem, że interesujesz się literaturą! No ale miałeś mi wyjaśnić, dlaczego nas nie kochają.

Bernacki nie odpowiedział, tylko ujął kolegę pod ramię i poprowadził w kierunku uliczki odchodzącej od rynku w stronę kościoła. Dopiero gdy znaleźli się na niej, powiedział:

— To proste. Wszystko jest u nas tajne albo supertajne. A przecież wiesz, że to nieprawda. Dzisiaj milicja chroni praw wolności obywateli, strzeże porządku, mienia. I to trzeba ludziom wyraźnie powiedzieć, wyjaśnić zasady działania, żeby zrozumieli, że jesteśmy dla nich, a nie dla władzy. Bo kiedyś służyła tylko władzy. Królowi, księciu.

— Chyba masz rację! — zgodził się Kasperek. — I to się od pewnego czasu robi — zauważył po chwili.

— Tak! — Bernacki pokiwał głową. — A mówi się o tym za cicho i w małych salkach, żeby nie powiedzieć gabinetach. O problemach milicji trzeba mówić głośno i publicznie. Skuteczne oddziaływanie na opinię publiczną to spadek przestępczości i większa wykrywalność! — zakończył tonem, jakim wygłasza się ważne oświadczenia i roześmiał się.

Roześmiał się także Kasperek.

— Ale z nas mądrale! — stwierdził z dużą dozą autoironii. — Powinniśmy już być co najmniej pułkownikami.

— Staraj się. Masz szansę. Jesteś młody, przed tobą przyszłość.

— Tylko nie mów tego przy Lewickim, mógłby poczuć się zagrożony i przenieść mnie do innego wydziału.

— Obiecuję! — odrzekł Bernacki, starając się zachować powagę. — Wrózę ci jednak dużą przyszłość. Z twoją siłą przebicia. Jestem przekonany, że zajdziesz wysoko.

Kasperek zatrzymał się na moment i skłonił się przed Bernackim.

— Dziękuję ci, mistrzu! — powiedział z patosem.

Bernacki machnął lekceważąco ręką i uśmiechnął się. Przez kilkanaście sekund nie mówili nic. Zbliżali się do ulicy Pochylej, i to przede wszystkim zaprzętało ich umysły. Gadaniem o niczym chcieli ukryć, a może w ogóle oddalić, niepokój, jaki ich powoli ogarniał.

— Szkoda, że nie ma z nami Maciejczaka, zaprotokółowałby od razu zeznania Kowalskiej — odezwał się Bernacki. — Właściwie to czym się on teraz zajmuje?

— Dzisiaj u niego święto! I to wielkie!

— Nie rozumiem! Obchodzi imieniny? Żeni się!?

— Nie, odbiera z Polmozbytu ładę i dlatego szef zwolnił go.

— O rany! — wykrzyknął Bernacki. — To jednak można dorobić się czegoś w milicji... A może wdarł się do ekskluzywnego klubu asygnatowców!?

— Niestety, muszę cię zmartwić. Jego żona otrzymała spadek czy coś w tym rodzaju.

Bernacki rozejrzał się wokoło, jakby chciał sprawdzić czy nikt ich nie podsłuchuje i uśmiechając się powiedział:

— Tak przypuszczałem. Na naszych stanowiskach możesz dorobić się najwyżej wrzodów żołądka, choroby wieńcowej albo nerwicy. Dlatego staraj się, wszystko podporządkuj awansom...

— Dziękuję za rady — przerwał mu Kasperek. — Wystarczy mi to, co mam.

Bernacki popatrzył na niego z politowaniem.

— Stwierdzam u was brak ambicji, kolego!

Kasperek nie zareagował. Zastanawiał się, jak zachować się na ich widok Kowalska, jakie alibi przedstawi na czter-nastego września i co zrobią, jeśli wszystkiemu zaprzeczy.

— Nagramy jej wyjaśnienia na taśmę!? — raczej stwierdził, niż zapytał.

— Oczywiście!

— A co później?

Bernacki nie odpowiedział.

Jesienne popołudnie dobiegało kresu. Słońce jeszcze świeciło, ale znajdowało się już tuż, tuż nad ziemią. Długie cienie przydrożnych drzew kładły się na wyschniętą trawę, załamywały się na ścianach domów albo nikły na dachach i podwórkach.

Iwona Kowalska przyjęła ich na progu mieszkania. Widać było, że spodziewała się wizyty milicjantów. Miała na sobie obcisłą różową sukienkę i nie zapięty czarny sweter. Wyglądała ślicznie i Bernacki pomyślał, że wcale by się nie zdziwił, jeśliby to z jej powodu popełniono te morderstwa.

— Zapraszam panów do mieszkania — powiedziała, a na jej ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. — Spodziewałam się panów dużo wcześniej — dodała, gdy już zajęli miejsca w fotelach.

— Nie ma większego komplementu dla milicjanta niż powiedzenie, że się na niego oczekiwało — oświadczył Bernacki rozglądając się po pokoju i stwierdziwszy, że nic się nie zmieniło od czasu ich ostatniej wizyty, dorzucił: — Zapewne ma nam pani wiele do powiedzenia.

Kowalska zagryzła wargi, spokojnie jednak, z uśmiechem odrzekła:

— Owszem! Przede wszystkim chciałabym wam pogratulować. Całe miasteczko mówi, że złapaliście już morderców. Czy oni zabili również mojego męża? — zapytała bez cienia ironii w głosie.

Bernacki rzucił jej lodowate spojrzenie. Czuł, że kpi sobie z nich.

— Wybaczy pani, ale to tajemnica...

— Przede wszystkim musi pani zdać sobie sprawę z tego, że nie przyszliśmy tutaj, aby odpowiadać na pani pytania! — do rozmowy włączył się Kasperek. — Jest raczej odwrotnie. To pani będzie nam udzielać odpowiedzi — stwierdził mocno poirytowany. — Chyba się zrozumieliśmy!?

Kowalska skinęła głową z miną, jakby chciała rzucić się na przesłuchujących ją milicjantów. Nic jednak nie powiedziała.

— Skoro porozumieliśmy się już co do tej sprawy — kontynuował Kasperek — na wstępie chcielibyśmy usłyszeć, ile ma pani lat, gdzie się urodziła, gdzie pracuje itd. Słuchamy uprzejmie — włączył urządzenie nagrywające, które miał ukryte w marynarce.

Kowalska, zmieszana i zdenerwowana, potarła twarz obiema rękami i pełnym udanej obojętności głosem odrzekła:

— Urodziłam się w B., mam dwadzieścia osiem lat, nie pracuję, mam zaliczone trzy lata polonistyki w UMCS, bezdzietna, wdowa — zakończyła zgryźliwie.

Kasperek zmrużył oczy. Potem patrząc na nią zapytał:

— Z czego pani się utrzymuje?

Kowalska zarumieniała się i ukryła twarz w dłoniach.

— Mąż dobrze zarabiał — odrzekła wreszcie.

— Rozumiem. Ale teraz to chyba pójdzie pani do pracy.

— Raczej nie. Mam trochę pola, kawałek sadu...

— Co pani robiła czternastego września!? Tylko proszę o dokładną relację!

— Czternastego września? — powtórzyła. — W dniu, kiedy zamordowano mojego męża? — spojrzała na Kasperka. — Nic szczególnego. Przez cały dzień nie opuszcza-

łam domu. Prałam, gotowałam, sprzątałam, słuchałam muzyki...

— A wieczorem? — do przesłuchania włączył się Bernacki. — Powiedzmy od piątej!

Kowalska westchnęła głęboko i spuściła oczy.

— Już powiedziałam! Tego dnia w ogóle nie wychodziłam z domu. Ani rano, ani w południe, ani wieczorem, ani w nocy — wyliczyła spokojnie stanowczym głosem.

— Czyżby!?

Kowalska spojrzała na inspektora i potrząsnęła głową.

— Może na kilka minut do sklepu.

— A o której wrócił z pracy mąż?

— Tego dnia w ogóle go nie widziałam! — odparła prędko. — Dopiero następnego, na szosie — dorzuciła po chwili, wycierając oczy, które nagle napęłniły się łzami.

Zapanowała cisza. Bernacki rozsiadł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Zaskoczyła go zupełnie tymi kłamstwami. Kasperek także, lekko zbity z tropu, pokręcił się nerwowo. Raptem wstał, podszedł do niej i zaczął się jej przyglądać, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

— Kłamie pani! — oświadczył. — Bezczelnie pani kłamie! — powtórzył.

Kowalska rozplakała się na głos.

— Nie, mówię prawdę! — zapewniła przez łzy. — Sąsiedzi mogą potwierdzić...

Kasperek przysunął fotel i usiadł przy niej. Uznał, że nie czas i nie miejsce, aby zapoznać ją z zeznaniami Czyżyka. Zapytał tylko:

— Kochała go pani?

— Kogo? Męża?

— Przecież nie pytam o Ostrowskiego! — rzucił brutalnie.

Placz na moment ucichł. Kowalska podniosła do góry

głowę i spojrzała na inspektora, po czym rozplakała się jeszcze głośniej.

— Złe sformułowałeś pytanie. Powinieneś zapytać panią Iwonę, kogo bardziej kochała — męża czy kochanka? — wtrącił zgryźliwie Bernacki.

— Sama nam powie! — roześmiał się szyderczo Kasperk.

W tym momencie Bernacki przypomniał sobie zeznania Grabowskiej.

— A może w życiu pani Iwony jest jeszcze ktoś trzeci? — spojrzał porozumiewawczo na Kasperka.

Ten szybko pojął, do czego zmierza kapitan.

— Myślisz o mecenasie Grabowskim? Tak, to niezła partia. Przystojny, bogaty. Tylko niepotrzebnie zaczął kręcić z Hanką Kozicką. Ostrowski przy nim to mizerota i biedak.

— Może dlatego tak nagle zeszli z tego ponoć najpiękniejszego ze światów. No, niechże pani wreszcie coś powie! — poprosił Bernacki.

Kowalska siedziała jednak ze spuszczoną głową i milczała jak zaklęta. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał płacz.

— Niechże pani coś powie na swoją obronę! Jest pani podejrzana o zabójstwo swojego kochanka, Kazimierza Ostrowskiego, nie wykluczamy, że wie pani, kto zabił pani męża — urwał na chwilę. — Nie zaprzecza chyba pani, że Ostrowski był pani kochankiem!?

Kowalska uciszyła się. Otarła chusteczką oczy i całkiem już spokojna, odparła:

— Tak, był.

— Od dawna?

— Od ponad roku.

— I mąż o tym wiedział?

— Oczywiście!

— I co? — zdziwił się Bernacki. — Nie robił pani wymówek, awantur?

— Zamierzaliśmy się rozwieść. Zresztą nakłaniał do tego Kazik. Chciał się ze mną ożenić! — znów wybuchnęła płaczem. — I ja miałabym go zabić!

Przez kilkanaście sekund trwała cisza. Zamyślony Kasperek kiwał głową, Kowalska bez przerwy ocierała oczy.

— Zapalę światło — powiedziała cicho, po czym wstała i wyjrzała za okno. Na północnym niebie ciemniały chmury i zanosiło się na ulewę jeszcze przed zapadnięciem zmroku. — Będzie padać — dodała. Włączyła kontakt i na powrót zajęła swoje miejsce.

Bernacki z Kasperkiem patrzyli na siebie. Zastanawiali się, jak zmusić Kowalską, aby przyznała się do udziału w zabójstwie męża czy chociażby do wizyty w warsztacie kochanka.

— Co może pani powiedzieć o żonie mecenasa? — zapytał Bernacki.

Kowalska poruszyła się niespokojnie, zagryzła wargi.

— Nic — odrzekła krótko.

— Ale to, że przyłapała panią ze swoim mężem, to prawda?

— Tak. Jednak już nigdy więcej z nim się nie spotkałam.

— Jedno spotkanie i od razu pechowe — zaśmiał się Kasperek.

Kowalska zapłoniła się i spuściła oczy.

— A Hanka Kozicka? Jaka ona była?

— Bardzo sympatyczna, miła. Byłyśmy przyjaciółkami, kochała się w Pawle, z wzajemnością zresztą.

— Dzwoniła do pani w piątek?

Kowalska zmieszala się, westchnęła głęboko.

— Tak; wieczorem chyba, może zaraz po południu, dokładnie już nie pamiętam — przyznała się.

— W jakiej sprawie?

— Robiła mi wyrzuty, że nie powiadomiłam jej o śmierci Pawła.

— Właśnie! Dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Sama nie wiem. Byłam pewnie przekonana, że jeszcze nie wróciła z wczasów z Bułgarii.

— Czy aby na pewno dlatego?

— Nie mam powodu kłamać!

— Więc dlaczego wczoraj nie przyznała się pani do rozmowy z Hanką!? Napisała pani nawet oświadczenie — przypomniał Bernacki.

Kowalska zastanowiła się. Zakryła twarz dłońmi i powiedziała:

— Kozicka zarzuciła mi, że to ja zabiłam Pawła i że pomagał mi w tym Ostrowski. Oświadczyłam jej, że się myli, że plecie bzdury, że chyba zwariowała. Pokłóciliśmy się...

— Zagroziła też pewnie — przerwał jej Bernacki — że powiadomi o swoich spostrzeżeniach czy domysłach szefa komisariatu Wołczyńskiego!

Kowalska pokiwała głową. Wyglądała na zrezygnowaną. Patrząc na nią Kasperek uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, aby znów zapytać ją o wieczór czternastego września. Najpierw jednak dokończył myśl rozpoczętą przez Bernackiego:

— I dlatego trzeba było ją zabić!

Kowalska obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem.

— Ja jej nie zamordowałam! — stwierdziła stanowczo.

— Ale namówiła pani Ostrowskiego! — wrzasnął. — Oboje doskonale wiedzieliście, że Kozicka nie wybaczy wam

śmierci Pawła, że poruszy niebo i ziemię, aby wam to udowodnić. Wpadliście w panikę!

— Nie mam nic wspólnego ze śmiercią mojego męża ani Kozickiej. Ja wiem, że w mieście mówią, że to moja wina, ale to nieprawda — głos Kowalskiej ku zdziwieniu milicjantów brzmiał pewnie i spokojnie. — Owszem, lubię bawić się, miewałam kochanków, otrzymywałam od nich prezenty, nigdy jednak nie pomyślałam o tym, by pozbyć się Pawła. Tolerował moje wybryki, zresztą sam też często nie wracał na noc...

— A Ostrowski? — przerwał jej Kasperek. Denerwowała go pewność siebie tej małomiasteczkowej piękności, zmienność jej nastrojów. — Zabiła go pani dlatego, że za dużo wiedział czy dlatego że spełnił swoje zadanie? A może znalazła sobie pani nowego pocieszyciela!? — zakończył szyderczo, brutalnie.

Kowalska podniosła się raptownie i stanęła przed nim. Wyglądała tak, jakby chciała rzucić się na niego.

— Ja sobie wypraszam! — krzyknęła. — Pan mnie obraża, złożę na pana skargę do prokuratora... — przerwała, by zaczerpnąć oddechu. — To niestylchane, żeby traktować mnie jak... — przez kilka sekund szukała odpowiedniego słowa — jak bandytkę — dokończyła wciąż wzburzona i rozdygotana.

— Proszę się uspokoić! — do przesłuchania znów włączył się Bernacki. — Traktujemy panią jak osobę podejrzaną o dokonanie morderstwa — mówił stanowczym, ale łagodnym głosem. — A to, że czternastego września około godziny osiemnastej znajdowała się pani nie w domu, lecz w zakładzie kochanka w Sitniku, możemy bez trudu udowodnić!

Kowalska usiadła. W pokoju zapanowała cisza. Po kilkunastu sekundach Bernacki podjął:

— Mamy świadka, który widział tam panią. Możemy nawet zacytować słowa, które pani wypowiedziała, opisać pani zachowanie. Tak więc nie zależy nam aż tak bardzo na przyznaniu się pani. Ten człowiek, jeśli zajdzie potrzeba, powie pani to wszystko w oczy.

Kowalska zamyśliła się. Rysy jej stwardniały, ciemne oczy jakby się zapadły.

— To niemożliwe! — powiedziała twardo. — Ten człowiek kłamie! Ja u Kazika w warsztacie ostatni raz byłam w lipcu. Czy mogę wiedzieć, kto chce mnie zrobić w te morderstwa? — zapytała po chwili, wpatrując się uważnie w oczy Bernackiemu.

— Nie! — szybko odpowiedział Kasperek, obawiając się, że Bernacki wyjawí nazwisko świadka. — Przyjdzie na to odpowiedniejsza pora.

Bernacki był jednak odmiennego zdania.

— Oczywiście! — rzekł spoglądając uspokajająco na Kasperka. — Tym człowiekiem, który widział panią wtedy w Sitniku, jest — zawałał się na moment — Stefan Czyżyk.

Ładna twarz Kowalskiej spąsowiała. Odwróciła się na moment, aby ukryć zmieszanie, po czym pełnym zdziwienia głosem zawołała:

— Czyżyk! Co on by tam robił!? To niemożliwe! — Na jej ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech. — On od pół roku wręcz uciekał od Kazika, unikał go...

— Dlaczego? — przerwał jej Kasperek.

— Jest mu winien pół miliona złotych. Był mu winien — poprawiła się.

— Czyżyk twierdzi, że było odwrotnie — oświadczył Bernacki. — Że to Ostrowski stronił od niego.

— To bzdura, niech mu pan nie wierzy — prosiła Kowalska, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. — Kazik wyznaczył mu termin, taki ostateczny, na pierwszego lipca.

Oczywiście Czyżyk nie dotrzymał go, ale żeby Kazika uspokoić, przyprowadził mu swoją syrenkę wartości najwyższej stu tysięcy złotych i zobowiązał się, byłam świadkiem, że odda najpóźniej pierwszego września — opowiadała jękając się.

— I co? Dotrzymał słowa? — ironicznie zapytał Kasperek. Nie wierzył wyjaśnieniom Kowalskiej. Jak na jego gust były zbyt logiczne.

— Nie! Oczywiście że nie! Czyżyk to kanciarz, hochsztapler i niezły cwaniak. Wygląda wprawdzie na faceta, co to do niczego się nie nadaje, ale to tylko pozory, on udaje takiego niezgułę, niedorajdę. W rzeczywistości jest twardy, nie cofa się przed niczym zmierzając do celu...

— Musi go pani nieźle znać! — domyślił się Bernacki i uśmiechnął się znacząco.

Kowalska znów zarumieniła się. Bernacki obserwując ją pomyślał z satysfakcją, że trafnie odczytał, iż w przeszłości musiało ich wiele łączyć ze sobą. Postanowił, że nie będzie delikatny i zapytał wprost:

— Był pani kochankiem!?

Kowalska zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i potakując kiwnęła głową.

— Rzucił panią? — dopytywał się. — Czy może było odwrotnie?

— To nie ma znaczenia! — mruknęła gniewnie. — Ale żeby zaspokoić pańską ciekawość, odpowiem: to ja miałam go dość.

— Dlaczego?

— Bo był skąpy, chorobliwie zazdrosny, brzydki, niechlujny. A do tego zaczął interesować się mną Ostrowski, no i czułam się bardzo samotna, opuszczona...

— Przecież miała pani męża! — przerwał jej gwałtownie Kasperek. — Rozumiem — złośliwie zmrużył oczy — chce pani nas wzruszyć, roztkliwić swoim losem.

— Paweł w tym czasie ponownie zakochał się w Kozickiej. Ja nie liczyłam się — odburknęła.

Kasperek z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał na Bernackiego. Ten bezradnie wzruszył ramionami. Zupełnie pogubił się w miłostkach i flirtach Kowalskiej i jej męża.

— Nie rozumiem! — powiedział pocierając wysokie czoło. — A mecenas Grabowski? Co on na to? Nie był zazdrosny!? A może nic nie wiedział o tym, że jego utrzymanka kocha się z wzajemnością w pani mężu!?

Kowalska spojrzała na inspektora. Minęła jednak dłuższa chwila, zanim odpowiedziała:

— O wszystkim wiedział. Przypuszczam, że taka sytuacja była mu na rękę. Mógł z powodzeniem zaprzeczać, jakoby cokolwiek łączyło go z Hanką. I ludzie mu wierzyli, bo widywali ją przede wszystkim z Pawłem. Z nim pokazywała się bardzo rzadko i tylko w L.

— A jakie stosunki łączyły rywali? Bo chyba tak trzeba ich określić!

Kowalska zastanowiła się chwilę i spokojnie odrzekła:

— Szczerze mówiąc nie wiem! Być może w głębi duszy nienawidzili się. W czasie spotkań zachowywali się jak dżentelmeni.

— Chce nam pani zasugerować, że sprawcą zabójstwa Pawła Kowalskiego może być mecenas — stwierdził Bernacki, myśląc jednocześnie, że Kowalska bardzo sprytnie wywinęła się z podejrzeń. — Tak czy nie? — zapytał podchodząc do niej.

Kowalska zachnęła się. Szybko jednak opanowała się. Bernacki obserwując ją uważnie, był pewien, że odpowie tak. Usłyszał jednak:

— Nie można wykluczyć takiej ewentualności. Nazwał ich pan rywalami, i chyba to słowo właśnie oddaje charakter ich kontaktów.

Bernacki uśmiechnął się nieznacznie. Pomyślał, że Kowalska wygrała tę rundę, uwolniła się od podejrzeń, więcej, skierowała je na inne osoby.

— A ty co o tym wszystkim sądzisz? — zwrócił się do milczącego od kilku minut Kasperka.

Porucznik wyprostował się w fotelu i rozłożył ręce. Od paru minut analizował odpowiedź pięknej Iwony i doszedł do tych samych wniosków co Bernacki.

— Cóż, mam nadzieję, że pani Iwona nie oszukiwała nas — powiedział z uśmiechem. — Zresztą wkrótce dowiemy się...

Kowalska poruszyła się niespokojnie.

— O czym? Od kogo? — przerwała porucznikowi.

— ...co robiła pani naprawdę czternastego września — dokończył.

— Przecież już powiedziałam!

— Ale Czyżyk twierdzi, że widział panią w warsztacie Ostrowskiego. I my mu wierzymy! — oświadczył twardo.

— Wobec tego proszę o skonfrontowanie mnie z nim! — zawołała gniewnie.

— Nastąpi to najprawdopodobniej jutro — spokojnie poinformował Bernacki. — I proszę sobie wyobrazić, że on kategorycznie domaga się tego i powie to pani w oczy. Z przyjemnością, tak mnie przynajmniej zapewnił — kłamał, aby jeszcze bardziej zdenerwować Kowalską. — Liczymy też, że pozostawiła pani na miejscu zabójstwa trochę śladów — ciągnął dalej. — Idzie mi o odciski pani paluszków, bučików, plamy krwi na garderobie. I zapewniam panią, że zbadamy to wszystko bardzo dokładnie. Jestem przekonany, że nie na darmo! — dokończył po krótkim namyśle.

Kowalska obserwowała go z wymuszonym uśmiechem na ustach. Milczała przez jakiś czas, wreszcie urażonym tonem powiedziała:

— Fantazjuje pan.

— Jeszcze nie powiedzieliśmy wszystkiego — rzucił. — Mówiąc inaczej, kilka faktów, które poważnie obciążają panią, zachowaliśmy dla siebie. Porozmawiamy o nich jutro.

— Z samego rana w komisariacie — uzupełnił Kasprek, patrząc na nią groźnie.

Kowalska wytrzymała spojrzenie.

— Wolałabym dzisiaj i tutaj — oznajmiła grzecznie. — Dopiero szósta — popatrzyła na ścienny dziewiętnastowieczny zegar.

— Nie! — uciął dyskusję Bernacki. — Jutro o dziesiątej w komisariacie. I proszę się nie spóźnić!

Kowalska skinęła głową.

— Postaram się — mruknęła.

Zapadło milczenie. Słychać było tylko szemrzący za oknem deszcz i dostojne cykanie zegara.

Pierwszy odezwał się Bernacki.

— Całą tę naszą rozmowę nagraliśmy na taśmę — poinformował spokojnie. — Jutro przeniesiemy ją na protokół. Nie oznacza to, że nie ma pani prawa zmienić swoich zeznań. Niech pani przemyśli jeszcze raz to wszystko. Ze swojej strony powiem, że w sprawach o zabójstwo opłaca się mówić prawdę. Wtedy i sąd patrzy inaczej, i adwokat ma większe możliwości obrony — mówił wolno, zadumany. — Czy dobrze mnie pani zrozumiała?

Kowalska zamiast odpowiedzieć znów pokiwała głową. Nie przypominała już tej kobiety sprzed godziny, zapłakanej, zalęknionej, z niepokojem oczekującej na pytania milicjantów. Na jej twarzy coraz częściej pojawiał się uśmiech i wyraźnie nabrała pewności siebie.

Jest niewinna albo dobrze przygotowana do odegrania roli skrzywdzonego niewiniątka — pomyślał Bernacki.

Minę miał posępną, może nawet zgorzkniałą. — Jeśli nie zdobędziemy przeciwko niej dowodów — dumał — nikt jej nie zmusi do przyznania się czy chociażby do powiedzenia prawdy. Odchrząknął i spojrzał pytająco na Kasperka. Ten zamrugał oczami, zrobił mądrą minę i powiedział:

— Radzę pani dobrze przemyśleć słowa kapitana. I proszę sobie zapamiętać, że w sprawach o morderstwo adwokaci mają niewiele do powiedzenia przed sądem. Dlatego tak ważne jest przyznanie się do winy, to okoliczność wysoce łagodząca... — urwał patrząc na nią groźnie. — Dajemy pani jeszcze kilkanaście godzin do namysłu — zakończył sucho.

Kowalska wzruszyła ramionami. Minę miała, jakby nic nie zrozumiała z wypowiedzi milicjantów.

— Wydaje mi się, że zbyt wiele oczekujecie ode mnie — oznajmiła z uśmiechem. — Ja, panowie, już wszystko powiedziałam i niczego nie zamierzam zmieniać. Rozumiem, że macie w stosunku do mnie jakieś tam podejrzenia, ale czy nie ponosi was fantazja? — popatrzyła z politowaniem na inspektorów. — To naprawdę nie ja zamordowałam swojego, nie kochanego wprawdzie, męża, nie ja zabiłam Kazika Ostrowskiego i nie ja pozbawiłam życia swoją przyjaciółkę Hanę Kozicką. Jest mi tylko bardzo przykro, że mnie podejrzewacie. Jest mi też przykro dlatego, że nie potrafię wam pomóc. Ludzie odwrócili się ode mnie, obciążają mnie winą za wszystko, co się stało — mówiła wolno, z zażenowaniem. — Ale jestem przekonana, że złapiecie mordercę. On przecież żyje tu, w tym miasteczku, obserwuje pewnie wasze działania, może już nawet z nim rozmawialiście — umilkła na chwilę. — Nie wierzę też, że zabójcą jest mecenas Grabowski czy jego żona. Choć — zawahała się — nie dałabym sobie uciąć za nich ręki. Hanka mówiła mi, że mecenas chciał się rozwieść z żoną,

radziła się, czy wychodzić za niego. Ja odradzałam jej. Była od niego ponad dwadzieścia lat młodsza — zamyśliła się. — To straszne! Popelniono trzy morderstwa w miasteczku, które było oazą spokoju, a główną osobą podejrzaną jestem ja, ja, która straciłam przez ich śmierć wszystko: męża, przyjaciela, najlepszą koleżankę, szacunek u mieszkańców — ukryła twarz w dłoniach. — Weźcie to, panowie, łaskawie pod uwagę!

Zapanowała cisza. Bernacki rozmyślał, Kasperek zerkał na niego jednym okiem z marsem na twarzy. Miał już dość tego przesłuchania. Wstał i przeszedł się po pokoju. Wreszcie przerywając milczenie, zapytał z troską w głosie:

— Może w czymś pani pomóc? Bo faktycznie znalazła się pani w bardzo trudnej, niezręcznej sytuacji...

Bernacki podniósł głowę i popatrzył ze zdziwieniem na kolegę. Zaskoczył go tym pytaniem. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że Kasperek chce pewnie uspić czujność Kowalskiej, aby jeszcze raz zaatakować, zmusić do wyjawienia tajemnicy śmierci Pawła.

Kowalska nie odpowiedziała, pokręciła tylko przecząco głową. Kasperek patrzył na nią z zamyśloną miną. Minęła dłuższa chwila, zanim znów się odezwał:

— A zatem do jutra! — stanął przy niej i dotknął jej ramienia.

Kowalska drgnęła i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, jakby przeczuwając podstęp.

— Niczego poza spokojem mi nie potrzeba! — odrzekła zimno, pełna udanej obojętności.

Bernacki widząc, że Kasperek zmierza jednak do zakończenia rozmowy, także podniósł się z wygodnego fotela. Podeszedł do okna i odchylił firankę. Deszcz przestał padać, a na ulicy paliły się latarnie.

— Tak! — powiedział w zamyśleniu. — To chyba

wszystko, co chcieliśmy dzisiaj od pani usłyszeć. Do zobaczenia.

— Odprowadzę panów do furtki — odrzekła wstając. Bernacki zauważył, że jego słowa przyjęła z ulgą, a na jej pełnych ustach pojawił się uśmiech. — Proszę iść za mną!

Na dworze jeszcze raz pożegnali się grzecznie z Kowalską, przypomnieli o obowiązku zgłoszenia się w dniu jutrzejszym na przesłuchanie i szybkim krokiem ruszyli w dół ulicy Pochyłej. Szli nie odzywając się do siebie, pogrążeni we własnych myślach. Zroszony deszczem asfalt połyskiwał w świetle ulicznych lamp. Było cicho, tylko w koronach drzew szeleścił łagodnie wiatr, strącając z liści krople wody. Bernacki uważnie obserwując ulicę, zastanawiał się nad dalszymi posunięciami, które przy odrobinie szczęścia mogły wprowadzić śledztwo na właściwe tory. Był przekonany, że nie poruszają się po omacku, był pewny, że każde, nawet to, wydawałoby się, nieefektywne przesłuchanie, przybliży ich do sprawcy czy sprawców tych zbrodni, bo poszerza ich wiedzę o miasteczku, jego mieszkańcach i ofiarach mordercy. Dopiero gdy znajdowali się kilkaset metrów od komisariatu, Kasperek zapytał:

— Jak myślisz? Jest morderczynią czy nie?

Bernacki westchnął głęboko.

— Nie wiem! — odparł. — Raczej nie. Ale wie, kto zabił Pawła! — dorzucił.

Kasperek pokręcił przecząco głową.

— Inaczej bym to ujął — stwierdził. — Ona domyśla się, kto jest mordercą i przypuszczam, że jutro powie nam jego nazwisko.

— Jeśli była przy tym, w żaden sposób nie wyciągniemy od niej nazwiska zabójcy.

— Musimy!

— A to jak?

— Powinniśmy skłonić prokuratora nadzorującego śledztwo, ażeby zapewnił ją, że nie stanie przed sądem jako współsprawca, tylko jako świadek. Myślę, że Borowicz pójdzie na to.

— Jestem o tym przekonany. Tylko że... — Bernacki niespodziewanie urwał na parę sekund i chwycił Kasperka za ramię ściskając je mocno.

— O co chodzi? — zaniepokoił się Kasperek.

— Tylko że ona może nie doczekać jutra. Jak Ostrowski dzisiejszego dnia! — dokończył z przestraczem w głosie.

Kasperek zatrzymał się na moment.

— Cholera! Masz rację! Musimy jej zapewnić ochronę.

— Ale dyskretną! Ona nie może wiedzieć, że jest obserwowana.

— Kto się tym zajmie? My czy ludzie Wołczyńskiego?

— Zlecimy tę robotę Wołczyńskiemu! — postanowił po krótkim namyśle Bernacki. — Ma paru sprytnych milicjantów... — dodał po chwili. Znajdowali się kilkanaście metrów od budynku komisariatu. — Mam nadzieję, że nie poszedł już do domu — dokończył patrząc w ciemne okna gabinetu kierownika Wołczyńskiego.

— Jak go znam, nie może doczekać się naszego powrotu — rzekł Kasperek.

I tak faktycznie było. Wołczyński od godziny nie opuszczał pomieszczenia dyżurnego komisariatu. Od czasu do czasu zrywał się z krzesła ustawionego przy oknie, przemierzał kilka razy pokój i znów siadał, coraz bardziej zniecierpliwiony i zdenerwowany. Uważał, że jako gospodarz terenu powinien być systematycznie informowany o postępach w śledztwie. W głębi duszy bał się też, że sprawca zostanie ustalony bez udziału jego ludzi.

— Nareszcie! — wykrzyknął na ich widok. — Już zaczynałem się niepokoić o was. Kilka razy dzwonił też

naczelnik Lewicki. Chce wiedzieć, co nowego ustaliliście i kiedy zamierzacie wracać do L.

— I co mu powiedziałeś? — zapytał Kasperek.

— A co miałem rzec! Że pracujecie. A jeszcze jedno! — złapał się za głowę. — Byłbym zapomniał. Jutro o wpół do ósmej odprawa, połączona z rekonstrukcją, u niego w gabinecie. Ja też mam w niej uczestniczyć. Będzie prokurator Borowicz, no i zastępca szefa wojewódzkiego. Napijecie się herbaty?

Bernacki z Kasperkiem wymienili spojrzenia.

— Jeśli nie sprawi ci kłopotu — odparł Bernacki.

— Ależ skąd! — zapewnił kierownik. — Musimy tylko przejść do mojego gabinetu.

— A nie znajdziesz czegoś mocniejszego? — zapytał Kasperek ze śmiechem.

Kierownik zamrugął oczami, lekko zdezorientowany, po czym otworzył drzwi dyżurki. Dopiero gdy przekroczyli próg jego gabinetu, zapytał:

— Naprawdę masz ochotę na kieliszek? — przezornie nie wymienił nazwy trunku. — Bo chyba bym znalazł...

Kasperek z uśmiechem pokiwał głową i usiadł.

— Tylko pospiesz się! Jest już późno.

Wolczyński otworzył żelazną szafę.

— Jest coś nowego? — zapytał.

— A u ciebie?

— Niewiele! — odrzekł stawiając na stoliku trzy szklanki. — Dzielnicowy Milanowski przesłuchał sąsiada Ostrowskiego, niejakiego Michała Kraczkiewicza, pijaczka, nieroba. Otóż ten Kraczkiewicz widział w nocy, około drugiej, trzeciej, zaparkowany przed domem Ostrowskiego samochód. Gdy pół godziny później spojrzał w okno, już tego samochodu nie było.

— Ciekawa informacja! — pochwalił go Bernacki. —

Czy Kraczkiewicz podał markę, kolor tego samochodu?

— Niestety, przypuszcza tylko, że był to duży fiat lub lada. A kolor jakiś ciemny. Czerwony, może granatowy... — urwał i zajął się otwieraniem butelki, którą od kilkudziesięciu sekund obracał w rękach. — Rozlać na raz? — zapytał.

— Absolutnie! — zaprotestował Bernacki. — Najwyżej po kropelce. Wysłałeś technika, ażeby zrobił odlewy gipsowe śladów opon? — zapytał po chwili.

— Oczywiście! Nawet nieźle wyszły. W każdym razie nadają się do badań porównawczych.

Bernacki poklepał go po ramieniu.

— Zuch z ciebie.

— Dzięki za dobre słowo — odrzekł Wołczyński. Wyjął z biurka dwie butelki nałęczowianki i postawił je na stoliku. — A co u was? — nie dawał za wygraną. — Słyszałem, że przesłuchiwałeś Czyżyka — spojrzał na Bernackiego. — I co ci powiedział?

Bernacki wzruszył ramionami.

— Nic ważnego, same plotki — odparł z wymuszonym uśmiechem. — Zdrowia! — podniósł szklankę do ust i wypił jednym haustem. — Mam nadzieję, że wybaczy nam...

— Kto? — przerwał mu Wołczyński, odstawiając pustą już szklankę.

— Regulamin — odrzekł z poważną miną Bernacki. — Przecież go łamiemy.

Wołczyński z Kasperkiem roześmieli się.

— Nie pierwszy raz i nie ostatni — zauważył Kasperk. — Odwiesz nas do domu? — zapytał po chwili.

— Oczywiście! Kierowca czeka już z godzinę.

— Ilu masz ludzi na noc?

Wołczyński zastanowił się, podrapał się po łysinie i odrzekł:

— Czterech. Dlaczego pytasz?

— Dla dwóch mamy specjalne zadanie — oznajmił Kasperek i podniósł do ust szklanke. — Wytłumacz mi jakie! — zwrócił się do Bernackiego. — I otwórz wreszcie tę butelkę — podał kapitanowi nałęczowiankę.

Bernacki z niechęcią sięgnął po leżący na biurku otwieracz. Delikatnie, by nie uszkodzić butelki, zdjął kapsel i postawił ją przed Kasperkiem. Nagle poczuł się zmęczony, senny. Wiedział, że to wpływ wypitego alkoholu.

— Jeśli chodzi o mnie, to na dzisiaj mam dość. Alkoholu i roboty — powiedział i odstavil swoją szklanke na parapet. Następnie przeniósł spojrzenie na Wołczyńskiego i wolno dodał: — Dzisiejszej nocy dwóch twoich milicjantów zamiast patrolować ulice, będzie obserwować dom Iwony Kowalskiej. Ale tak, żeby nikt ich nie zauważył. Nie możemy dopuścić do sytuacji, jaka wydarzyła się wczorajszej nocy. Ona nie może zginąć! Zrozumiałeś?

Wołczyński poruszył się niespokojnie i westchnął.

— Myślisz, że grozi jej niebezpieczeństwo? — zapytał mrużąc oczy. — Czwartego zabójstwa już bym chyba nie przeżył. Zawał pewny...

— Przeżyłbyś — przerwał mu Bernacki. — Tylko że pewnie trochę wcześniej poszedłbyś na emeryturę. Do jutra! — wstał, poklepał kierownika po plecach i mrugnął znacząco na Kasperka. — Miałby chłop szczęście! — zażartował wyciągając na pożegnanie rękę.

Wołczyńskiemu nie było jednak do śmiechu. Z ponurą miną uściśnął dłonie inspektorów. Od kilkunastu dni wydarzenia w miasteczku spędzały mu sen z powiek, a i rozmowy z mieszkańcami również nie należały do przyjemnych, szczególnie te prowadzone przez telefon.

— Spodziewacie się kogoś z Warszawy? — zapytał niespodziewanie niepewnym głosem.

Bernacki nie odpowiedział. Skinął tylko głową i wyszedł na korytarz. Kasperek z Wołczyńskim pospieszyli za nim. Dopiero na parkingu przed budynkiem komisariatu, patrząc na roztrzęsionego wciąż kierownika, oświadczył:

— Jestem przekonany, że jutro, najpóźniej pojutrze zjawi się tu ze dwóch inspektorów z komendy głównej. Na twoim miejscu przygotowałbym się nieco na ich przyjęcie. Przypuszczam, że zainteresują ich nie tylko zabójstwa, lecz także, a może przede wszystkim, działania o charakterze profilaktycznym podejmowane przez komisariat.

— A z tym to chyba nie jest u ciebie najlepiej — dorzucił Kasperek.

Wołczyński zamachał rękami, jakby oganiał się od natrętnej muchy. Teraz na jego twarzy pojawiło się przygnębienie pomieszane z przerażeniem.

— Nie żartujcie sobie za mnie! — jęknął.

Bernacki zajął miejsce w nysie obok kierowcy i chłodno rzekł:

— To nie żarty, panie kierowniku, tylko rady kolegów. Wskakuj! — zwrócił się do Kasperka i zatrzasnął drzwi.

Po chwili samochód zaczął wolno toczyć się w stronę bramy wyjazdowej. Wołczyński stał jeszcze kilkadziesiąt sekund nieruchomo. Zastanawiał się, czy poradzi sobie z problemami, które niespodziewanie zwały się na niego i jego ludzi. W końcu gdy samochód zniknął za zakrętem, machnął zrezygnowany ręką i powlókł się do swojego biura, aby wydać odpowiednie polecenia tym, którzy nadchodzącą noc mieli spędzić na ulicach miasteczka. Zajęło mu to jeszcze dobre pół godziny. Potem zamknął się w swoim gabinecie, zadzwonił do dyżurnego i zabronił mu łączenia z nim jakichkolwiek rozmów. Postanowił przeanalizować wszystkie materiały, jakie zebrano w sprawach o zabójstwa. Spodziewał się bowiem, że jutro podczas odprawy u

Lewickiego będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań, wyjaśnić wątpliwości, przyczyny opieszaleń działań w sprawie Kowalskiego. Obawiał się też, że niektórzy zechcą winą za dotychczasowe niepowodzenia obarczyć jego i podległych mu funkcjonariuszy. Kiedy o trzeciej nad ranem opuszczał komisariat, wiedział, że dotychczas nie popełnił żadnego błędu, że każdy dzień przybliża ich do sprawcy tych potwornych zbrodni.

Kiedy Bernacki przekroczył próg swojego mieszkania, była za kwadrans dwudziesta druga. W mieszkaniu było ciemno, tylko w pokoju starszego syna paliła się nocna lampka. Rozebrał się i starając się narobić jak najmniej hałasu, poszedł do kuchni. Z lodówki wyjął butelkę mleka, przyłożył ją do ust i pociągnął kilka łyków. Było zimne i lekko skwaśniałe. Odstawił je z niesmakiem.

— Cześć! — usłyszał głos syna. Stał w drzwiach kuchni, jak na swoje siedemnaście lat bardzo wysoki, prawie dwumetrowy, szczupły dryblas i uśmiechał się. — Cześć, Holmes! — powtórzył. — Wracasz na tarczy!?

— A ty pewnie uczysz się historii starożytnej, bo używasz takich wyrażen...

— Nie zgadłeś! Wkuwam chemię. Złapaliście go wreszcie? — zapytał i usiadł na stołku.

— Jeszcze nie.

— To już go pewnie nie złapiecie.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Czytałem artykuł o tak zwanym seryjnym morderstwie. Wynika z niego, że na nic zdają się wszelkie działania milicyjne, pościgi, zasadzki i tak dalej. Seryjny morderca wpada, bo popełnia błąd, a popełnia błąd, bo wydaje mu się, że jest chytrzejszy od milicji. Reasumując, twoja praca

na nic się nie przyda, o sukcesie zadecyduje przypadek — ziewnął i przeciągnął się. — Zrozumiałeś coś z tego? — zapytał nie przestając uśmiechać się i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — A najlepiej zrobisz, jeśli zmienisz sobie wreszcie robotę. Stałeś się rutyniarzem...

— To też wyczytałeś? — przerwał mu Bernacki.

— Nie, stwierdzam tylko fakty — odparł wstając. — Weź przykład z ojca Jacka. Odkąd przeniósł się z kryminalnego do drogówki, nie dość że więcej czasu spędza w domu z rodziną, jeździ polonezem, to jeszcze...

Bernacki nie dał mu skończyć.

— Wiesz co, Robert? Idź ty już lepiej spać, bo ci wszystko, czego się nauczyłeś, wywietrzeje z głowy.

Robert popatrzył z politowaniem na ojca i poklepał go po plecach.

— Masz rację, staruszkule! Cześć! Zrób sobie coś do zjedzenia — dorzucił po chwili i poszedł do swojego pokoju.

Bernacki siedział jeszcze przez kilkadziesiąt sekund na stołku zadumany, ze zgorzkniałą miną. Rozdrażniły go trochę słowa syna. Chodził do trzeciej klasy liceum, coraz częściej miał własne zdanie i coraz częściej dochodziło między nimi do drobnych utarczek słownych. Na szczęście nie miał z nim żadnych kłopotów wychowawczych. Z młodszym zresztą również. Chłopcy uczyli się dobrze, trenowali w klubie piłkę ręczną, odnosili nawet niemałe sukcesy. Wreszcie wstał, zgasił światło i poszedł do sypialni. Zapalił nocną lampkę i rozsiadł się w fotelu.

— Dlaczego tak późno? — usłyszał głos żony. — Czasami odnoszę wrażenie — odrzuciła kołdrę i usiadła na tapczanie — że za bardzo przejmujesz się robotą. Ludzie zabijali się, zabijają i będą się zabijać i nic na to nie poradzisz — kwestię tę wygłosiła jednym tchem, po czym umilkła na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. — Zastana-

wiam się też, dlaczego to właśnie ty zajmujesz się tymi cholernymi morderstwami. Czyżby nie było młodszych, sprawniejszych, no i nie obarczonych rodzinami?! Podaj mi papierosa! — poprosiła mocno zdenerwowana.

— Niezdrowo palić w łóżku! — odrzekł spokojnie Bernacki. Żona była nauczycielką w szkole podstawowej. Poznali się jeszcze w szkole średniej. Małżeństwem byli od dwiętnastu lat. — A jeśli chodzi o moją robotę, to już tyle razy tłumaczyłem ci, że ja wiem, iż ludzie będą nadal się zabijać. Chodzi tylko o to, żeby ci, co to robią, szybko wędrowali za kratki. Bo tam jest ich miejsce. I dlatego staram się pracować solidnie. Gdybym pracował byle jak...

— Wiem, wiem — przerwała mu i uśmiechnęła się smutno. Miała trzydzieści dziewięć lat, ale że była szczupła, wyglądała na znacznie młodszą.

— Jutro pewnie masz na siódmą! — domyśliła się.

— I wrócę nie wcześniej niż dzisiaj.

— Zbliżacie się do końca? — zainteresowała się.

Pokręcił przecząco głową.

— Ale chyba podejrzewacie kogoś!

— Tak, dwie osoby zostały nawet aresztowane.

— Na pewno jacyś psychopaci! — stwierdziła przykrywając się kołdrą. — Chodź już! Ostatnio nie mam z ciebie pożytku!

Bernacki nie odpowiedział. Podniósł się z fotela i poszedł do łazienki. Wziął prysznic, potem długo wycierał się szorstkim ręcznikiem, następnie, aby rano dłużej poleżeć w łóżku, ogolił się. Wrócił do pokoju w zupełnie innym nastroju, odświeżony i odprężony, pełen wewnętrznego spokoju. Usiadł w fotelu i sięgnął po swoją ulubioną książkę — „Wertepy” Buczkowskiego. Oczarowała go ta powieść przed kilkunastu laty. Wygrzebał ją ze stosu książek przeznaczonych na makulaturę w małej księgarni

w Bychawie i jeszcze tego dnia przeczytał jednym tchem. Od tamtej pory wracał do niej wielokrotnie, za każdym razem odnajdując w niej nowe wartości. Przede wszystkim przypominała mu dzieciństwo. Urodził się w nadbużańskiej biednej wiosce, takiej jak Dolinoszczęsna czy Zaserecie w „Wertepach”, zagubionej wśród lasów i bagien i przez czternaście lat żył pośród ludzi będących prawie że zwierciadlanym odbiciem bohaterów książki, w zgodzie z naturą, bujną i dziką, słuchał ich nieprawdopodobnych bają o diabłach i duchach, marzeń o szczęściu, bogactwie i podróżach. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych szczęśliwych, wspaniałych dni, beztroskich młodych niedziel, nocnych wypraw z wiejskimi chłopakami na porośnięte karłowatymi brzoškami bagna i do tajemniczych lochów za rzeką. Z melancholijnej zadumy wyrwał go głos Anny.

— Długo jeszcze będziesz tak siedzieć? — zapytała ze zniecierpliwieniem. — Już jedenasta!

— Przepraszam, zamyśliłem się — bąknął podnosząc się z fotela.

— Gaś światło i kładź się — poleciła.

Wyłączył lampkę i wśliznął się pod kołdrę.

— Ale jesteś wredny! — powiedziała przytulając się. — Już myślałam, że dzisiaj nie doczekam się ciebie.

Objął ją gorącą, nagą.

— Aż tak bardzo stęskniłaś się za mną? — zapytał całując ją. Nie odpowiedziała, tylko jeszcze mocniej przywarła do niego. Pół godziny później wyszeptał:

— Teraz dopiero wiem, jak bardzo mi tego dzisiaj brakowało. Kocham cię! I wyjątkowo dobrze mi z tobą.

— Mnie także! — usłyszał w odpowiedzi.

Wtorek dwudziestego piątego września był dżdżysty i zimny. O świcie rozszalała się nad miastem gwałtowna, iście wiosenna, burza. Deszcz i grzmoty obudziły Bernackiego. Przez kilka minut leżał nieruchomo, wsłuchany w przewalającą się nad osiedlem nawałnicę. Ciężkie krople deszczu bębniły o szyby i blaszany parapet. Ciemne niebo raz po raz rozświeślały błyskawice. Powoli uniósł się i sięgnął po stojący na stoliku budzik. Dochodziła piąta trzydzieści. Pomyślał o czekającym go dniu: przesłuchaniach, rozmowach, przeszukaniach, konfrontacjach. Od roku nie czuł się najlepiej. Dokuczało mu nadciśnienie, lekarze podejrzewali chorobę wieńcową, radzili zmianę pracy. Ze złością odkręcił kran z zimną wodą, zrzucił piżamę i wskoczył do wanny. Potem nie zapalając światła ubrał się w przedpokoju i cicho, aby nie obudzić pogrążonych jeszcze we śnie żony i dzieci, otworzył drzwi na korytarz. Burza ucichła, ale deszcz nadal padał. Nad miastem wisiały czarne, niskie chmury. Na ulicach paliły się latarnie i było jeszcze dość ciemno.

Za pięć wpół do ósmej był już na sali odpraw. Usiadł pod oknem, z dala od innych, wyjął notatnik i długopis i położył je przed sobą na wolnym krześle

— Witam wszystkich! — rzucił ponuro major Lewicki, zajmując miejsce za długim, przykrytym zielonym suknem stołem. Widać było wyraźnie, że nie jest w najlepszym nastroju. — Czy kogoś może brakuje? — zapytał tym samym tonem.

Nikt się jednak nie odezwał.

— To bardzo dobrze, że są wszyscy — wymamrotał, po czym wydobyl ze skórzanej eleganckiej teczki akta i położył je przed sobą. — Zanim zaczniemy — podjął bawiąc się długopisem — chciałbym was poinformować, że dzisiaj przyjeżdżają w celu udzielenia nam pomocy dwaj inspekto-

rzy z komendy głównej: major Zenon Adamczyk i kapitan Maciej Kalinowski. W związku z tym proszę o przestrzeganie dyscypliny pracy i o większe zaangażowanie. I jeszcze jedno. W radzie, niestety, nie może wziąć udziału pułkownik Koczara. Nie przybędzie też szef prokuratury. Nie oznacza to oczywiście, że nie interesuje ich przebieg śledztwa. O dziesiątej major Rybiński zapozna prokuratora z dotychczasowymi ustaleniami, ja zaś poinformuję o wszystkim pułkownika Koczare. Wy natomiast — popatrzyl po zebranych — w tym czasie, mam nadzieję, będziecie już w B. przesłuchiwać świadków i wykonywać zadania, które tu wspólnie sobie postawimy — urwał na chwilę, odchrząknął i z kieszeni marynarki wyjął papierosy. Po krótkim namyśle włożył je z powrotem do kieszeni. — Nie będziemy palić! — postanowił. — Zgoda?

Na sali panowała nadal pełna napięcia cisza. Przerwał ją Maciejczak.

— Bardzo słusznie — powiedział półgłosem. — Nawet w kryminałach piszą, że papierosy szkodzą.

Lewicki obrzucił go nieprzyjaznym spjrzeniem.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi — rzekł oschle.

Maciejczak wzruszył ramionami. Nie przepadał za Lewickim.

— O nic! — mruknął na odczepnego. Od lat unikał wszelkich z nim dyskusji, a jeśli odzywał się, to tylko po to, aby mu dogryźć. Nie lubił przełożonych, którzy umieli tylko komenderować.

Major skrzywił usta w niewyraźnym, ironicznym uśmiechu. Chętnie pozbyłby się go z ekipy śledczej. Maciejczak był jednak jednym z najlepszych oficerów dochodzeniowych i Lewicki o tym wiedział.

— To świetnie! Możemy zatem przystąpić do rekonstrukcji wydarzeń. Morderstw! — poprawił się. — Zacznie-

my chyba od sprawy Pawła Kowalskiego. Minęło dziesięć dni, a my wciąż nie wiemy, kto pozbawił go życia i w jakich okolicznościach. A może jest inaczej?

Podniósł się kapitan Wołczyński.

— Niestety, obywatelu naczelniku, to prawda. Mimo podejmowanych wielokierunkowych działań nadal nie potrafimy powiedzieć, gdzie został zamordowany i dlaczego...

— Bo zabraliście się do tego w sposób urągający obowiązującemu prawu procesowemu — przerwał mu gwałtownie Lewicki. — W takich przypadkach należy działać szybko, energicznie, przy pomocy wszelkich dostępnych środków, a nie opieszale, ślamazarnie, tak jakby chodziło o kradzież gołębi, a nie o śmierć człowieka. I za to mam do was pretensje. Dlatego nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień. Zachowaliście się jak nowicjusze. Nie zawiadomiliście nawet nas o tym, co się stało. Na szczęście oględziny miejsca znalezienia zwłok udało wam się przeprowadzić w miarę dokładnie. Tylko dlatego nie ukarzę was! Możecie usiąść!

Wołczyński, pobladły ze złości, mruknął coś niewyraźnie i zajął swoje miejsce. Nie podjął dyskusji.

— Czy w sprawie morderstwa Kowalskiego ma ktoś z was coś do powiedzenia, czy faktycznie śledztwo utknęło w martwym punkcie? — dopytywał się Lewicki. Nadal był bardzo oficjalny, sztywny.

Kasperek odwrócił się na swoim krześle i spojrzał pytająco na siedzącego za nim Bernackiego. Ten jednak nieruchomo patrzył przed siebie. Nie zamierzał dzielić się zdobytymi wczoraj informacjami z Lewickim.

— No, słucham! — ponaglał major nerwowo mrugając powiekami. — Bernacki? Co ty na to?

Kapitan sięgnął po notatnik i wstał. Przez dłuższą chwilę

patrzył w okno myśląc, że Lewicki swoją oschłością i pokrzykiwaniem nie zaskarbi sobie raczej uznania u podwładnych, nie wzmocni swego autorytetu, przeciwnie, utraci go do reszty.

— Bardzo mi przykro — rzekł z niechęcią — ale nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie. Może tylko to, że błędy, jakie popełniono w pierwszych dniach śledztwa, są już, niestety, nie do naprawienia. Dlatego, moim zdaniem, powinniśmy pozostawić tę sprawę na razie własnemu losowi, a zająć się intensywnie morderstwem Hanki Kozickiej i Kazika Ostrowskiego. Przede wszystkim zaś musimy odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie: Czy morderca Kozickiej jest również mordercą Ostrowskiego? Jeśli tak, jest także zabójcą Pawła Kowalskiego — urwał na kilka sekund, przyglądził włosy. — Jeśli zaś nie uda nam się zebrać przekonujących dowodów na to — podjął z zapalem — każde śledztwo powinno być prowadzone przez oddzielne ekipy śledcze, które oczywiście będą ze sobą współpracowały, wymieniały informacje, konsultowały przedsięwzięcia itp., ale rozliczane będą z...

— Może powiesz mi jeszcze, skąd ja mam wziąć tylu ludzi!? — przerwał mu chłodno Lewicki.

Bernacki uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Myślę, że to żaden problem — rzekł. — Nie muszą to być przecież liczne grupy. Sądzę, że powinny składać się najwyżej z czterech funkcjonariuszy. Ale, jak już powiedziałem, nie jest to kwestia na tyle ważna, by poświęcać jej czas przeznaczony na odprawę — mówił patrząc badawczo na naczelnika.

Lewicki skrzywił się, złośliwie zmrużył oczy.

— Wiem o tym — warknął. — Skończyłeś?

Bernacki nie przestając się uśmiechać, przecząco pokręcił głową.

— Musimy też, i to jak najszybciej, znaleźć odpowiedź na jeszcze dwa dość ważne pytania — podjął spokojnie, nie zdeprymowany gwałtownym tonem naczelnika. — Dlaczego zostali zamordowani? Jaki jest motyw tych zbrodni? Wiadomo jest, że zabójcą Hanki Kozickiej nie jest seksualny dewiant; mordercy czy też morderca Ostrowskiego i Kowalskiego zabijając ich nie kierowali się chęcią zdobycia majątku. Dlaczego więc zginęli!? — urwał na moment. — Z zebranych dotychczas materiałów nic nie wynika. Możemy się tylko ewentualnie domyślać motywu, snuć przypuszczenia...

— Właśnie, co ty sądzisz na ten temat?! — zapytał Lewicki.

— Cóż — powiedział Bernacki wolno, z namysłem. — Wydaje mi się, że morderca mści się za doznane w przeszłości krzywdy czy upokorzenia, może pozbywa się świadków swoich przestępczych czynów...

— Zupełnie zapomniałeś o małżeństwie Grabowskich — znów przerwał mu major Lewicki, z nie ukrywanym zniecierpliwieniem. — Zostali tymczasowo aresztowani na podstawie dość solidnych dowodów, Grabowska przyznała się do zabójstwa Kozickiej. Czyżbyś nie wierzył w ich winę?!

— Tak, nie wierzę — odrzekł stanowczo Bernacki. — Wplątali się w tę sprawę, zachowując się jak dzieci...

— Z tego, co tu do tej pory powiedzieliście — major przeszedł na wy — wynika, że jesteście zwolennikiem tezy, iż mordercą wszystkich osób jest ten sam człowiek... Czy tak?

Bernacki skinął głową.

— A może macie jeszcze na to dowody!? — rzucił zjadliwie.

Kapitan zmieszał się i jakby zbladł nieco. Chwilę milczał, przestępując z nogi na nogę, wreszcie powiedział:

— Bo tak mi podpowiada moja intuicja.

Major zakołysał się na krześle.

— To trochę za mało! — rzekł uśmiechając się ironicznie.

— Od kilkunastu lat nie zawiodła mnie.

Lewicki z politowaniem popatrzył na inspektora.

— Metafizyka, kapitanie, czysta metafizyka — stwierdził. — W duchy także wierzycie?

Bernacki zacisnął usta, z trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć. Po krótkim namyśle postanowił nie darować jednak Lewickiemu jego pychy i zarozumiałstwa.

— Wierzę! — odparł grzecznie, z uśmiechem. — A jeśli chodzi o moją intuicję, to od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku ćwiczę ją intensywnie, prowadząc sprawy o zabójstwa, napady, przemierzając województwo wszerej i wzdłuż kilkaset razy w roku, gdy tymczasem pan, panie majorze, z reguły nie opuszcza swojego przytulnego gabinetu, wydaje polecenia często zupełnie oderwane od rzeczywistości i, prawdę powiedziawszy, nie widział pan jeszcze prawdziwego mordercy. — Urwał na chwilę, po czym nie zmieniając tonu zakończył: — Jeszcze dzisiaj dostarczę wam, obywatelu naczelniku, dowodów na to, że mamy do czynienia z jednym mordercą.

Na sali zapanowała złowroga, pełna napięcia cisza. Lewicki z zaczerwienioną ze złości twarzą z trudem zachował spokój i opanowanie. Rzucił Bernackiemu lodowate spojrzenie i kartkując akta śledztwa, rzekł poirytowanym tonem:

— Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. I to znacznie szybciej niż myślicie, ale już bez świadków...

Bernacki wzruszył ramionami. Minę miał zgorzkniałą, na ustach wymuszony uśmiech. Wiedział, że jego kilkunastoletnia służba w wydziale kryminalnym zbliża się do

końca. Takie same odczucia mieli jego koledzy uczestniczący w odprawie. Lewicki, jak szeptano w urzędzie, zamierzał odmłodzić wydział, pozbyć się tych, którzy należeli do najbliższych współpracowników pułkownika Gozdarowskiego.

— W każdej chwili jestem do dyspozycji! — powiedział pośpiesznie i usiadł.

Postanowił nie zabierać już więcej głosu. Zapanowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu gruchaniem gołębia, który przycupnął sobie na parapecie. Pierwszy odezwał się Lewicki. Mówił cicho, ledwie powstrzymując drżenie głosu:

— Niepowodzenia, jakich doznajemy od kilkunastu dni, sprawiają, że nie potrafimy utrzymać nerwów na wodzy. Postarajmy się jednak rozmawiać ze sobą w sposób rzeczowy i kulturalny. Być może moje zachowanie było nieco prowokujące, ale chciałem was rozruszać, zmusić do dyskusji — pomilczał chwilę — a przez to poznać was bliżej, jako że pracujemy razem po raz pierwszy. Przykro mi, że niektórzy z was nie zrozumieli moich intencji. No ale wracajmy do tematu narady. Kto chce zabrać głos?

Zgłosił się medyk sądowy Andrzej Strzałkowski. Jak zawsze w dobrym humorze, uśmiechnięty, pewny siebie.

— Źle się stało — zaczął wpatrując się w naczelnika — że dopiero teraz zabieram głos. Powinienem wystąpić przed Bernackim. Postawił on kilka bardzo ważnych pytań, na które, mam nadzieję, łatwiej będzie znaleźć odpowiedź po tym, co powiem. Otóż, niestety, ja i moi koledzy z zakładu medycyny sądowej popełniliśmy kilka poważnych błędów, przede wszystkim zaś podczas sekcji zwłok Hanki Kozickiej — umilkł na parę chwil, uniósł do góry prawą rękę, jakby chciał uciszyć narastający na sali szmer zaciekawienia, po czym tym samym spokojnym tonem kontynuował: —

Hanka Kozicka nie została zasztyletowana, lecz uduszona. Badania wycinkowe mięśni szyi wykazały, że krtań i tchawica zostały wręcz zdruzgotane. Mordercą tej kobiety musi być ktoś niezwykle silny. Noża użył już po jej zgonie. Sposób, w jaki zabójca obszedł się ze swoją ofiarą, świadczy o nienawiści do niej. Myślę, że te uwagi pomogą przy typowaniu sprawcy — zamyślił się przez chwilę. — To tyle — podjął z poprzednią werwą — jeśli chodzi o zabójstwo Hanka Kozickiej. Jeśli zaś idzie o morderstwo Ostrowskiego, to z określeniem przyczyn zgonu nie mieliśmy, na szczęście, żadnych problemów. Ktoś po prostu prawie odciął mu głowę, i to jednym, jedynym pociągnięciem noża. Wyobraźcie sobie siłę tego człowieka! Żaden z nas, mówię o lekarzach z zakładu medycyny sądowej, dotychczas nie zanotował w swojej praktyce takiego przypadku. Na temat przyczyn śmierci Pawła Kowalskiego nie mogę nic dodać. I to wszystko, co mam do powiedzenia, chyba że są pytania?! — zakończył rozglądając się po sali, jak gdyby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobiło na uczestnikach odprawy jego wynurzenie. — Słucham uprzejmie, postaram się wyjaśnić wszelkie wątpliwości — dorzucił po chwili i usiadł.

Kasperek znów odwrócił się i porozumiewawczo spojrzał na Bernackiego. Ten jednak wzruszył tylko nieznacznie ramionami. Pozostali również nie kwapili się do dyskusji. Przedłużająca się cisza zaniepokoiła Lewickiego.

— Czyżby nie było żadnych pytań? — zdziwił się. — Więc może macie jakieś uwagi, sugestie co do dalszych naszych działań, propozycje ewentualnych zatrzymań osób podejrzanych, przeszukań. Kasperek! Wydaje mi się, że chcesz coś powiedzieć!

Wywołany niechętnie podźwignął się z krzesła i odchrząknął. Minę miał, jakby nie rozumiał, czego od niego chcą.

— Już dawno nie uczestniczyłem w tak pouczającej odprawie — zaczął. — Słuchając wywodów kolegów nasunęło mi się kilka myśli, z którymi, jeśli naczelnik pozwoli, chciałbym się podzielić. Po pierwsze — przełknął ślinę — Grabowska na pewno nie zamordowała Kozickiej. Jest zbyt słaba fizycznie, nie dałaby rady skrócić karku kochance swojego męża, nawet jeśliby nienawiść do niej zwielokrotniła jej siły. Należy ją więc zwolnić z aresztu i to natychmiast. Mam również poważne wątpliwości co do winy jej męża. Widziałem jego ręce: delikatne, słabe. Nie, to na pewno nie oni — zamilkł na chwilę. — Reasumując, po blisko dwutygodniowym śledztwie znajdujemy się dokładnie w punkcie wyjściowym.

— Wczoraj twierdziłeś zupełnie co innego — przerwał mu Lewicki ze złością. — Szczególnie jeśli chodzi o Grabowskiego.

— Wczoraj nie znałem szczegółów sekcji zwłok — odparował Kasperek. — Wczoraj wydawało mi się także, że mamy do czynienia z trzema nie pozostającymi ze sobą w żadnym związku morderstwami, a teraz uważam, że kapitan Bernacki ma rację. Wszystkich trzech zabójstw dopuściła się jedna osoba.

— Jakie masz na to dowody?

Kasperek zachnął się.

— Na razie żadnych. Może tylko to, że... — zawahał się.

— No, no, śmiało, nie bój się — ponaglił major.

— Że zabójstw dokonuje nocą — dokończył z rozbijającym uśmiechem.

Lewicki także roześmiał się i lekceważąco machnął ręką.

— Dziecinne tłumaczenie — stwierdził. — Czy aby na pewno to miałeś na myśli? — zapytał po chwili podejrzliwie.

Kasperek z powagą pokiwał głową. Nie miał zamiaru

przyznawać się, iż myślał zupełnie o czymś innym, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że tą nocą skompromitował się niewąsko.

— Za tezę Bernackiego przemawia także metoda działania mordercy — podjął po krótkim namyśle. — Zachowuje się niezwykle brutalnie, bezwzględnie, jakby bał się, że postępując delikatniej, nie zabije, a tylko zrani swoją ofiarę...

— Karkołomne te twoje wywody — przerwał mu major i westchnął. — Ale chyba masz rację — dorzucił.

— Jeśli można, naczelniku, to jeszcze na jedną kwestię chciałbym zwrócić uwagę kolegów...

— Oczywiście, mów!

— Doktor Strzałkowski powiedział przed paroma minutami — Kasperek powoli cedził słowa — że śmierć Ostrowskiego nastąpiła w wyniku przecięcia tętnic szyjnych i wykrwawienia się...

— Zgon nastąpił prawie że natychmiast, w ciągu kilku sekund — wtrącił się lekarz. — O to ci może chodzi?

Kasperek przecząco pokręcił głową.

— Nie, chciałbym wiedzieć, czy na ubraniu mordercy znajdziemy krew denata...

— O tak! Wypływ krwi w przypadku przecięcia żyły szyjnej i tętnicy jest tak gwałtowny, że morderca zostaje cały spryskany krwią ofiary.

— Dziękuję, to chciałem wiedzieć. I nie powinniśmy o tym zapominać podczas przeszukań u osób podejrzanych, szczególnie o zabezpieczeniu do badań ich garderoby.

— Bardzo słusznie! — pochwalił go Lewicki. — Wszystko?

Kasperek potakująco skinął głową i usiadł. Zaraz jednak podniósł się, przecisnął się pomiędzy Maciejczakiem a Szubertem i skierował się w stronę Bernackiego.

— Dlaczego nie im nie powiedziałeś o Czyżyku? — zapytał szeptem, zajmując miejsce za plecami kolegi.

Bernacki wzruszył ramionami.

— Nie zasłużyli sobie na dobre wiadomości! — odrzekł cicho. Chciał jeszcze dodać, że nie wierzy w detektywistyczne zdolności Lewickiego, ale się pohamował.

— Mogłeś chociaż pochwalić się zeznaniami Kraczkiewicza — nie dawał za wygraną Kasperek.

Bernacki odwrócił się i spojrzał ze zdziwieniem na porucznika.

— Przecież to nie nasza zasługa. Nie zwykłem przywłaszczać sobie sukcesów innych — odparł z wyrzutem.

Dalszą wymianę zdań przerwał Lewicki. Spojrzał lodowato na Bernackiego, zabębnił palcami o blat stołu.

— Proszę o spokój! — mruknął. — Trzeba było mówić, gdy was o to prosiłem. Chyba że przypomniałście sobie o czymś, co ma istotne znaczenie dla śledztwa... — popatrzył wyczekująco na Bernackiego, następnie na Kasperka. — Widzę jednak, że nie macie się czym pochwalić! Zatem pozwólcie, że ustosunkuję się do waszych wywodów — urwał i zapatrzył się w okno. Nad miasto napływała właśnie kolejna, niska i czarna chmura. W sali raptownie zrobiło się ciemno, ponuro. — Zapalcie światło! — zwrócił się do siedzącego najbliżej kontaktu Maciejczaka.

Maciejczak uniósł się lekko, wyciągnął rękę i włączył kontakt.

— Dziękuję! — major odsunął akta na brzeg stołu, otworzył notatnik i przez dłuższą chwilę milczał. — Najbardziej interesujące — podjął — tylko szkoda, że znów spóźnione, są informacje przekazane nam przez doktora Strzałkowskiego. Mają przede wszystkim spore praktyczne znaczenie. Dzięki nim wiemy, że morcercą jest mężczyzna o niepospolitej sile fizycznej, zdecydowany, pewny siebie...

— Raczej zdesperowany — wyrwał się Bernacki.

Lewicki wyprostował się na krześle, prawą ręką przygładził włosy.

— Być może — przyznał mu rację. — Nie ulega też wątpliwości, że zabija planowo, z sobie tylko, niestety, znanych powodów. Przypuszczalnie w przeszłości utrzymywał ze swoimi ofiarami dość bliskie kontakty.

— Raczej z niektórymi tylko — znów wyrwał się Bernacki, zadowolony, że naczelnik przyjął jego punkt widzenia na sprawę. — Mamy sporządzoną listę osób — znajomych i przyjaciół Kozickiej. Bo chyba od nich trzeba zacząć...

— Nazywaj rzeczy po imieniu — zdenerwował się Kasperek. — Wykaz kochanków Kozickiej zawiera kilkanaście nazwisk. Część z nich wyeliminowaliśmy już, niektórzy nie chcą się przyznać do utrzymywania z nią intymnych stosunków, inni wyjechali na stałe z miasta...

— Trzeba koniecznie ustalić ich adresy — przerwał mu Lewicki. — Żaden z nich nie może zostać pominięty.

— Tak jest!

Na kilka sekund zapanowała cisza. Major przewracał kartki notatnika. Rozmyślał. Fatalny nastrój, w jakim znajdował się od rana, nie opuszczał go. Odprawa zamiast poprawić mu samopoczucie, spowodowała odwrotny skutek. Rozczarowały go wystąpienia inspektorów, przerażało widmo porażki. Wreszcie przemówił głośno poirytowanym tonem:

— Nasza sytuacja jest bardzo zła. Drepczemy wciąż w tym samym miejscu. Przesłuchujemy świadków, przeprowadzamy przeszukania u podejrzanych, doprowadziliśmy nawet do aresztowania dwóch osób, co do których istnieją bardzo poważne poszlaki, że są zamieszane w całą tę serię morderstw. I co z tego? Pytam się was, co nam to wszystko

dało? Bo z tego, co tu sobie powiedzieliśmy, wynika, że Grabowską należy jak najszybciej zwolnić z aresztu, jej męża zresztą także — przerwał na chwilę, odetchnął głęboko i tym samym tonem ciągnął dalej: — Myślałem, że proponując uchylenie aresztu wobec Grabowskich, wskazać jednocześnie kogoś, kto zająłby ich miejsce. Niestety, tak się nie stało. A dlaczego? Bo prowadzicie śledztwo jednokierunkowo, bez rozmachu. Wykonujecie czynności rutynowo. Jest to robota dla roboty! — wykrzykiwał wymachując rękami. — Skoro jednak jest, jak jest, należy zrobić wszystko, ażeby śledztwo nabrało właściwego tempa. Po pierwsze, trzeba je uporządkować, skierować na właściwe tory. W związku z tym polecam — wyszedł zza stołu, stanął obok Maciejczaka i położył mu rękę na ramieniu — natychmiast sporządzisz nakaz zwolnienia z aresztu Zuzanny Grabowskiej, pójdziesz z tym do prokuratora, uzyskasz jego zgodę, po czym zawieziesz ją do B., przeprosisz, a następnie zajmiesz się sprawdzaniem alibi Grabowskiego, jego powiązań z Ostrowskim, przesłuchasz jeszcze raz jego sąsiadów, przeszukasz zakład. Jeśli dojdiesz do wniosku, że jest niewinny, wniosek powinien być oczywiście poparty dowodami, postąpisz tak jak w przypadku jego żony, czyli zwolnisz go z aresztu. Przepraszać nie musisz, zasłużył sobie na te trzy noce. Myślę też, że pobyt w areszcie przyda mu się w jego praktyce adwokackiej. Wykonasz to wszystko do godziny piętnastej. Zrozumieliśmy się? — zapytał i poklepał Maciejczaka po plecach.

Ten wzruszył bezradnie ramionami i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Trochę dużo tego — mruknął nieśmiało. — Nie wiem, czy zdążę...

— Musisz! Nie chcesz chyba, aby mecenas spędził jeszcze jedną noc w areszcie — przerwał mu Lewicki i znów

na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech. — Ktoś mi mówił, że bardzo dobrze się znacie...

— A cóż w tym dziwnego! — burknął Maciejczak, przyglądając się chłodno majorowi. — Od ponad piętnastu lat spotykamy się przed sądem. Ja w charakterze świadka, on zaś stara się przekonać sędziów, że zebrane przeze mnie dowody winy jego klienta są delikatnie mówiąc...

— To już wasza sprawa — nie dał mu skończyć naczelnik. — Interesuje mnie bardziej, co zamierzacie robić po godzinie piętnastej — przeszedł na wy. — Więc?!

Maciejczak przygryzł wargi. Przemknęło mu przez myśl, że Lewicki nie jest przygotowany do prowadzenia odprawy, nie zna materiałów śledztwa i nie bardzo wie, jakie zadania przydzielić poszczególnym inspektorom. Uśmiechając się rozbrajająco powiedział:

— Będę nadal poszukiwał mordercy.

Lewicki popatrzył z politowaniem pomieszanym ze złością na dochodzeniowca. Wiedział, że ten usiłuje zakpić sobie z niego.

— Byle z lepszym skutkiem niż dotychczas! — syknął zimno i wrócił na poprzednie miejsce. Chwilę milczał, wpatrując się w wiszącą na ścianie mapę województwa, wreszcie, aby rozładować gęstniejącą z każdą minutą atmosferę, rzekł: — Przestańmy sobie dokuczać! Wiem, że bez was, waszej pracy — zająknął się — że sam nie zdołam wykryć sprawcy, chociażbym nic innego nie robił przez cały miesiąc. Sukces możemy osiągnąć tylko wspólnym wysiłkiem. Dlatego proszę was — urwał na kilka chwil — niczego nie ukrywajcie przede mną, razem planujemy przedsięwzięcia. Zgoda? — zakończył pojednawczo, obserwując uważnie siedzących przed nim ze spuszczonymi głowami inspektorów. Zawsze zazdrościł swojemu poprzednikowi, pułkownikowi Gozdarowskiemu, umiejętności na-

wiązywania serdecznych, prawie że koleżeńskich stosunków z podwładnymi. Muszę się tego koniecznie nauczyć — myślał zatrzymując wzrok na siedzącym obok niego smutnym i zamyślonym majorze Rybińskim. Potem przeniósł wzrok na kapitana Szuberta, ale ten także nie zdradzał ochoty do zabrania głosu. Przewracał kartki w notatniku z miną, jakby nic nie rozumiał. Zastanawiał, się, w jakim celu został zaproszony na tę odprawę, jako że wszystko, co miał do powiedzenia, przekazał bezpośrednio Lewickiemu wczoraj wieczorem. Zresztą wyniki jego badań nie na wiele, jak dotychczas, się zdały.

Milczenie przeciągało się. Wyglądało na to, że już nic więcej nie mają sobie do powiedzenia. Siedzieli apatyczni, pogrążeni we własnych myślach. Atmosfera wytworzona przez Lewickiego odebrała im chęć do dyskusji. Wreszcie ponownie wstał kapitan Wołczyński. Westchnął głęboko i powstrzymując drżenie głosu, rzekł:

— Mam nadzieję, że tym razem uda mi się wypowiedzieć do końca swoją kwestię — zatrzymał spojrzenie na Lewickim i widząc, że ten lekko się zmieszał, kontynuował, ale już pewnym głosem: — Nie jestem obrażalski, zależy mi przede wszystkim na szybkim wykryciu sprawcy morderstw, chociażby dlatego, że zdarzyły się na podległym mi terenie. Dlatego chcę was poinformować o bardzo ważnym ustaleniu, którego dokonali moi ludzie. Dzisiejszej nocy poddaliśmy obserwacji dom Iwony Kowalskiej. I jak mnie poinformował sierżant Gajewski, jeden z uczestników, nazwijmy to, zasadzki, około północy, a dokładnie o wpół do pierwszej, przed domem Kowalskiej zatrzymał się samochód osobowy marki Łada, koloru czerwonego, o numerze rejestracyjnym LUD zero pięćset czterdzieści pięć. Za kierownicą siedział mężczyzna około czterdziestki. Poza nim nikogo w samochodzie nie było. Kierowca nie zdecydował się jednak

opuścić pojazdu. Po dwudziestu minutach nie zapalając świateł odjechał w stronę drogi prowadzącej do L. Moi ludzie zabezpieczyli ślady opon, dokonali też pomiaru rozstawu kół pojazdu — przerwał na moment, odwrócił się i spojrzał na Bernackiego, który od początku narady unikał jego wzroku. Tym razem jednak Bernacki nie zrejterował. Przez chwilę patrzyli porozumiewawczo na siebie. — W tej chwili — podjął wracając do poprzedniej pozycji — Gajewski pewnie już wie, do kogo należy ta czerwona łada i czy jest to ten sam samochód, który poprzedniej nocy stał przed domem Ostrowskiego... — przerwał, gdyż po sali odpraw przetoczył się szmer zaciekawienia.

— Dlaczego ja nic nie wiem o tym samochodzie?! — zapytał surowo major Lewicki. — Czułem, że coś przede mną ukrywacie...

Wołczyński uśmiechnął się cierpko.

— Nie moim zadaniem jest informowanie naczelnika o postępach w śledztwie — powiedział beznamietnym głosem. — Ważne jest to, że wiemy o tym samochodzie, że udało nam się znaleźć świadka, który zapamiętał wiele szczegółów i że chce zeznawać...

— Kim jest ten człowiek? — zapytał z urażoną miną Lewicki.

— Nazywa się Kraczkiewicz. Jest sąsiadem Ostrowskiego...

— Trzeba jak najszybciej skonfrontować jego zeznania z obserwacjami poczynionymi przez twoich milicjantów. Coś mi się wydaje, że chyba trafiliśmy na właściwą ścieżkę — ekscytował się naczelnik. — Ten człowiek z łady musi mieć jakiś związek z morderstwami, zachowuje się bardzo dziwnie, rzekłbym, podejrzanie. A właściwie dlaczego kazaliście obserwować mieszkanie Kowalskiej? — zainteresował się nagle.

— Bo wczoraj rozmawiając z nią nabraliśmy przekonania, że jest niewinna i że grozi jej niebezpieczeństwo — pospieszył z wyjaśnieniem Bernacki, z trudem powstrzymując śmiech. Rozbawiła go reakcja Lewickiego. — Jesteśmy z nią umówieni w komisariacie o dziesiątej. Trzeba ją jeszcze raz dokładnie przesłuchać. Sądzę, że nie powiedziała nam wszystkiego...

— Spotkałeś kiedy w swoim zawodowym życiu świadka, który powiedział wszystko i tylko prawdę? — przerwał mu Maciejczak. — Przesłuchałbym ją, ale major obarczył mnie innymi zadaniami.

— I nie zmieniam ich! — oświadczył Lewicki. — Przesłuchaniem Kowalskiej zajmie się Bernacki. Wyjaśniać też będzie wszystkie kwestie związane z morderstwem jej męża. To najbardziej zagadkowa śmierć, nie znamy żadnych okoliczności, w jakich zginął, nie wiemy gdzie. Przyłóż się solidnie — poprosił.

Bernacki skrzywił się i zmrużył swoje niebieskie oczy.

— Zawsze pracuję solidnie — powiedział robiąc urażoną minę.

— Wiem o tym! — odrzekł polubownie naczelnik. — Wróćmy jeszcze na chwilę do tych informacji związanych z ładą. Numer rejestracyjny wskazuje, że właścicielem jest mieszkaniec naszego miasta, a nie B.

— Tak.

— Myślę, że powinniśmy go zatrzymać i zapytać, co robił o północy w B.

— Tylko nie to! — poderwał się Kasperek. — Już raz ten sam błąd popełniliśmy w tej sprawie. Bez przygotowania przystąpiliśmy do przesłuchania mecenasa Grabowskiego. Co z tego wynikło, wiemy! Najpierw należy przyjrzeć się człowiekowi, dokładnie go prześwietlić, poznać kontakty. Mam rację? — błagalnym wzrokiem spojrzał na Bernackiego.

— Oczywiście! — poparł go bez wahania Bernacki. — Jeśli jest zamieszany w morderstwa, zdążył sobie przygotować takie alibi, że choćbyśmy nie wiem co zrobili, nie uda się nam go obalić. Dlatego musimy działać ostrożnie, przesłuchanie poprzedzić dokładnym rozpoznaniem, po prostu przygotować się do niego.

— Przekonaliście mnie — oświadczył Lewicki. — Tak będziemy działać! — zamyślił się na moment. — A może w sprawie zabójstwa Hanki Kozickiej — podjął z poprzednim ożywieniem — macie bardziej pocieszające wiadomości?! Także nie? — udał zdziwienie rozglądając się po obecnych.

— Niestety! — pospieszył z odpowiedzią Bernacki, bojąc się, że Kasperek nie wytrzyma i pochwali się zeznaniami Czyżyka. Nadal pragnął zatrzymać je dla siebie. Obawiał się, że naczelnik zbyt nerwowo zareaguje na bądź co bądź rewelacyjne stwierdzenia krawca. — Potwierdziliśmy jedynie, że Kowalska była prawdopodobnie jedną z ostatnich osób, która rozmawiała z Hanką. Przyznała się wreszcie, że Kozicka telefonowała do niej...

— A czy powiedziała, o czym rozmawiała? — zapytał drapiąc się po głowie Lewicki. — Przypuszczam, że — zawahał się — porządnie nawymyślały sobie...

— O tak! — burknął Kasperek — nareszcie powiedziały, co naprawdę o sobie myślały.

Lewicki uśmiechnął się krzywo.

— Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej — rzekł. — Zajmiesz się wyjaśnieniem okoliczności zabójstwa Kozickiej — dorzucił po chwili, patrząc na porucznika.

— No tak! — zachnął się Kasperek. — Wszystko, co najgorsze, najbardziej skomplikowane, zawsze przypada mnie. Za pułkownika Gozdarowskiego także tak było — pożałił się.

— Powinieneś się cieszyć, że mam do ciebie zaufanie — stwierdził major.

Bernacki zaś położył mu rękę na ramieniu i zajrzał w oczy.

— Nie rozczulaj się nad sobą — powiedział. — Pomyśl raczej, w jaki sposób zmusić tę śliczną Iwonkę, aby wreszcie wyznała nam wszystko, co wie lub tylko czego się domyśla...

— To wy już definitywnie wykreśliliście ją z listy osób podejrzanych? — nie dał mu skończyć kapitan Wołczyński. — Czy nie nazbyt pochopnie? — przeniósł wzrok na Kasperka. — Jest to sprytna, doświadczona, mądra i rozważna kobieta. Z tego, co wiem od moich ludzi i z własnych obserwacji — podkreślił — stać ją na wiele. Złego oczywiście!

— Wiemy, wiemy! — uspokoił go Bernacki. — Nie bój się, będziemy ostrożni, nie damy wpuścić się w przysłowio-we maliny — dodał otwierając okno. Do sali wpadło chłodne i mokre jesienne powietrze. Bernacki wyprostował się, odetchnął głęboko. — Powinniśmy już chyba przerwać tę dyskusję, do niczego nas nie zaprowadzi, najwyżej nabawimy się kompleksów, bo dojdziemy do wniosku, że czas mija, a my wciąż drepczemy w miejscu.

— I co najgorsze, jest to prawda! — po raz pierwszy odezwał się major Rybiński. — Wysłuchałem uważnie waszych wypowiedzi i muszę stwierdzić, że nie napawają mnie one optymizmem — urwał na chwilę, obciągnął klapy marynarki i odchrząknął. — Zabrakło mi w nich przede wszystkim koncepcji wyjścia z impasu, w jakim się niestety znajdujemy. Ograniczyliście się do przypomnienia znanych nam informacji. Międlimy je od paru dni, zamiast zastanowić się, jak przechrzyć mordercę, zmusić go do działania, działania, które oczywiście powinniśmy przewidzieć. Musi-

my przewidzieć — poprawił się. — Długo zastanawiałem się, dlaczego idzie nam jak po grudzie. I znalazłem przyczynę. Otóż wykonujecie swoje zadania bez jakiegokolwiek planu, żywiolowo, każdy na swoją rękę, często nie informując się wzajemnie o uzyskiwanych informacjach. To jest niedopuszczalne, to się musi zmienić. Najwięcej pretensji mam do was, kapitanie Bernacki. Powinniście pokierować młodszymi, mniej doświadczonymi kolegami — przerwał patrząc na Bernackiego, który, zaskoczony niespodziewanym atakiem, spoglądał w okno, z trudem zachowując zimną krew. — Na pewno zgodzicie się ze mną, że pracując tak dalej, długo nie natrafimy na ślad przestępcy. Dlatego jeszcze dzisiaj musicie opracować plan przedsięwzięć operacyjnych i dochodzeniowych i wieczorem przedłożyć mi go do zatwierdzenia. Wiecie chyba, co ma być ujęte w tym planie? — ponownie zatrzymał spojrzenie na Bernackim.

Przez długą chwilę panowała cisza. Atmosfera znów stała się ciężka. Oficerowie wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Nie spodziewali się ataku ze strony Rybińskiego, do niedawna kolegi, a przełożonego dopiero od dwóch tygodni.

— Może wy, kapitanie Bernacki, wypowiecie się na ten temat — podjął major Rybiński widząc, że nikt z obecnych nie ma zamiaru poprosić o głos.

Bernacki wstał. Chwilę milczał patrząc w podłogę. Wreszcie podniósł głowę, spojrzał hardo na zastępcę i powiedział:

— Nie mam sobie nic do zarzucenia. Pracuję na sto procent swoich możliwości. A że na razie nie mamy się czym pochwalić, to raczej nie moja i moich kolegów wina, lecz naszych przełożonych. Z braku czasu — spojrzał na zegarek — nie będę udowadniał mojej tezy. To wszystko, co mam do powiedzenia — zakończył patrząc lekceważąco na Rybińskiego.

Major poruszył się gwałtownie. Z jego twarzy zniknęła czujna uprzejmość, a pojawiła się złość.

— To niesłychane! — wrzasnął. — Te insynuacje musicie odwołać, i to zaraz, natychmiast! — pokrzykiwał.

— Spokojnie, nie denerwuj się — niespodziewanie, ku zaskoczeniu zebranych, w roli mediatora wystąpił Lewicki. Podźwignął się z krzesła i podszedł do swojego zastępcy. — Nie rozumiem przyczyn tej awantury. Obaj doszliście do tego samego wniosku, proponujecie te same metody wyjścia z impasu. Ja zresztą nie uważam, że znajdujemy się w dołku. Coś tam przecież wiemy o sprawcy. Myślę też, że wkrótce go poznamy. Mam rację? — spojrzał przyjaźnie na Bernackiego i wrócił na swoje krzesło.

Bernacki długo nie odpowiadał. Wciąż stał z zaciśniętymi ustami, zasepiony. Wiedział, że major Rybiński nie darzy go sympatią, nie przypuszczał jednak, że postawi pod znakiem zapytania, i to publicznie, jego fachowość, zaangażowanie, że odważy się go zdyskredytować w oczach kolegów.

— Tak! — odrzekł krótko i usiadł, starając się nie myśleć o incydencie. Bezskutecznie jednak. Było mu przykro, że został potraktowany jak nowicjusz.

— Major jak zwykle przesadza! — ujął się za kolegą Kasperek. — Śledztwo właściwie dobiega do końca. Trafne wytypowanie przestępcy — oto, co w zasadzie zostało nam do roboty — zakończył obojętnie, z uśmiechem.

Rybiński roześmiał się. Krótko, ironicznie.

— Tak, zgadzam się! — rzekł. Głos jego brzmiał sucho, matowo. — Tylko że ja mam poważne wątpliwości, czy stać was na to, jeśli przez dwa tygodnie nie zdołaliście rozpoznać nawet miejscowego środowiska przestępczego. Ja wiem, że mordercy raczej należy szukać poza nim, ale żeby mieć stuprocentową pewność, musimy to zrobić. A zajmie się

tym — zawiesił na chwilę głos — kapitan Wołczyński. Mam nadzieję, że nie zapomnieliście, jak to się robi — zakończył zgryźliwie.

— Nie zapomniałem! — odparł spokojnie Wołczyński. — Jeśli zaś chodzi o środowisko przestępcze, to w B. nie ma takowego. Mieszka u nas paru włamywaczy, kilku złodziei, trzech młodzieńców karanych w przeszłości za dokonanie rozboju, jeden gwałcieciel. Wszyscy są na bieżąco kontrolowani przez moich ludzi. Absolutnie wykluczam udział któregoś z nich w tych morderstwach.

— Wobec tego pomagać będziecie porucznikowi Kasperkowi.

— Tak jest!

— Mam jeszcze zadanie dla kapitana Szuberta. Słuchacie mnie? — zapytał Rybiński patrząc na pogrążonego w myślach eksperta.

Szubert skinął trzy razy głową i mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

— Pojedźcie do B. i na miejscu przeprowadzicie badania porównawcze śladów pozostawionych przez pojazd, o którym mówił Wołczyński. Być może Gajewskiemu udało się znaleźć samochód, zaobserwowany w nocy przed domem Kowalskiej. W takim przypadku przeprowadzicie dokładne oględziny tej łady, zabezpieczycie ślady.

Szubert w odpowiedzi znów pokiwał głową, potem rzucił na Rybińskiego jedno z tych swoich przeciągłych spojrzeń i wstał.

— Pójdę przygotować się do wyjazdu — rzekł. — Za piętnaście minut spotykamy się przed gmachem — dorzucił patrząc na Bernackiego i wyszedł z sali odpraw.

Rybiński przez długą chwilę milczał z miną, jakby stracił wątek.

— Kto zajmie się właścicielem łady? — zapytał w końcu.

Bernacki podniósł do góry prawą rękę.

— Ja — powiedział w zadumie i spojrzał na majora Lewickiego tak, jakby obawiał się, że naczelnik wyznaczy do tego zadania kogoś innego.

Lewicki porozumiał się wzrokiem ze swoim zastępcą, następnie bawiąc się długopisem, rzekł:

— Zgadzam się! Nie ważcie się jednak przystępować do tej roboty bez przygotowania! — przestrzegł. — Najpierw należy go dokładnie sprawdzić, poznać słabe punkty, kontakty, zainteresowania itp., itd.

— Oczywiście! Mówiliśmy już o tym — przypomniał Bernacki, patrząc na majora i lekko się uśmiechnął.

Naczelnik zmarszczył brwi i siląc się na obojętny ton, powiedział:

— Pamiętam. Sklerozy jeszcze nie mam, nie obawiajcie się.

Bernacki wzruszył ramionami.

— A dlaczego niby ja miałbym się obawiać!

— Fakt — odparł major i lekko się zaczerwienił. — Chciałem po prostu podkreślić, jakie ogromne znaczenie przywiązuję do przesłuchania tego człowieka. Nie możemy zawalić tej sprawy!

— Wiem! Wiem też jednak, że nie ma bezbłędnie prowadzonego śledztwa.

— Nie asekurujcie się!

— Ale nie ma też doskonałego przestępstwa — wtrącił się Kasperek. — A to oznacza, że błędy popełniają nie tylko milicjanci, ale także przestępcy. Nawet ci, którym się wydaje, że doskonale zaplanowali i zrealizowali napad, włamanie czy morderstwo. Nasz morderca również zrobił błąd, szkopał w tym, że jak dotychczas nie udaje się nam go wykryć.

— Otóż to! — zauważył złośliwie mrużąc oczy Rybiński.

— Pocieszające w tym wszystkim jest jednak to, że my swoje błędy możemy naprawić. Morderca już nie — stwierdził rzeczowo Bernacki.

— Masz rację! — poparł go Kasperek. — Naszą szansę upatruję w tym, że zabójca zacznie naprawiać błędy. A wtedy popełni nowe...

— W porządku! Wystarczy tych nic nie wnoszących do sprawy dywagacji — przerwał mu ze zniecierpliwieniem Lewicki. — Skupmy się jeszcze przez chwilę na następującej kwestii. Chodzi mi o to, czy definitywnie eliminujemy z kręgu podejrzanych Grabowskiego, czy też nadal interesujemy się nim, obserwujemy go dyskretnie, jednym słowem: inwigilujemy go czy nie?!

Wszyscy byli za pozostawieniem mecenasa na liście osób podejrzanych, a kapitan Wołczyński miał być odpowiedzialny za zorganizowanie operacyjnej kontroli delikwenta.

Odprawa powoli zbliżała się do końca. O godzinie dziewiątej trzydzięci major Lewicki położył akta śledztwa przed Bernackim i uśmiechając się przepraszająco, powiedział:

— Dzisiaj jeszcze ty kierujesz grupą operacyjną. Wieczorem, powiedzmy o siedemnastej, poinformujesz mnie o realizacji zaplanowanych tu działań. Życzę powodzenia!

Bernacki bez słowa wrzucił akta do teczki i wstał. Podnieśli się także pozostali uczestnicy odprawy, zadowoleni, że wreszcie dobiegła kresu. Mieli dość Lewickiego i jego zastępcy, ich pokrzykiwań, nieuzasadnionych pretensji, pouczeń. Pragnęli jak najszybciej znaleźć się w B. i przystąpić do przesłuchań, rozmów i wywiadów.

— Proszę jeszcze o chwilę uwagi! — zatrzymał ich na miejscu głos majora. — Zapomniałem wam powiedzieć, że kontrolerów z komendy głównej zawiozę do B. dopiero jutro. Dzisiaj zapoznam ich z sytuacją i z naszymi planami.

Dobrze byłoby wykryć mordercę bez ich udziału. Wiecie, co mam na myśli!? — przerwał na chwilę, zamrugał oczami. — Proszę też, więcej, apeluję! o maksymalne zaangażowanie. Postarajcie się jak najszybciej dopaść zabójcę. Nie mówiłem wam, ale sami zapewne zdajecie sobie sprawę z tego, że w miasteczku narasta strach, kobiety boją się jeździć do pracy, plotka o grasującym w B. wampirze dotarła już do L., a liczba ofiar urosła do siedmiu. Dlatego jeszcze raz proszę was, złapcie go — zakończył prawie że błagalnym tonem.

— Nie ma powodu wpadać w panikę! — stwierdził z dziarską miną Kasperek. — Wiadomo, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby nastąpiło to jak najprędzej. Być może jeszcze dzisiaj... — nie dokończył, gdyż w sali rozległ się pomruk niezadowolenia.

— Oducz się wreszcie składać deklaracje bez pokrycia! — zganił go Bernacki. — Wtedy i rozczarowania nie będą takie przykre.

Lewicki obrzucił go szybkim, byстрыm spojrzeniem pełnym jednak niechęci, a może nawet nienawiści. Przypomniał sobie zdarzenie sprzed kilku lat, kiedy to Bernacki w rozmowie telefonicznej pozwolił sobie zakpić z niego. Od tej pory zaczął traktować go z góry, lekceważąco.

— Święta prawda! — rzekł. — Kapitan Bernacki wie o tym doskonale — dorzucił zjadliwie, odwrócił się i opuścił pokój. Krokiem szybkim i energicznym.

Godzinę później w gabinecie kierownika komisariatu w B. odbyła się jeszcze jedna narada. Trwała jednak krótko, zaledwie dziesięć minut. Zwołał ją Bernacki w celu zapoznania wszystkich zaangażowanych w prowadzenie śledztwa funkcjonariuszy z ustaleniami poczynionymi przez sierżanta Gajewskiego. Najpierw jednak ulokował kapitana Szuberta

w pracowni fotograficznej, kazał dostarczyć mu odlewy gipsowe śladów opon pozostawionych przez tajemnicze samochody i zobowiązał go do błyskawicznego opracowania ekspertyzy.

— Będiesz ją miał za trzy kwadranse! — oświadczył Szubert, grzebiąc w walizce śledczej w poszukiwaniu odpowiednich narzędzi pomiarowych.

Bernacki poklepał przyjaciela po plecach i opuścił pracownię. Na korytarzu natknął się na Iwonę Kowalską.

— Jak długo mam jeszcze czekać na to przesłuchanie?! — zapytała pełnym pretensji głosem. — Nie mam czasu na przesiadywanie w komisariacie.

Bernacki uśmiechnął się i najuprzejmiej jak umiał, powiedział:

— Jeszcze tylko dziesięć minut. Za to już teraz mogę pani obiecać, że nie będę długo pani męczyć. Najwyżej pół godziny.

Kowalska kiwnęła głową, obdarzyła go krótkim, bladym uśmiechem i poszła do poczekalni dla interesantów. Bernacki spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta.

— O rany! — jęknął, złapał się za głowę i pobiegł wąskimi, dość sfatygowanymi schodami na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet kierownika Wołczyńskiego.

— Referuj! — krzyknął z progu i wskazał palcem na sierżanta Gajewskiego, siedzącego przy biurku obok swojego przełożonego. — Tylko zrób to błyskawicznie i bez zbędnych komentarzy.

Gajewski w milicji pracował dwadzieścia pięć lat. Umiał wszystko, co potrzebne w milicyjnym fachu: śledzić, przesłuchiwać, prowadzić oględziny, nie bał się interweniować nawet wtedy, gdy spitych chuliganów było dziesięciu, a on sam.

— Postaram się! — zaczął pewnym, donośnym głosem.

sem. — Otóż w L. nie ma i nigdy nie było samochodu osobowego marki Łada o numerze rejestracyjnym LUD zero pięćset czterdzieści pięć. Przed pięciu laty pod tym numerem zarejestrowana była syrenka. Właścicielem jej był niejaki Tadeusz Hawryluk. Niestety, już nie żyje. Wpakał się na drzewo po pijanemu. Żona wyrejestrowała pojazd, oddała do wydziału komunikacji tablice rejestracyjne. Tak przynajmniej twierdzi kierownik tegoż wydziału. To wszystko! — spojrzał ze smutkiem na Bernackiego, jakby to była jego wina, że informacja, na którą wszyscy liczyli, że posunie sprawę naprzód, okazała się niewiele warta. — Z żoną Hawryluka jeszcze nie rozmawiałem. Zastanawiam się, czy warto.

Bernacki potarł dłonią czoło.

— Oczywiście! I to szybko! Myślę, że nawet przeszukanie pomieszczeń byłoby uzasadnione. A w ogóle to nazwisko wydaje mi się jakieś znajome. — Bernacki zamyślił się. — Czy to może ten ze sprawy Leona Tyszkowskiego?

— Tak jest, obywatelu kapitanie, ten sam — pośpieszył z odpowiedzią Gajewski. — Siedział tylko dwa lata. Ożenił się w B., ale niestety nie przestał pić, no i doigrał się...

Bernacki podszedł do Gajewskiego i położył mu rękę na ramieniu.

— Stare dzieje! — rzekł posępnie. — Z perspektywy czasu wydaje mi się, że było to wręcz przykładowo przeprowadzone śledztwo. — Szkoda, że Szczęch „poszedł w naczelniki”, przydałby się tutaj — rozmarzył się. — No ale wracajmy na ziemię. Kto ma listę kochanków Kozickiej? — zapytał i usiadł.

— Ja — poinformował spokojnie Wołczyński. — Potrzebna ci?

— I to natychmiast!

Wołczyński otworzył żelazną szafę i wydobyl z niej

arkusz papieru, zapisany od góry do dołu nazwiskami wielbicieli Hanki. Bernacki wprost wyszarpnął mu ją z ręki.

— Przyjrzę się jej dokładnie — powiedział. — A wy — popatrzyl po zebranych — do roboty! O ciekawszych ustaleniach meldować mnie albo kapitanowi Wołczyńskiemu. Zadania postawione przed nami przez naczelnika musimy zrealizować w stu procentach i to tak, aby nie mógł nam niczego zarzucić. Chyba się zrozumieliśmy?! — zakończył podniesionym tonem.

Rozległo się chóralne tak, po czym wszyscy pospiesznie opuścili gabinet kierownika. Bernacki przysunął się z krzesłem do biurka, ujął w dłonie głowę i zagłębił się w lekturze listy. Trwało to prawie dziesięć minut. Potem jeszcze przez parę minut siedział nieruchomo, wpatrzony w rozkołysany za oknem potężny wąż. O jedenastej dwadzieścia podniósł słuchawkę telefonu, a gdy zgłosiła się telefonistka centrali WUSW w L., poprosił o połączenie z majorem Szczęchem.

— Szczęch. Słucham! — rozległ się po chwili w słuchawce głos przyjaciela.

— Bernacki. Cześć!

— O! Co za niespodzianka?! Czym mogę służyć?

— O tym później. Najpierw chciałbym cię zapytać, co w twoim obecnym życiu z wszystkich rzeczą główną jest — powiedział parafrazując znany wiersz Lechonia. — Praca, miłość, literatura? A może rodzina, działka...

— Prawie zgadłeś — przerwał mu Szczęch. — Na pierwszym miejscu powinieneś jednak postawić miłość.

— A więc, na szczęście, nie zmieniłeś się...

— Ty za to jakbyś stał się bardziej liryczny — wpadł mu w słowo Szczęch. — Czyżbyś zaczął czytywać poezję? A może masz po prostu chandrę?

— Nie zgadłeś!

— Nawet nie mam zamiaru. Mam nadzieję, że powiesz, czego chcesz bez owijania w bawełnę. Jestem nadal twoim kumplem!

— Wiem!

— Więc wal prosto z mostu.

Bernacki przełożył słuchawkę do lewej dłoni. Przez chwilę wahał się. Zawsze kierował się zasadą, żeby nikogo, nawet najserdeczniejszego przyjaciela o nic nie prosić, zdobywać szacunek u przełożonych i kolegów własną pracą, awanse i nagrody zawdzięczać sobie, a nie przynależności do mającej układy grupy albo lizusostwu i bezmyślnemu przytakiwaniu.

— Chciałbym wiedzieć, czy przyjmiesz mnie do swojego wydziału — powiedział wreszcie, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

— Pokłóciłeś się z Lewickim?

— Nieważne! Odpowiedz na pytanie!

— Przepraszam cię! Oczywiście że cię przyjmę, nawet od jutra.

— Więc proszę cię, załatw to. Pierwszego października listę obecności chciałbym już podpisać w twoim wydziale. Myślę, że zdążę się uporać z tymi morderstwami...

— Na pewno! — rzekł z przekonaniem Szczęch. — Masz już jakieś wyjście? — zapytał po chwili.

— Niestety, nadal znajdujemy się w impasie. Pozostało mi już tylko liczyć na szczęście!

— Zawsze je miałeś!

— Tak, ale wtedy pracowaliśmy razem. Cieszę się, że wkrótce znów to nastąpi. A czy ty zadowolony jesteś, że będziesz moim szefem? — zapytał bez ceregieli.

Szczęch roześmiał się.

— Nie tylko ja! Pułkownik Krusiński również.

— Wobec tego ze zdwojoną energią przystępuję do roboty.

— Życzę sukcesu!

— Dzięki! Cześć!

— Moment! Powiedz mi, ale szczerze, czy naprawdę nie się nie stało!? Nie muszę cię chyba zapewniać, że możesz liczyć na mnie! W każdej sytuacji! — podkreślił dobitnie.

Bernacki długo nie odpowiadał. Twarz mu posmutniała, z ust zniknął łagodny uśmiech.

— Szczerze mówiąc, jestem zmęczony tymi ciągłymi wyjazdami. Mam dość morderców, gwałcicieli, bandytów. Przez dwadzieścia lat ganiałem za nimi po województwie i nie tylko. Rozumiesz mnie chyba. Mówiąc po prostu, chcę pomieszkać teraz trochę w domu. Czasami boję się, że już dojrzewam do spotkania z psychiatrą. Zrozumiałeś mnie?

Tym razem długo milczał Szczęch.

— Tak! — powiedział w końcu. — Przyznam ci się, że ja także niedawno znajdowałem się w takim stanie. Mam nadzieję, że pocieszyłem cię.

— Sprawiłoby ci to radość?

— Nie zadawaj idiotycznych pytań. Powiedz mi raczej — Szczęch jakby się zawahał — dlaczego śledztwo nie dało dotychczas efektów. Przecież wiem, że nie oszczędzacie się. Maciejczak powiedział mi wczoraj, że nie widzi możliwości szybkiego wykrycia mordercy. Zapowiada się, iż może w ogóle pozostać nie znany...

— Maciejczak gada bzdury! — przerwał mu impulsywnie Bernacki. — Na twoim miejscu porządnie bym go opieprzył za szerzenie defetystycznego nastroju.

— Tak też zrobiłem!

— To świetnie! Od paru dni o niczym innym nie mówi, tylko o swojej ładzie. Może wreszcie weźmie się solidnie do roboty.

— Nie odpowiedziałeś mi jednak na pytanie. Mam je powtórzyć?

— Nie trzeba! Wydaje mi się, że podeszliśmy do sprawy na zbyt wielkim luzie, może nawet zlekceważyliśmy przeciwnika. Po drugie, mieszkańcy miasteczka przyjęli nas bardzo nieufnie, zresztą nadal odnoszą się do nas z rezerwą. Zastanawiające, że i miejscowym milicjantom nie chcą zbyt wiele mówić o tych zbrodniach. Kiedyś było inaczej...

— A za dziesięć lat będzie jeszcze gorzej — przerwał mu Szczęch. — Licz przede wszystkim na siebie. Ludzie mają dość swoich kłopotów i ja ich w zupełności rozumiem, że nie interesuje ich, czy jakiś tam Bernacki czy Kasperek stresują się z powodu niewykrycia sprawcy. Zresztą co ja ci będę mówić! Sam wiesz, jak jest.

— Wiem! Niestety czy na szczęście, ale wiem.

— I powiedz jeszcze, że pomaga ci to w pracy! — w głosie Szczęcha zabrzmiała leciutka ironia.

— Jest mi to obojętne!

— To dobrze! Tak trzymaj!

— Postaram się. No ale dość tej paplaniny. Na dole czeka na przesłuchanie śliczna dziewczyna. Pardon, wdowa, ale bardzo urodziwa. Żałuj, że cię tu nie ma!

Szczęch roześmiał się perliście. Prędko jednak spoważniał.

— Radzę ci, przyciśnij ją. Z doświadczenia wiem, że w sprawach o zabójstwo najczęściej wiedzą ładne dziewczyny. Zgadzasz się z tym?

— Pewnie! Nie chcesz wiedzieć, jak się nazywa?

— Przypuszczam, że chodzi ci o Iwonę Kowalską!

Bernacki zaniemówił ze zdziwienia.

— Co, zaskoczyłem cię? — usłyszał głos wyraźnie zadowolonego z siebie Szczęcha. — Staram się śledzić na bieżąco twoją działalność w B.

— Wiesz więc, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe! — wykrzyknął Bernacki i westchnął.

— No, prawie wszystko! — uściślił po krótkim namyśle Szczęch. — Ale jak już osiągniesz cel, zadzwoń.

— Oczywiście!

— A więc do rychłego usłyszenia!

— Cześć! — zakończył rozmowę, lecz jeszcze przez kilkanaście sekund nie odkładał słuchawki. Ogarnęło go przerażenie. Dotychczas nie pomyślał o tym, że może to być jego ostatnie śledztwo. Położył słuchawkę i z trudem przełknął ślinę. Muszę je doprowadzić do szczęśliwego zakończenia — postanowił. Inaczej co złośliwsi orzekną, że się skończyłem, że jestem już do niczego albo że stchórzyłem. Niech to szlag! — zaklął, następnie wstał i przeszedł się kilka razy po gabinecie. Potem zatrzymał się na parę chwil przy biurku, znów przeleciał wzrokiem wykaz adoratorów Hanki Kozickiej, po czym włożył go do wewnętrznej kieszeni marynarki i z miną, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, wyszedł na korytarz. Było pusto i cicho, jedynie od czasu do czasu odzywała się skrzekliwie radiostacja i prowadzący z nią konwersację oficer dyżurny. Minął poczekalnię dla interesantów i świadków i zatrzymał się przed drzwiami pracowni fotograficznej. Delikatnie nacisnął klamkę. Szubert miał jednak doskonały słuch.

— Wejdz! — powiedział. — W zasadzie już skończyłem — odwrócił się i popatrzył badawczo na Bernackiego. — Nie było to zbyt skomplikowane zadanie.

— Całe szczęście!

— Macie już ten samochód?

— Nie.

— Szkoda, bo mógłbym od ręki przeprowadzić badania identyfikacyjne. Pewnie facet jeździ na fałszywych numerach rejestracyjnych — domyślił się. — Tak najczęściej bywa. Ale nie martw się. Przynajmniej masz pewność, że jest zamieszany w te morderstwa.

Bernacki popatrzył ze smutkiem na Szuberta, a potem przeciągnął dłonią po przerzedzonych włosach i uśmiechnął się.

— Faktycznie jest to jakaś pociecha.

— Niewielka chyba, bo widzę, że jesteś jakiś nieswój. Może mogę ci w czymś pomóc?!

Bernacki ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

— Nic mi nie jest! — rzekł oschle. — Powiedz lepiej, co ujrzałeś pod tym mikroskopem — dodał po chwili i usiadł obok Szuberta.

Ekspert ze znużoną miną zaczął przerzucać kartki porozkładane na długim laboratoryjnym stole, widocznie w poszukiwaniu tej właściwej lub żeby zebrać myśli.

— Cóż, jak już powiedziałem, sprawa jest jasna. Nie będę cię wtajemniczał w szczegóły badań, bo nie ma takiej potrzeby. Powiem ci tylko, że samochód zaobserwowany przed domem Ostrowskiego i ten, który dzisiejszej nocy zatrzymał się nie opodal posesji Kowalskiej, to jeden i ten sam pojazd. Gotową ekspertyzę dostaniesz jutro w południe. Zadowolony jesteś? — zapytał i poklepał Bernackiego po ramieniu.

— Bystrzak z ciebie! — pochwalił Szuberta Bernacki. — Żebyś jeszcze mógł powiedzieć, jak go odnaleźć!

— Dasz sobie radę!

— A mam inne wyjście?

Szubert pokiwał ze zrozumieniem głową i zabrał się do pakowania walizki śledczej. Swoje zadanie wykonał sprawnie i rzetelnie.

— Przypuszczam, że każesz mnie odwiedzić do firmy — mruknął mocując się z zamkiem błyskawicznym. — A może poczekać ze dwie godziny? Może dopisze wam szczęście i znajdziecie tę ładę? Co mi radzisz? — spojrzał przyjaźnie na Bernackiego. Znali się kilkanaście lat, nigdy nie kłócili się, nigdy nie odmawiali sobie pomocy.

— Na twoim miejscu pojechałbym do komendy i zajął się sporządzaniem ekspertyzy. Może być potrzebna prokuratorowi i nam szybciej, niż przypuszczasz.

Szubert znów na dłużej zatrzymał wzrok na twarzy Bernackiego.

— Tak sądzisz? Wobec tego już mnie nie ma — zawołał z zapalem, chwycił walizkę i kiwnąwszy głową na pożegnanie, wyszedł z pracowni. Bernacki został sam. Przez kilkadziesiąt sekund przyglądał się fotografiom, których całe stosy poniewierały się na stole i ustawionych pod ścianami biurkach. Były to przeważnie zdjęcia z wypadków drogowych. Wśród nich spostrzegł kilka fotografii Pawła Kowalskiego. Nie wstając sięgnął po nie. Postanowił pokazać je żonie zamordowanego motocyklisty. Może widok zmasakrowanych zwłok męża skłoni ją do zwierzeń — myślał wpatrując się ze smutkiem w zniekształconą twarz Kowalskiego. Bo że nie była z nim szczerą, to był pewny. Muszę z niej wyciągnąć wszystko, choćbym miał męczyć ją do rana — podjął decyzję, następnie podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer oficera dyżurnego i polecił wprowadzić Kowalską do pokoju przesłuchań. Pokój ten sąsiadował z pracownią fotograficzną. Był mały, nieprzytulny, ciemny. Na ścianie wisiał portret generała Józwiaka i godło. W kącie stała niska, zielona szafa pancerna, pod oknem biurko, stare, z poplamionym blatem, a przy nim dwa zwykłe krzesła.

Bernacki rozłożył na biurku zdjęcia, podszedł do drzwi, otworzył je szeroko i zapytał:

— Czy jest już pani Kowalska? Bardzo proszę — dorzucił widząc idącą w jego stronę kobietę. — Przepraszam, że musiała pani tak długo czekać. Wybacz mi pani? — uśmiechnął się mile i podsunął krzesło.

Kowalska nie odwzajemniła uśmiechu.

— Zupełnie pana nie rozumiem — powiedziała z wyrzutem. — Nachodzi mnie pan w domu, ciąga po komisariatach, a ja naprawdę nic nie wiem. A może mam zmyślać?! Tego pan chyba ode mnie nie oczekuje!

— Jasne, że nie. Widziała pani te zdjęcia?

Kowalska pochyliła się nad biurkiem. Twarz jej posmutniała jeszcze bardziej, zaszklily się łzami oczy.

— To aż tak potwornie wyglądało!? — powiedziała raczej do siebie, niż zapytała. — Mogę je zatrzymać?

— Jest pani pewna, że to właściwa pamiątka? — zapytał bez cienia ironii.

Kowalska przetarła chusteczką oczy. Nie odważyła się jednak spojrzeć na milicjanta.

— Tak, wiem, o czym pan myśli! — wydukała. — Chyba lepiej będzie, jeśli tu zostaną.

Bernacki pozbierał zdjęcia i wrzucił je do szuflady biurka.

— Też tak myślę! — rzekł beznamietnie. — Przejdźmy jednak do meritum! — zabębnił palcami o blat biurka. — Proszę mi powiedzieć, ale szczerze, co pani robiła wieczorem czternastego września.

Kowalska nadal przyglądała się swoim splecionym na kolanach dłoniom.

— Wiem, że spędziła pani ten wieczór w warsztacie samochodowym Ostrowskiego — kontynuował Bernacki nie spuszczać wzroku z białej jak kreda, ściągniętej trwogą twarzy Kowalskiej. Widział, jak drżą jej kąciaki ust, a na czole pojawiają się drobnutki kropelki potu. — Słucham!

Kowalska poruszyła się niespokojnie na krześle i wreszcie spojrzała na przesłuchującego ją inspektora. Potem wyjęła z torebki papierosa, przypaliła i zmęczonym głosem powiedziała:

— Tak, byłam tam.

Bernacki wstał, uchylił okno. W pokoju zrobiło się jakby widniej.

— I co pani tam widziała?! Proszę opowiadać, tylko dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko zapisaniu pani zeznań na protokół.

— Przeciwnie! Także zależy mi na tym.

— Cieszę się, że zmieniła pani zdanie.

— To tylko pana zasługa.

Bernacki ze zdziwieniem spojrzał na siedzącą przed nim kobietę.

— Moja? — zapytał i powrócił do wypełniania rubryk protokołu przesłuchania świadka. — Proszę wyrażać się jaśniej — poprosił z uśmiechem.

Kowalska wyjęła chusteczkę i dokładnie wytarła pot z czoła. Zrobiła to dyskretnie, z wdziękiem.

— Bo widzi pan, już podczas pierwszego spotkania odniosłam wrażenie, że nie jest mi pan wrogiem i że nie wierzy w moją winę! Chyba się nie pomyliłam?!

— Rzeczywiście! Jestem przekonany, że jest pani niewinna. Ale jestem też pewny, że wie pani dużo o śmierci Pawła. Stąd moje natręctwo.

Kowalska długo nie odpowiadała. Zamyślona patrzyła w okno na srebrzysty świerk, na skaczącą po gałęziach parę turkawek.

— Czyżby także nie powiedział prawdy! — oświadczyła w końcu dość impulsywnie. — Nie było żadnej kłótni, nikt nikomu nie groził — znów przerwała na moment, zdusiła w popielniczce papierosa. — Tego dnia rano przyjechał do mnie Kazik — podjęła nieco spokojniejszym tonem — i powiedział, żebym przyjechała do niego wieczorem, że będzie czekał w warsztacie, bo chce omówić ze mną pewną ważną dla nas kwestię. Wybrałam się do niego zaraz po

szesnastej, piechotą oczywiście. Na miejscu byłam około osiemnastej. W każdym razie było jeszcze widno. Kazika zastałam na placu przed zakładem zajętego robotą. Powiedziałam mu cześć i weszłam do pomieszczenia obok warsztatu. Położyłam się na wersalce i zajęłam się przeglądaniem gazet. Po kilkunastu minutach przyszedł Kazik, zapytał, czy nie mogłabym zrobić mu kawy, odrzekłam, że ja także napiję się z ochotą i od razu przystąpiłam do przygotowywania napoju. Kazik zaś wyszedł na podwórko, aby umyć się pod pompą. Gdy po paru minutach wrócił, kawa była już gotowa — umilkła i znów zapatrzyła się w okno. Trwało to dość długo. Bernacki obserwował ją uważnie. Wreszcie ocknęła się, wydobyła z dna przepastnej torby paczkę caro. — Zapali pan? — zapytała. — Proszę! — położyła papierosa na biurku.

Bernacki przecząco pokręcił głową.

— Prawie odzwyczailem się! — rzekł.

— Ja także kiedyś to zrobię — powiedziała. Nadal była poważna, skupiona.

— Chce pan wiedzieć pewnie, co było dalej? — podniosła wzrok i po raz pierwszy uśmiechnęła się, ale jakoś blado, niepewnie.

Bernacki nie podnosząc głowy znad protokołu mruknął pod nosem:

— Tak, tak. Oczywiście!

Kowalska poprawiła się na krześle i odgarnęła z czoła swoje śliczne jasne włosy.

— No cóż, jeśli pana to interesuje, to Kazik zamknął drzwi na klucz i poszliśmy do łóżka.

Bernacki wstał. Przemknęło mu przez głowę, że Kowalska kpi sobie z niego. Szybko jednak pozbył się tej myśli. Uśmiechnął się z zakłopotaniem i siadając powiedział:

— I w tym właśnie momencie do tego pomieszczenia wtargnął pani mąż!

— Ależ skąd! — zaprotestowała gwałtownie Kowalska. — Nic takiego nie zdarzyło się. Tego wieczoru w ogóle nie widzieliśmy Pawła. Naprawdę! Proszę mi wierzyć!

Bernacki poderwał się i zaczął chodzić wzdłuż pokoju. Wreszcie zatrzymał się przed Kowalską, położył rękę na jej ramieniu i oświadczył:

— Nie wierzę pani. Znów pani łże!

Kowalska opuściła bezradnie ręce, zatrzepotała powiekami.

— A może kłamcą jest Czyżyk!? — odparowała.

Bernacki jeszcze przez chwilę wpatrywał się z napięciem w ładną twarz Kowalskiej, następnie wrócił na swoje miejsce. Właśnie! — pomyślał. — Dlaczego właściwie uwierzyłem temu Czyżykowi?

— Nie lubi go pani? — zapytał uśmiechając się dwuznacznie.

— Zgadł pan.

— Ale był czas, że byliście sobie bliscy!

— Nie zaprzeczam. Uzgodniliśmy nawet termin ślubu.

— Nie wyszła jednak pani za niego.

— Bo zakochałam się w Pawle.

— Słyszałem, że po ślubie spotykała się pani jeszcze z Czyżykiem?!

— Jest dobrym krawcem, a ja lubię się ładnie ubierać! A że to bardzo kosztowne, więc długo nie mogłam się jakoś z nim rozstać... — Zapanowała krótka, pełna napięcia cisza. Pierwszy odezwał się Bernacki:

— Nie ulega jednak wątpliwości, że Paweł był tego wieczoru w zakładzie pani kochanka.

— Też jestem o tym przekonana — zgodziła się Kowalska. — Wziął przecież ten nieszczęsny motocykl. My, to znaczy ja i Kazik, nie widzieliśmy go jednak.

Bernacki spojrzał posępnie na Kowalską. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wrzasnąć.

— Proszę pani! — powiedział cicho, postukując długopisem. — Wzywając panią tutaj miałem nadzieję, że pomoże mi pani, tymczasem beczelnie pani kłamie, zataja istotne dla śledztwa fakty, jest pani arogancka — przerwał na moment, potarł dłonią czoło — i zapewne nie dotarło też do pani to, że te wszystkie zbrodnie w jakiś sposób łączą się z pani osobą. Proszę to łaskawie przemyśleć!

Kowalska ze złością zdusiła papierosa.

— Żyję tak, jak uważam za stosowne i nie obchodzi mnie, czy to się komu podoba czy nie — powiedziała stanowczo, z trudem zachowując spokój.

Znów zapanowało milczenie. Kowalska blada, roztrzęsiona patrzyła w okno, Bernacki obserwując ją spod oka myślał, że nic już z niej nie wydobydzie, nawet jeśli zagroziłby jej aresztem za składanie nieprawdziwych zeznań.

— Czy chciałaby mi pani jeszcze coś powiedzieć na zakończenie? — zapytał uprzejmie.

Kowalska westchnęła głęboko, pochyliła się do przodu i złożyła dłonie na biurku.

— Owszem! — odrzekła i uśmiechnęła się. — Myślę, że to ważne.

Bernacki wziął długopis w rękę, przysunął bliżej protokół.

— Słucham więc! — rzucił i złośliwie zmrużył oczy.

— Otóż kiedy tam byłam, kiedy byliśmy razem — rozpoczęła rumieniąc się nieco — usłyszałam warkot motocykla. Dochodził z przebiegającej w pobliżu zakładu drogi. Słyszałam go najwyżej minutę. Powiedziałam nawet Kazikowi, że chyba przyjechał jakiś klient.

Bernacki zamyślił się na chwilę.

- O której opuściliście zakład? — zapytał chłodno.
- Zaraz po północy.
- Czym?
- Fiatem.

A kiedy Ostrowski zauważył brak motocykla?

- Następnego dnia, zaraz po przyjeździe do warsztatu.
- I zgłosił jego kradzież w komisariacie?
- Nie wiem dokładnie, ale chyba to zrobił.

Bernacki przez chwilę obserwował ją w napięciu. Potem zapytał:

— Widziała się pani z Ostrowskim w niedzielę dwudziestego trzeciego września?

— Nie! — odparła prędko. — Ludzie donieśli mi, że jest pijany i dlatego całą niedzielę spędziłam w domu. Przecież byliście u mnie! — dorzuciła spoglądając z wyrzutem na przesłuchującego. — Czyżby zapomniał pan o tym?

— Nie zapomniałem — odpowiedział Bernacki, przysuwając się bliżej okna. Potem otworzył je szeroko. — Nie jest pani zimno? — zatroszczył się.

Iwona Kowalska pokręciła przecząco głową. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Gdzieś na ulicy rozległ się przeciągły, melodyjny klakson samochodu.

— Pozostała do wyjaśnienia jeszcze jedna kwestia — odezwał się Bernacki, przyglądając się ładnej szyi Kowalskiej, — Rozmawiała pani przez telefon z Hanką Kozicką w dniu jej śmierci. Prawda?

— Już to przecież mówiłam! — odrzekła ze złością.

— Pamiętam!

Kowalska zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i zagryzła wargi. Odrzekła jednak spokojnie:

— Ciekawa jestem, skąd dowiedział się pan o tej rozmowie. Od telefonistki zapewne! — domyśliła się. — To okropne, że one nie potrafią powstrzymać się od podsłuchiwania.

Bernacki skrzywił się z niesmakiem.

— Jest pani niesprawiedliwa — powiedział ostro. — Tak nie można. I dziwi się pani, i obraża, że niektórzy widzą w pani morderczynię — przycisnął.

Kowalska po raz pierwszy zaczerwieniła się.

— Przepraszam — szepnęła. — Ma pan rację.

— Więc o czym rozmawialiście? — ponowił pytanie, usiłując zająrzeć jej w oczy. — Chcę znać szczegóły.

Kowalska zmieszana wpatrywała się w swoje splecione na kolanach dłonie. Milczała.

— Słucham! — ponaglił kapitan, ale bez oznak zniecierpliwienia w głosie.

— No dobrze, powiem — rzekła wreszcie, podnosząc wzrok na przesłuchującego ją oficera. — Więc najpierw skrzyczała mnie, wyzywała od dziwki, przysięgła, że mi nigdy nie zapomni tego, co jej uczyniłam, że okazałam się niegodna jej przyjaźni, że nigdy by się tego po mnie nie spodziewała i tak dalej. Usiłowałam się tłumaczyć, lecz w ogóle nie chciała mnie słuchać — przerwała na chwilę wciąż zarumieniona, zawstydzona. — Następnie oświadczyła — podjęła ze wzrokiem utkwionym gdzieś nad głową Bernackiego — że już zajęła się sprawą i nie podaruje mordercy. Próbowalam ją ostrzec przed działaniem na własną rękę, prosiłam, aby poszła na milicję. Nie chciała mnie jednak słuchać, zarzuciła tchórzostwo i odłożyła słuchawkę.

— I to wszystko? — zapytał z niedowierzaniem Bernacki. Spodziewał się więcej.

Kowalska poruszyła się niecierpliwie, potarła twarz obiema rękami i tym samym lęklwym głosem odrzekła:

— Tak, chyba tak.

— A może wymieniła jakieś nazwisko, imię?!

— Nie! Była bardzo wzburzona, zdenerwowana...

— Więc może powiedziała, co konkretnie uczyniła, by

dowiedzieć się, kto jest mordercą!? — przerwał jej Bernacki.

Kowalska zamyśliła się głęboko.

— Słowa na ten temat nie wypowiedziała — odrzekła. — Odniosłam jednak wrażenie, a może mi się teraz tylko tak wydaje, że ona wiedziała, kto zabił Pawła. Tak! — zawołała nagle. — Hanka musiała powiedzieć mordercy, że go podejrzewa o tę zbrodnię. I dlatego zginęła! — ekscytowała się swoim odkryciem. Wyglądało to jednak dość sztucznie.

Bernacki wzruszył obojętnie ramionami, uśmiechnął się smutno i powiedział:

— Być może, ale my musimy opierać się na faktach, a nie na przypuszczeniach czy odczuciach.

Kowalska pokiwała ze zrozumieniem głową. Twarz miała poważną, skupioną. Widać było, że wciąż rozpamiętuje swoje oświadczenie.

— Ja jednak podtrzymuję to, co powiedziałam — rzekła i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — To była odważna dziewczyna, z charakterem.

— Pani też niczego nie brak.

Tym razem na twarzy Kowalskiej pojawił się uśmiech zadowolenia. Bernacki pomyślał, że zbyt rzadko podczas przesłuchania posługiwał się komplementami. Dorzucił więc:

— Należy wierzyć kobiecej intuicji. A pani ją posiada.

Kowalska uśmiechnęła się szeroko i z zażenowaniem wzruszyła ramionami. Zaraz jednak spoważniała, jakby wyczuła, że milicjant chce zastawić na nią pułapkę.

— Przesadza pan! — stwierdziła, podejrzliwie przyglądając się twarzy inspektora. — Ale jeśli chodzi o Hanię, to jestem przekonana, że się nie mylę. Ona domyśliła się, kto zabił mojego męża...

— A pani? Pani domyśla się, kto zabija? — przerwał bacznie ją obserwując.

Kowalska milczała przez kilkanaście sekund. Na jej ładnych ustach pojawiał się, to znikał uprzejmy, delikatny uśmiech.

— Niestety, bardzo mi przykro, ale nie domyślam się — wydekłamaowała. — To nie do mnie należy. Prawda?

Bernacki pokiwał głową i zamyślił się. Zdał sobie sprawę z bezsensu swojego pytania.

— Fakt! — odrzekł nerwowo obracając w palcach długopis. — To raczej pani i jako osoba pokrzywdzona, i jako członek społeczności powinna je postawić. Mam rację?

— No może, ale niezupełnie! — jąkała się.

— Czyżby!? — zdziwił się Bernacki. — Ach, rozumiem! — dodał po chwili. — Chodzi o to, że Hanka Kozicka zachowała się w tej sprawie w diametralnie inny sposób?!

Kowalska zapłonila się lekko, spuściła oczy.

— Znów mnie pan zawstydził — powiedziała zakłopotana.

Bernacki przyglądając się jej uważnie uznał, że może ponowić pytanie. Położył długopis na protokół i zapytał:

— Więc może wie pani, kto zamordował pani męża?

Kowalska przecząco pokręciła głową. Ale jakoś bez przekonania.

— I nikogo pani nawet nie podejrzewa? — nie dawał za wygraną Bernacki.

— Nie!

Bernacki wstał. Postanowił zakończyć przesłuchanie. Wiedział już, że niczego więcej nie uda mu się z niej wydobyć.

— Dziękuję pani! — powiedział podniesionym tonem i zmarszczył brwi. — Może pani odejść!

Kowalska uniosła się z krzesła. Bernacki bez słowa podał jej długopis i podsunął protokół. Z trudem powstrzy-

mując się przed wybuchem patrzył, jak podpisywała całym imieniem i nazwiskiem swoje zeznania, uśmiechnięta, zadowolona z siebie. Myślał o tym, że musi być bardzo zepsuta i zdemoralizowana i że najchętniej posłałby ją do wszystkich diabłów albo powtórzył to, co powiedziała jej przez telefon jej przyjaciółka, Hanka Kozicka. Siłąc się na obojętny ton, powiedział jednak grzecznie:

— Gdyby jednak przypomniała sobie pani coś, co pomogłoby nam ustalić mordercę, proszę o wiadomość.

— Oczywiście! Będę o tym pamiętała! A gdzie mam pana szukać? — zapytała naiwnie, zbierając się do wyjścia.

Bernacki popatrzył na nią ze złością.

— Tutaj! — warknął. — Albo w L. w WUSW — dorzucił z wymuszonym uśmiechem.

Kowalska skinęła głową i wrzuciła do torebki papierysy. — A zatem do zobaczenia — powiedziała, poprawiła włosy i kołysząc biodrami opuściła pokój.

Bernacki odprowadził ją pełnym politowania wzrokiem. Nie spodziewał się, że przesłuchanie zakończy się kompletnym fiaskiem. Był przekonany, że Kowalska swoimi zeznaniami naprowadzi go na właściwą osobę. Wściekły na siebie, z ponurą miną chodził przez jakiś czas po pokoju, wreszcie zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na ulicę. Była zupełnie pusta. Zatrzasnął okno, zwinął w rulon protokół i wyszedł na korytarz. Wciąż nie mógł pozbyć się myśli, że niepotrzebnie stracił tyle drogiego czasu, że znów zawiodła go intuicja. Chyba się starzeje — skonstatował wchodząc do dyżurki. Usiadł na krześle obok rozmawiającego przez telefon sierżanta, rzucił na biurko protokół i zajął się przeglądaniem telefonogramów. Nie znalazł w nich jednak nic, co dotyczyłoby prowadzonego śledztwa. Sierżant wciąż rozprawiał przez telefon. Bernacki przeniósł się na fotel i przymknąwszy oczy, zaczął przysłuchiwać się

rozmowie. Milicjant radził swojemu rozmówcy, co ma uczynić, aby drzewka, które ten ma zamiar posadzić na działce, przyjęły się, potem zaczął się chwalić zbiorami, wreszcie zaprosił go na swoją.

— Przepraszam! — powiedział lekko zmieszany. — Kolega, zresztą nasz rencista, postanowił założyć sobie sad wiśniowy i nie wie, jak się ma do tego zabrać. Musiałem udzielić mu porady...

— Trzeba pomagać bliźnim — rzekł sentencjonalnie Bernacki. — Wtedy i oni nie zapomną o nas w trudnych chwilach.

— Mam poważne wątpliwości co do tego! — stwierdził autorytatywnie sierżant. — Może mi kapitan wierzyć, jako że sporo już w swoim życiu widziałem.

Bernacki spojrzał na niego z zaciekawieniem. Wyglądał rzeczywiście na takiego. Może pięćdziesięcioletni, szczupły, ruchliwy, o ciemnych, przenikliwych oczach, siedział rozparty w obrotowym fotelu i uśmiechał się serdecznie. Kapitan nie spuszczając z niego wzroku pomyślał, że to dziwne, iż coraz więcej ludzi jest podobnego co sierżant zdania i że coraz mniej jest chętnych do bezinteresownego pomagania innym.

— Być może! — rzekł i machnął ręką. — Kiedy indziej przedyskutujemy tę kwestię — dodał beznamietnym głosem. — Nie macie wiadomości od kapitana Wołczyńskiego? — zapytał podchodząc do dyżurnego.

Sierżant wstał i wyprostował się służbiście.

— Żadnych, obywatelu kapitanie! — zameldował.

— Więc może od innych?! Kasperka, Maciejczaka?

Sierżant w odpowiedzi przecząco pokręcił głową. Przez chwilę stali w milczeniu. Bernacki zamyślony, sierżant w oczekiwaniu na następne pytania, czujny i napięty.

— Nawet nie telefonowali?

— Bardzo mi przykro, ale nie.

— Zatem i ja zaudam się w teren — rzekł ze śmiechem. — Pamiętacie jeszcze to słowo? To dobrze! Mój pierwszy szef, major Gajowniczak, uważał, że od poznania znaczenia tego słowa należy uczyć milicyjnego fachu. A ma ono tych znaczeń najmniej kilka. Zgadzacie się ze mną?

Sierżant z powagą pokiwał głową, następnie usiadł, wyciągnął z biurka dwie niebieskie koperty i podał je kapitanowi.

— Anonimy — powiedział. — Myślę, że powinien kapitan przed wyjściem w teren zapoznać się z nimi.

Bernacki szybkim ruchem wyłuskał je z kopert.

— Kogo dotyczą? — zapytał.

— Mecenasa Grabowskiego i Iwony Kowalskiej. Obserwator i Sprawiedliwy donoszą, że działają oni razem, że są kochankami i dalej w tym stylu. Według mnie pisała je ta sama osoba.

— Wobec tego nie będę ich czytał — postanowił Bernacki. — Oddacie je swojemu kierownikowi — rzucił na biurko zapisane drukowanymi literami dwie białe kartki papieru. — Tylko nie zapomnijcie!

Sierżant znów podniósł się żwawo i wyprężył się.

— Na pewno nie zapomnę! — zapewnił. — Czy ten protokół także? — zapytał wpatrując się w spisane przez Bernackiego zeznania Kowalskiej.

— Oczywiście! Gdyby pytali o mnie, to powiedzcie, że poszedłem do miasta i wrócę gdzieś za trzy, cztery godziny.

— Tak jest!

— A za jakąś godzinę zadzwonię! — poinformował już z ręką na klamce. — Być może będę potrzebować pomocy — dorzucił uśmiechając się tajemniczo i zamknął za sobą drzwi.

Sierżant wzruszył ramionami, potem przeciągnął się i

ziewnął. Nie zazdrościł kolegom z innych służb sukcesów. Znał bowiem ich cenę. On wolał siedzieć w ciepłej dyżurce, odbierać telefony, czytać ukradkiem kryminały i liczyć miesiące, jakie zostały mu jeszcze do emerytury. Z błogim uśmiechem na twarzy przeszedł się po ciasnym, zastawionym żelaznymi szafami pomieszczeniu, na chwilę zatrzymał się przy oknie, popatrzył w jasne niebo i wrócił na swój obrotowy fotel. Jedyłą myślą, jaka go zaprzętała od rana, było to, czy słoneczna, ciepła pogoda utrzyma się jeszcze chociaż przez najbliższe dwa dni. Tyle właśnie potrzeba mu było czasu na zebranie resztek plonów z działki. Zadowolony, że ujrzał czyste niebo, usiadł przy biurku, wysunął szufladę i zagłębił się w lekturze „Kwaśnych pomarańczy” Dominika Karo.

Bernacki nie od razu poszedł do miasta. Przypomniał sobie bowiem, że w gabinecie kierownika Wołczyńskiego zostawił swoją starą, pamiętającą jeszcze studenckie czasy, skórzaną teczkę, z którą rozstawał się niezmiernie rzadko i którą traktował prawie jak talizman. Najpierw jednak wstąpił do kancelarii. Sekretarka, młoda, dość pulchna, o miłej twarzy i niebieskich oczach blondynka, zaproponowała kawę, ale Bernacki wymówił się brakiem czasu. Musiał jednak wysłuchać najnowszych plotek z miasta. Nie należały do najprzyjemniejszych i chociaż Bernacki innych nie oczekiwał, do reszty zepsuły mu humor.

— Pani Elu, litości! — przerwał jej impulsywnie. — Niech mnie pani nie dobija — poprosił uśmiechając się bezradnie.

Sekretarka odwzajemniła uśmiech i miłym głosem powiedziała:

— Obiecuję, że jutro będę miała tylko przyjemne wiadomości.

Bernacki pokiwał z powątpiewaniem głową.

— Trzymam za słowo! — rzekł jednak i westchnąwszy głęboko, poszedł do gabinetu Wołczyńskiego. Wrzucił do teczek zapasowy długopis, kilka kartek maszynowego papieru, a także parę protokołów przesłuchania świadka, dwa protokoły przeszukania i kilka innych druków procesowych. Potem stał przez kilkanaście chwil na środku gabinetu i zastanawiał się, czy czegoś nie zapomniał i po co mu to wszystko. Wciąż nie miał koncepcji co do dalszego prowadzenia sprawy, nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. Wiedział tylko, że powinni zakończyć śledztwo jeszcze dzisiaj, zanim odbiorą je im inspektorzy z komendy głównej.

Kilka minut później, z teczką pod pachą, stał na zalanej słońcem pustej ulicy. Powietrze było suche, przesycone zapachem antonówek i tytoniu rozwieszonego wszędzie, gdzie spojrzeć: na płotach, ścianach komórek i stodołach, nawet w sadach. Wysoko nad miasteczkiem płynęły wolno małeńkie, jasne obłoczki, niżej, tuż nad dachami, snuły się rozrzedzone dymy z płonących na kartofliskach ognisk. Drzewa owocowe w przydomowych ogródkach, prawie już bezlistne, stały w bezruchu, smutne i ciche. Jedyne z gospodarstwa, usytuowanego za budynkiem komisariatu, dochodziło głuche buczenie młocarni. Nabrał w piersi świeżego, chłodnego powietrza i ruszył przed siebie. Postanowił jeszcze raz porozmawiać z Czyżykiem, wysłuchać ponownie jego wersji wydarzeń w zakładzie Ostrowskiego. Musiał wreszcie dowiedzieć się, kto kłamie — Czyżyk czy Kowalska i z jakich powodów, albowiem kwestia ta niespodziewanie stała się najważniejsza. Postanowił też jak najprędzej skonfrontować tych dwoje kiedyś bliskich sobie ludzi. Zatrzymał się dopiero na placu Wolności, niedaleko rynku. Usiadł na małej, kamiennej ławeczce obok zamyślo-

nego, smutnego mężczyzny w średnim wieku, naprzeciwnie jednopiętrowej kamieniczki z czerwonej cegły, w której mieścił się zakład krawiecki Stefana Czyżyka. Położył teczkę na kolanach i rozejrzał się wokoło. Plac, przy którym znajdowało się sporo różnego rodzaju sklepów, wypełniony był mieszkańcami okolicznych wiosek, którzy przyjechali, aby dokonać ostatnich już pewnie przed nadejściem słotnej jesieni zakupów. Obserwując ich układał plan rozmowy z Czyżykiem, chociaż z doświadczenia wiedział, że potoczy się ona na pewno inaczej. Próbował też ułożyć pytania do konfrontacji. Nie mógł się jednak skupić. Rozpraszał go tłum przelewający się ulicą i siedzący obok przeraźliwie smutny mężczyzna, i jesień, kolorowa jak wystawa dziecięcych rysunków. Obrzucił nieprzyjnym spojrzeniem siedzącego w bezruchu mężczyznę i zaklął cicho, następnie wstał i dwukrotnie okrążył plac, przez mieszkańców miasteczka zwany kieratem. Zatrzymując się przy kamieniczce Czyżyka pomyślał, że zachowuje się tak, jakby bał się spotkania z krawcem. Zanim zastukał w drzwi pracowni, spojrzał na ławkę. Ponury jegomość przyglądał mu się spod oka. Bernacki, wzdrygnął się i nacisnął klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Postawił teczkę na schodach i rozejrzał się dookoła. Nikt poza człowiekiem z ławki nie zwracał na niego uwagi. Jeszcze raz nacisnął klamkę, ale tym razem mocno, gwałtownie. Z pracowni nie dochodziły jednak żadne odgłosy, które świadczyłyby o obecności krawca w zakładzie. Stał jeszcze kilkadziesiąt sekund nasłuchując, w końcu zrezygnowany wrócił na ławkę i zagłębił się w lekturze gazety, którą kupił rano w L.

— Poszukuje pan Czyżyka!? — odezwał się niespodziewanie siedzący obok ponurak. Nie poruszył się jednak. Ze wzrokiem wbitym w czubki swoich rozczłapanych pantofli

nie wyglądał nawet na człowieka, który oczekuje odpowiedzi.

Bernacki złożył gazetę. Coraz bardziej intrygował go ten mężczyzna. Przez chwilę pomyślał, czy aby nie powinien go wylegitymować lub nawet zabrać na komisariat. Szybko jednak odrzucił taką ewentualność. Postanowił nawiązać z nim rozmowę.

— Tak — odpowiedział. — Pan pewnie także czeka na niego — dorzucił nie spuszczając go z oczu.

Mężczyzna po raz pierwszy zwrócił ku niemu swoją smutną twarz. Wzrok miał mętny i w ogóle wyglądał, jakby był pod działaniem narkotyku.

— Nie, proszę pana! Ja już się z nim rozliczyłem — powiedział wyraźnym głosem. — Ale mogę panu powiedzieć, gdzie on w tej chwili jest. Jeśli pan chce wiedzieć, oczywiście! — dodał po chwili obojętnie i wrócił do oglądania swoich buciorów.

Bernacki długo nie odpowiadał. Zastanawiał się, jakiego typu interesy mogły łączyć krawca z tym bardzo dziwnym osobnikiem.

— Pewnie nie uszył panu na czas ubrania! — spróbował domyślić się.

— A czy ja pana pytam, po co potrzebny jest panu Czyżyk? — obruszył się mężczyzna, po czym strzepnął kurz z nogawek spodni i wstał. — Więc jak? Chce pan ten adres czy nie!? — warknął.

Bernacki nie podnosząc się, chwycił go za ramię.

— Coś pan taki nerwowy! Oczywiście, że chcę!

Dziwny jegomość uśmiechnął się cierpko i usiadł.

— Trzeba dać na połówkę i powiem, gdzie można go znaleźć — wymamrotał dość pewnym, beznamiętnym głosem.

— Za drogo! Wolę poczekać na niego — oświadczył po krótkim namyśle oficer przypuszczając, że rozmówca znacznie obniży cenę informacji. I nie pomylił się.

— Więc może chociaż na dwa piwa — zaproponował nieśmiało. — Chyba stać na to ludową milicję!

Bernacki lekko uśmiechnął się. Facet prawdopodobnie niejedną zimę spędził za kratkami — pomyślał. I żeby upewnić się, zapytał:

— A skąd pan wie, że pracuję w milicji?

Mężczyzna pokiwał parę razy głową, potem obrzucił Bernackiego szybkim, bystrym spojrzeniem i odrzekł:

— Milicjanta, za przeproszeniem, wyczuwam na kilometr.

— Musiał pan często się z nimi spotykać — rzucił od niechcienia Bernacki.

— Za często — odburknął nieznajomy.

— Nie trzeba było wchodzić im w drogę.

Mężczyzna znów popadł w zadumę. Wkrótce jednak przemówił:

— Nawet jeśli ma pan rację, to w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Dajesz pan te dwie setki czy nie?! — prawie warknął i spojrzał spode łba na Bernackiego.

Ten włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął portfel. Wyciągnął z niego dwa stułotowe banknoty i szybko wcisnął je w dziwnie bladą, wąską dłoń mężczyzny.

— No więc gdzie mogę go znaleźć? — zapytał.

— W garażu przy Tarabelskiej trzydzieści — odrzekł i powoli, ociężale podniósł się z ławki. — Muszę już iść, bo jeśli mnie tu kto z kumpli z panem zobaczy, to ani chybi

rozgada po miasteczku, że jestem kapusiem. Sam pan wiesz, jak łatwo zepsuć sobie opinię u kolesiów.

Bernacki machnął lekceważąco ręką.

— Nie zwracaj pan na to uwagi.

— Dzięki za radę — mruknął nieznajomy i rozejrzał się dookoła. Znów był smutny, przygnębiony. — No to idę — dodał i zrobił krok do przodu.

Bernacki poderwał się i chwycił go za marynarkę.

— Jeszcze moment — powiedział. — Proszę mi zdradzić, co chciał od pana Czyżyk?

Mężczyzna znów zmierzył Bernackiego niechętnym wzrokiem i delikatnie wyrwał marynarkę z ręki kapitana.

— Jest pan chyba niezłym milicjantem — stwierdził — ale myli się pan. To nie on do mnie, lecz ja do niego miałem interes.

— Ach, tak! — mruknął Bernacki i uśmiechnął się niepewnie. — Świadczy to raczej o tym, że jestem słabym milicjantem. Mimo to chciałem wiedzieć, co to za interes.

— A ja nie mam zamiaru ukrywać go przed władzą. Czyżyk jest mi winien pół miliona złotych.

— Od kiedy?

— Od dzisiaj!

— Nie bardzo rozumiem. Rano mu je pan pożyczył, a w południe chce je pan już mieć z powrotem!/? — zapytał z powątpiewaniem w głosie.

Jegomość z politowaniem popatrzył na milicjanta.

— No nie! Tę forszę jest mi winien za moje milczenie — rzekł twardo. Zaraz jednak roześmiał się, jakby chciał zbagatelizować znaczenie wypowiedzianych, może zbyt

pochopnie, słów, machnął ręką i ze spuszczoną głową poszedł w kierunku pijalni piwa, zwanej popularnie działownią.

Bernacki stał jeszcze przez kilkadziesiąt sekund, przestępując z nogi na nogę i pocierając dłonią czoło. Ciekawe, co on chciał przez to powiedzieć — myślał żałując, że nie ma czasu na zajęcie się osobą tajemniczego, dziwnie wyglądającego mężczyzny. Postanowił, że zaraz po zakończeniu śledztwa przyjrzy mu się dokładniej. Zapozna z życiorysem, ustali kumpli i dopiero wtedy wezwie na rozmowę do L.

Ze znalezieniem ulicy Tarabelskiej Bernacki nie miał większych trudności, mimo że uliczka ta leżała daleko od centrum miasteczka, aż za cmentarzem komunalnym. Przed kilku laty była to po prostu wieś Tarabela. Przyłączono ją do B., ponieważ ambitne władze miasteczka zapragnęły zmienić jego status. W czerwcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku trzystu mieszkańców Tarabeli, chłopów z dziada pradziada, uczyniono mieszczuchami, a Tarabela zniknęła z mapy. Za to na planie miasta, a nie jak dotychczas miasta-gminy, pojawiła się ulica Tarabelska.

Była godzina trzynasta, gdy Bernacki przekroczył bramę posesji oznaczonej numerem trzydzieści. Dom stojący około dwudziestu metrów od ulicy wyglądał na nie zamieszkały. Z pozbawionych firanek okien wiało chłodem i pustką, a na drzwiach wejściowych wisiała ogromnych rozmiarów kłódka. Bernacki minął drewnianą, wiekową już chałupę i zatrzymał się przy niskiej, długiej, krytej papą szopie. Przez długą chwilę stał nieruchomo, nasłuchując, ale z wnętrza szopy nie dochodziły żadne

odgłosy. Ostrożnie zbliżył się do uchylonych drzwi i otworzył je na oścież. Skrzypienie zawiasów obudziło parę białych gołębi śpiących na dachu. Zerwały się z trzepotem skrzydeł i po krótkim locie usiadły na nagim, widocznie już uschlým konarze ogromnego, rosnącego przy południowym szczycie domu wiązu i prawie natychmiast zapadły w drzemkę. Bernacki odruchowo klasnął w dłonie bardziej po to, by zwrócić na siebie uwagę, niż by zmusić rozespane ptaki do lotu i wszedł do ciemnej, pozbawionej okien szopy.

— Jest tu kto? — zapytał donośnym głosem, posuwając się wzdłuż ściany w głąb zbudowanego z grubych bali budynku.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Przystanął więc i wyteżając wzrok, zaczął lustrować zagracone pomieszczenie. Na nieudolnie skleconych półkach leżały zużyte opony samochodowe, pordzewiałe felgi, zwoje drutu i wiele innych przedmiotów, których przeznaczenia Bernacki nie znał. W kącie naprzeciwko drzwi piętrzyły się drewniane skrzynki, a obok nich leżały małe, dziecinne sanki i kilka kanistrów. Wysoko, na wbitych w belki gwoździach, wisiały naftowe lampy, pęki kluczy, stare ubrania, ramy do oprawiania obrazów, parę masywnych, wykonanych z grubego drutu pogrzebaczy, a tuż przy ścianie zwisała teczka z dermy i duża czerwona torba. Bernacki podszedł do stosu skrzynek, wziął jedną z nich i postawił tak, aby po wejściu na nią, bez trudności zdjąć i teczkę, i torbę, następnie położył swoją na półkę, wspiał się na skrzynkę, sięgnął ręką najpierw po torbę, a później po teczkę i wyrzucił je na zewnątrz szopy. Zeskoczył z chwiejącej się i trzeszczącej skrzynki, chwycił swoją teczkę i wybiegł na powietrze.

— Kim pan jest i czego pan tu szuka!? — usłyszał nagle groźny głos.

Spojrzał w stronę, skąd dochodził i ujrzał młodego, najwyżej dwudziestoletniego wysokiego blondyna, uzbrojonego w krótką, drewnianą pałkę.

— Jestem z milicji — odparł prędko. — A szukam pana Czyżyka. Powiedziano mi, że go tutaj zastanę. Oto moja legitymacja!

Mężczyzna nieufnie przyjrzał się Bernackiemu, potem zdjęciu w legitymacji, podrapał się po głowie i powiedział:

— Był tu, ale rano. Widziałem, jak wyjeżdżał swoją ładą. Musi pan pójść do zakładu — poradził już grzecznie i odrzucił pałkę.

— Tak zrobię — oświadczył Bernacki. — Mieszka pan może tutaj? — wskazał wzrokiem stojącą nie opodal chałupę.

— Nie — odrzekł młodzieniec. — To należy do mojego dziadka.

— Szopa także?

— Tak. Z tym że od paru lat korzysta z niej tylko Czyżyk. Służy mu jako garaż. Ja mieszkam po sąsiedzku, w tym murowańcu — pokazał ręką piętrowy, elegancko wykończony dom. — Bardzo rzadko tu przychodzę.

— A dziadek?

— O! Nie było go tutaj co najmniej ze trzy lata. Mieszka u swojego syna, a mojego wuja w L. Może chce pan jego adres!?

Bernacki przecząco pokręcił głową.

— Więc to wszystko, co znajduje się w szopie, należy do Czyżyka!? — zapytał i schylił się, aby zbadać zawartość znalezionych w niej toreb.

Młodzieniec zastanowił się przez chwilę.

— Szczerze mówiąc, to nie wiem. Myślę jednak, że

dziadek wyjeżdżając pozbył się co wartościowszych rzeczy z tej budy, a zostawił Czyżykowi same rupiecie.

— A te torby? — zapytał Bernacki, mocując się z suwakiem. — Wyglądają na nowe...

Młodzieniec przykucnął obok kapitana.

— Jestem przekonany, że należą do Czyżyka. Pomóc panu?

Bernacki podał mu teczkę.

— Jeśli ma pan ochotę — powiedział. — No i jak panu idzie? — zapytał po chwili i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: — Moja chyba dawno nie była otwierana, wszystkie suwaki zardzewiały...

— A ja już swoją otworzyłem — pochwalił się młody człowiek. — Daj pan tę torbę, może mnie się powie-dzie.

Bernacki szybko przekazał czerwoną, brezentową torbę uczynnemu młodzieńcowi, sam zaś zajął się oględzinami teczki.

— A właściwie to czego pan szuka w tej budzie? — zainteresował się blondyn. — Czyżyk to spokojny facet. Nie pije, obraca się raczej w porządnym towarzystwie, pracuje...

— O tym wszystkim to ja wiem — przerwał mu Bernacki. — A czego tu szukam? Sam nie wiem — mruknął pod nosem. — W każdym razie w tej teczce nie znalazłem niczego ciekawego.

— Sprawdź więc pan wnętrze torby — rzekł tryumfalnie młodzieniec i podał ją Bernackiemu. — Suwak zacina się, ale jak pan widzi, poradziłem sobie. Ma się to wycucie w palcach — przechwalał się.

Bernacki chwycił torbę i wytrząsnął jej zawartość na ziemię. Uwagę jego zwrócił wąski, najwyżej trzydziestocentymetrowej długości przedmiot, owinięty w szary, pakowy

papier i dokładnie obwiązany cienkim drutem i dodatkowo jeszcze mocnym, jedwabnym sznurem.

— Trzeba by to jakoś rozpakować — powiedział. — Ma pan może nóż?

Młodzieniec przecząco pokręcił głową, następnie wstał i poszedł do szopy. Po chwili wyszedł z kosą w dłoni.

— Chyba sobie poradzimy — powiedział śmiejąc się.

Bernacki również roześmiał się i kiwnął przyjaźnie głową.

— Tylko ostrożnie. Nie skalecz się pan — przestrzegał wrzucając do torby wysypane uprzednio na ziemię nakrętki, śruby i inne drobne metalowe przedmioty. Chłopak zajął się natomiast rozpakowywaniem paczki. Poszło mu to nadzwyczaj sprawnie. Jednym pociągnięciem kosy przeciął drut i sznurek, rękami rozerwał papier.

— A może tego pan szuka? — zapytał podając Bernackiemu dwie tablice rejestracyjne.

Bernacki spojrzał na numery i aż zaniemówił z wrażenia, a po plecach przebiegł mu dreszcz. Usiadł na trawie i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak w bezruchu może minutę. Krew odpłynęła mu z twarzy, serce jak oszalałe tłukło się w piersi.

— Boże! Jakie to proste! — rzekł w końcu patrząc na zdezorientowanego, nic nie rozumiejącego młodzieńca. — Jakie to wszystko proste! — powtórzył podnosząc z ziemi tablice. — Czy może pan je odczytać? Tylko głośno i wyraźnie — poprosił.

Blondyn wzruszył ramionami, podejrzliwie obserwując zmienioną twarz milicjanta.

— LUD zero pięćset czterdzieści pięć — wydeklamował.

— A może wie pan, do kogo one należą!?

— Nie, nie wiem — spokojnie odparł młodzieniec. — Pewnie do Czyżyka, bo ani dziadek, ani jego synowie nigdy nie mieli samochodu. Zresztą w naszym mieście takich nie wydają, powinien pan wiedzieć o tym...

— Wiem, wiem — wpadł mu w słowo Bernacki, powoli dochodząc do siebie. — O której go pan widział? — zapytał z trudem opanowując drżenie głosu. Na niespodziewane rozstrzygnięcia czy nieoczekiwane zmiany w śledztwie wciąż reagował jak początkujący milicjant. Wiedział, że nigdy nie nauczy się panować nad emocjami, które w takich chwilach brały go w swe posiadanie.

— Rano, trzy, cztery godziny temu — odparł blondyn i wstał. — Już zresztą o tym mówiłem.

Bernacki również podniósł się i przyciskając tablice do piersi jak najdroższy skarb, zaczął zastanawiać się, co powinien uczynić teraz, gdy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności czy też przypadkowi dysponuje prawie że dowodem winy Czyżyka.

— Będę musiał dokładnie przeszukać tę budę — powiedział. — Pomoże mi pan?

Młodzieniec skrzywił się. Widać było, że propozycja milicjanta niespecjalnie mu się spodobała.

— Prawdę powiedziawszy, to nie mam zbyt wiele czasu, ale jeśli trzeba — rzekł przestępując z nogi na nogę. — A czy teraz wie pan, czego mamy szukać? — zapytał z przekąsem.

Bernacki chwilę milczał, potem spojrzał na niego i lekko uśmiechnął się. Pomyślał, że to dobrze, że ten młody człowiek znajduje się przy nim, że był obecny przy znalezieniu tablic rejestracyjnych samochodu, który ostatniej nocy stał przed domem Kowalskiej i że będzie dobrym świadkiem. Wrzucił tablice do swojej teczki i odparł:

— Niestety, nadal liczę na szczęście.

Młodzieniec popatrzył z politowaniem na milicjanta.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak długo nie możecie wykryć mordercy — powiedział, nawet nie starając się ukryć ironii. — Liczyć na szczęście to można, ale w grze w toto-lotka.

Bernacki poklepał go po ramieniu.

— Masz rację — rzekł przechodząc na ty. Szybko jednak, widząc niezadowolenie na twarzy blondyna, wrócił do poprzedniej formy. — No więc jak, pomoże mi pan czy nie?

Chłopak zamyślił się.

— A co mi innego zostało!? Pewnie zechce mnie pan też przesłuchać na okoliczność znalezienia tych tablic — domyślił się.

— Tak, to konieczne! — potwierdził Bernacki.

— I będę musiał zeznawać w sądzie!?

— Jeśli dojdzie do rozprawy.

— No to się nieźle wpakowałem — oświadczył uśmiechając się smutno.

— A zatem nie pozostaje nam nic innego, jak wziąć się do roboty. I niech się pan nie martwi na zapas.

Chłopak z rezygnacją machnął ręką i wszedł do szopy. Bernacki stał jeszcze chwilę szczęśliwy, że wreszcie udało mu się trafić na właściwy trop. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że dopomógł mu w tym przypadek, ale z doświadczenia wiedział, że tego typu przypadki zdarzają się tylko tym, którzy nań zapracowują. Zlustrował wzrokiem sąsiednie podwórka i ulice, gdyż nagle przyszło mu na myśl, że może być obserwowany przez krawca. Nikogo jednak nie spostrzegł. Pogwizdując podjął z ziemi teczkę z tablicami i ruszył do szopy, w której z nadąsaną, apatyczną miną

grzebał już w rupieciach sympatyczny młodzieniec, mimowolny świadek jego sukcesu.

Przeszukanie garażu nie trwało długo, zaledwie piętnaście minut. Oczywiście niczego, co by w jakiś sposób wiązało się ze śledztwem, nie znaleźli. Bernacki po namyśle doszedł do wniosku, że we dwóch nie poradzą sobie, że i tak będzie musiał ponownie przeszukać szopę, ale przy udziale ekspertów z dziedziny mechanoskopii i innych specjalistów. Decyzje o przerwaniu rewizji młodzieniec przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Pomógł zaplombować pomieszczenie, obiecał zawiadomić komisariat, gdyby Czyżyk usiłował dostać się do szopy albo tylko pokazał się w pobliżu, ochoczo podpisał protokół przeszukania oraz złożone na protokół przesłuchanie świadka zeznania. Zobowiązał się także zachować tylko dla siebie to wszystko, o czym dowiedział się od inspektora Bernackiego. Pożegnali się na ulicy przy furtce. Bernacki mocno uścisnął dłoń uczynnego młodzieńca.

— Dziękuję za pomoc — powiedział. — I do zobaczenia.

— Drobiazg. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać — odparł uśmiechając się z zakłopotaniem. — I życzę ostatecznego sukcesu, bo...

— Wiem, co ma pan na myśli! — nie dał mu skończyć Bernacki. — Wyobrażam sobie, co ludzie myślą o naszej pracy.

Modzieniec uśmiechnął się dwuznacznie.

— Żeby tylko myśleli — powiedział, włożył ręce do kieszeni i wolno poszedł wzdłuż płotu w stronę piętrowego domu, stojącego na skraju dużego, co najmniej kilkuhektarowego sadu. Bernacki westchnął i wzruszył ramionami.

Coraz mniej obchodziło go to, co ludzie mieli do powiedzenia o jego pracy. Najważniejsze, że on sam nie miał sobie nic do zarzucenia. Swoje obowiązki starał się wykonywać rzetelnie i godnie. Wprawdzie często na efekty pracy musiał czekać kilka tygodni czy nawet miesięcy, ale to nie zrażało go. Nauczył się cierpliwości, wiedział też, że tylko systematyczne, wytrwałe i uparte dążenie do celu zapewnia powodzenie w tym trudnym, męskim zawodzie.

Teraz po kilkunastu dniach harówki znajdował się o krok od wielkiego sukcesu. Po krótkim namyśle postanowił, że sprawę doprowadzi do końca sam, że będzie to tylko i wyłącznie jego zwycięstwo. Ściskając pod pachą teczkę z dowodem rzeczowym o kapitalnym wręcz znaczeniu, szedł pochłonięty tylko jedną myślą. Pragnął jak najprędzej znaleźć się w zakładzie krawieckim Czyżyka i zadać mu kilka pytań, które sprowadzały się w zasadzie do jednego podstawowego: dlaczego zabijał, bo że to krawiec był mordercą, Bernacki nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W tym przekonaniu utwierdzała go także opinia lekarza medycyny sądowej. Intrygowało go również, co powie Czyżyk na temat swojej wizyty w komisariacie. W każdym razie zapowiadała się pasjonująca rozgrywka z mordercą. Przeszył go dreszczyk emocji, przyspieszył kroku, a na plac Wolności prawie że wbiegł. Za kwadrans piętnasta wkroczył na schody prowadzące do zakładu krawieckiego Czyżyka. Delikatnie zastukał w drzwi, po czym odczekawszy chwilę, nacisnął klamkę. Znalazł się w długim, wąskim pomieszczeniu, pomalowanym na bladoniebieski kolor. Na ścianach wisiały reprodukcje obrazów znanych malarzy oraz kilka oprawionych w grube drewniane ramy dyplomów przyznanych właścicielowi pracowni za osiągnięcia w szkoleniu uczniów. Ogromny krawiecki stół zavalony był be-

lami materiałów. Obok stołu przy ścianie stała stara maszyna singer, a w kącie na taborecie najnowszy model łucznika. Podłoga zaścielona była różnokolorowymi ścinkami. Tylko garnitury wisiały w równym szeregu na długim metalowym drażku, równolegle do okna, eleganckie, dobrze świadczące o umiejętnościach tego, kto je uszył.

Czyżyk wstał na widok milicjanta, rzucił na stół marynarkę, do której przyszywał guziki, wytarł dłonie o fartuch. Nie wyglądał na zaskoczonego wizytą.

— Co za niespodzianka! — powiedział uśmiechając się szeroko. — Przepraszam za bałagan. Trzeba było mnie uprzedzić, posprzątałbym trochę...

Bernacki uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń. Wydała mu się jeszcze grubsza i potężniejsza. Wydobył spod stołu taboret i usiadł.

— Mogę? — zapytał. — Nachodziłem się dzisiaj...

— Ależ oczywiście, panie kapitanie! Czym mogę służyć? — krawiec stał przed nim wyprostowany i patrzył wyczekująco. — Pewnie przygotował pan spotkanie z tą dziwką Kowalską — domyślał się. — Zgadłem!?

Bernacki pokręcił przecząco głową.

— Nie! — rzekł krótko, wpatrując się z natężeniem w twarz Czyżyka.

— Całe szczęście! — odetchnął krawiec. — Dzisiaj wyjątkowo nie mam czasu. O siedemnastej muszę być w L. Obiecałem klientowi, że przywiozę mu garnitur. Trzeba dbać o renomę firmy.

Bernacki wstał, podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

— Bardzo mi przykro, panie Czyżyk, ale musi pan zmienić plany na dzisiejszy dzień — powiedział twardo, nie spuszczając z niego wzroku. — Chciałem jeszcze pana

poinformować, że w ogóle zrezygnowałem z konfrontowania pana z Kowalską.

— To wspaniała nowina! — wykrzyknął krawiec. — Wiem, że nie darzy mnie sympatią, ale po takiej konfrontacji zniechęciłaby mnie na całe chyba życie — urwał na moment. — No a co do zmiany moich planów, to chyba pan żartuje. Za pół godziny muszę jechać — zakończył zerkając na zegarek i usiadł na taborecie, na którym uprzednio siedział Bernacki.

Milicjant pokiwał ze zrozumieniem głową. Powiedział jednak:

— To niemożliwe, panie Czyżyk! Zbyt wiele mamy sobie do powiedzenia!

Czyżyk milczał przez długą chwilę. Zastanawiał się przyszykując wargi, co ma odrzec.

— Ale dlaczego pan nie siada!? Proszę uprzejmie — podsunął krzesło.

Bernacki wyjął klucz z zamka i wrzucił go do kieszeni marynarki. Minę miał groźną, ponurą. Usiadł na krześle i powiedział zjadliwie:

— No, teraz możemy sobie spokojnie pogadać. Nikt nam nie przeszkodzi, a i panu też chyba nie wpadnie do głowy głupi pomysł pozostawienia mnie w tej pańskiej pracowni.

Czyżyk rozejrzał się szybko i niepewnie po zakładzie, jakby znalazł się w nim po raz pierwszy w życiu. Powoli zaczął pojmovać, do czego zmierza siedzący przed nim i nie spuszczaający z niego wzroku milicjant.

— Bardzo mi przykro, ale nie wiem, o co panu chodzi — rzekł bojaźliwie i uśmiechnął się przepraszająco. — Naprawdę, proszę mi wierzyć!

Bernacki spojrzał na niego z niesmakiem. Pełna, nalana twarz krawca poczerwieniała, uszy nabrały siniego koloru.

— A ja myślę, że jest zupełnie odwrotnie — powiedział podniesionym tonem.

Czyżyk potarł dłonią brodę. Widać było, że rozważa słowa, które wreszcie dotarły do niego. Nagle wstał, zrobił pogardliwą minę i oznajmił:

— Opowiada pan bzdury. Wszystko, co wiedziałem w sprawie morderstwa Pawła Kowalskiego, jest zapisane w aktach śledztwa. Nic nowego nie mam do dodania. A teraz proszę oddać mi klucz i opuścić pracownię.

Bernacki uśmiechnął się. Czekał na te słowa. Siłąc się na obojętny ton, powiedział:

— Nakłamał pan do protokołu! A uprzedzałem, że za złożenie fałszywego zeznania grozi kara więzienia do lat pięciu. I co pan na to?

Czyżyk przeszedł się po pracowni. Następnie przysiadł na taborecie i zamyślił się na chwilę.

— To ta dziwka musiała nagadać na mnie niestworzonych rzeczy! — wybuchnął. — Zapłaci mi za to, oj, zapłaci... — zacisnął pięści.

Bernacki przysunął się bliżej rozjuszonego krawca i położył poufale rękę na jego ramieniu.

— Spokojnie, panie Czyżyk! Proszę nikogo nie winić. Popęlnił pan błąd — stwierdził powstrzymując drżenie głosu. — Nie ma dla pana ratunku! — zakończył usiłując zajrzeć mu w oczy.

Czyżyk poruszył się niecierpliwie, zrzucił dłoń milicjanta ze swojego ramienia i warknął:

— Pan jest szalony.

Bernacki wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

— Czyżby!

— Pan jest szalony! — powtórzył krawiec z wściekłością. — Jeśli dobrze zrozumiałem, to pan mi niedwuznacznie zarzuca, że to ja zabiłem Pawła, Kazika,

Hankę. Czy tak?! — spojrzał nienawistnie na Bernackiego.

Ten obojętnie pokiwał głową. Postanowił za wszelką cenę zachować spokój i opanowanie.

— Trafnie pan odczytał moje intencje. Jest pan inteligentnym człowiekiem — powiedział z przekąsem i poprawił krawat.

— Żałuję, że nie mogę tego samego powiedzieć o panu — pospiesznie rzucił Czyżyk. — A może pan przyszedł pokpić sobie ze mnie! Co? I pomyśleć, że uważałem pana za porządnego, poważnego milicjanta. Jak to łatwo się pomylić. Proszę o klucz! — wyciągnął rękę. — Albo złożę na pana skargę!

— Proszę się uspokoić! — powiedział łagodnym głosem Bernacki. — Mówił coś pan o tej zamordowanej trójce. Mam prośbę, kontynuujmy ten wątek. Wydaje mi się najciekawszy. Co pan sądzi o mojej propozycji!?

Czyżyk zazgrzytał zębami, opuścił głowę. Zwlekał przez długą chwilę z odpowiedzią. Wreszcie tubalnym, warkliwym głosem odparł:

— Chyba będę musiał pana wyrzucić na zbity łeb.

Rysy twarzy Bernackiego stwardniały.

— Jest pan niegrzeczny — rzekł. — A do tego nie odpowiedział mi pan na zadane pytanie. Mam je powtórzyć?

Krawiec z coraz większym trudem tłumił narastającą w nim wściekłość. Podniósł głowę i ostentacyjnie zaczął przyglądać się twarzy siedzącego naprzeciwko milicjanta.

— Niech pan nie zapomina, że znajduje się w prywatnym lokalu...

— To nie ma najmniejszego znaczenia — przerwał mu impulsywnie Bernacki. — Dzisiejszą noc spędzi pan już w areszcie. Jak więc pan widzi, sytuacja pańska jest bezna-

dziejna i nie pozostaje nic innego, jak przyznać się do popełnienia tych zbrodni.

— Szuka pan głupiego?! — burknął krawiec.

— Nie! Szukam mordercy!

— I uważa pan, że to ja nim jestem!?

— Tak! Na sto procent!

— Ma pan jakieś dowody na to?

Bernacki wstał. Ucieszyło go to pytanie. Pragnął, aby to właśnie morderca je zadał. Wyjął z teczki tablice rejestracyjne i rzucił je na kolana Czyżyka.

— Wystarczy? — zapytał.

Czyżyk znieruchomiał. Z jego okrągłej twarzy odpłynęła chyba wszystka krew. Oddychał ciężko, nieregularnie. Widać było, że nie zdobędzie się na udzielenie odpowiedzi.

— Pytałem, czy wystarczy!? — ponaglił go Bernacki.

Krawiec zamrugał oczami i przecząco pokręcił głową. Powoli wracał do siebie. Twarz nabierała kolorów, oddech stawał się równomierny. Przyglądał dłonią swoje sztywne włosy i wymamrotał:

— Mało! To o niczym nie świadczy!

Bernacki uśmiechnął się cierpko i skinął ze zrozumieniem głową.

— Tak przypuszczałem! — powiedział z tajemniczą miną. — Ale to jeszcze nie wszystko, co przygotowałem. Wyobraź pan sobie, że znalazłem też rękawiczki, które miał pan na rękach, gdy udusił Hankę Kozicką oraz marynarkę, na której nasi eksperci znaleźli krew należącą do Kazika Ostrowskiego. Myślę, że to już wystarczy!? — spojrzał pytająco na ściągniętą przestraczem twarz Czyżyka. — Nie mamy jeszcze pręta, którym zamordował pan Pawła Kowalskiego, ale myślę, że jest gdzieś w tej szopie przy Tarabelskiej.

Czyżyk milczał przez chwilę. Zwęszył podstęp.

— Blefujesz pan, panie glino! — wrzasnął.

Bernacki zmarszczył brwi i uśmiechnął się. Widział narastającą w oczach krawca wrogość. Postanowił do reszty wyprowadzić go z równowagi. Zbliżył się do niego i powiedział beznamyślnym głosem:

— Załatwiłem cię, panie majster. Dokładnie, precyzyjnie i już mi się nie wymkniesz. Będziesz wisieć! — zakończył dobitnie i poklepał krawca po udzie.

Ten poderwał się gwałtownie, chwycił tablice i rzucił nimi o ścianę.

— To się jeszcze okaże! — wysyczał. Potem podszedł do okna, odchylił firankę, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje i wrócił na swoje poprzednie miejsce. — Nie uda ci się mnie wykołować — dorzucił wpatrując się z nienawiścią w oczy kapitana.

— Już to zrobiłem — spokojnie powiedział Bernacki. — Nie masz najmniejszej szansy na uratowanie głowy.

— Myli się pan — niespodziewanie grzecznym tonem oświadczył krawiec. — Istnieje taka możliwość. Nawet dwie.

— A więc przyznaje się pan do zabójstwa!? — pośpiesznie zapytał Bernacki, również wracając do formy pan. — Bo z tego, co pan dotychczas powiedział, pozwoleń sobie wysnuć taki wniosek...

Czyżyk zaśmiał się krótkim szyderczym śmiechem.

— Jest pan naiwny. Nigdy nie usłyszysz pan z moich ust takiego wyznania — oświadczył twardo.

Bernacki wyjął chusteczkę i wytarł czoło. Rozgrzała go ta rozmowa.

— W zasadzie jest mi ono niepotrzebne. W takich jak ta sprawach decydujące znaczenie mają dowody. A te jednoznacznie wskazują pana jako mordercę — powiedział i usiadł na stole. — I dlatego mam wątpliwości co do

możliwości uratowania przez pana głowy. Nie znaczy to jednak, że nie jestem ciekawy, w jaki sposób masz pan zamiar to uczynić. Głowę ma się tylko jedną i trzeba walczyć o jej zachowanie.

Czyżyk poruszył się niespokojnie. Na jego twarzy błędził zły uśmiech. Rozzłościły go kpiny inspektora. Spojrzał na niego niechętnie i rzekł:

— Po pierwsze, myślę, że się dogadamy. Nie za darmo, oczywiście.

Bernacki z wrażenia zamrugał oczami. Nie spodziewał się tej propozycji. Przestępcy kryminalni nie mieli zwyczaju przekupywać milicjantów. Robili to defraudanci, przestępcy gospodarczy, dewizowi, sprawcy wypadków drogowych. No ale Czyżyk nie był typowym kryminalistą.

— A druga możliwość? — zapytał.

— No cóż, będę musiał pozbyć się pańskiego towarzystwa — odpowiedział krawiec. Zabrzmiało to dość złowrogo.

W pracowni zapanowała cisza. Bernacki w napięciu obserwował siedzącego przed nim przestępcę. Pomyślał, że w walce z nim nie miałby najmniejszych szans na zwycięstwo. A broni palnej przy sobie nie miał.

— Ciekawy jestem, w jaki sposób? — zapytał postukując palcami o blat stołu. — Czy równie gwałtownie jak z tamtymi?

Czyżyk z uznaniem kiwnął głową.

— Jest pan domyślny! — mruknął.

— Więc nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na pańską propozycję. Jaką kwotę pan proponuje?

Czyżyk obrzucił kapitana niedowierzającym spojrzeniem.

— Wszystko, co mam — odrzekł szybko. — Milion złotych i pięć tysięcy zielonych. Myślę, że jest to rozsądna kwota.

Bernacki z wrażenia aż zagwizdał. Zeskoczył ze stołu i przeszedł się po pracowni.

— A jeśli odrzucę tę ofertę? — zapytał zatrzymując się przed Czyżykiem.

— Cóż, byłoby mi bardzo przykro z tego powodu, bo chyba wie pan, co musiałbym zrobić...

Znów na przeciąg kilkunastu sekund zapanowała cisza. Atmosfera w pracowni stawała się coraz cięższa, prawie nie do zniesienia.

— No tak, w pańskim przypadku jedno morderstwo więcej — powiedział Bernacki i machnął niedbale ręką — nie zmienia sytuacji. Nic już i nikt nie zdejmie z pańskiej szyi stryczka.

Czyżyk przyjrzał się uważnie Bernackiemu i niespodziewanie zaniósł się gwałtownym śmiechem.

— Tylko że najpierw trzeba będzie mnie złapać! — powiedział mrużąc oczy. — Bo chyba nie myśli pan, że nie przygotowałem na wypadek wpadki planu ucieczki. Jest doskonały!

— Znając pańską przebiegłość i inteligencję przypuszczam, że jest tak doskonały jak te morderstwa, których się pan dopuścił — zauważył z nie ukrywaną ironią Bernacki.

Czyżykiem znów zatrząsło. Zerknął na zegarek i warknął:

— Więc na co ostatecznie pan się decyduje!?

— Oczywiście że na polubowne załatwienie sprawy — odpowiedział pospiesznie Bernacki. — Mam jeszcze ochotę zrobić coś pożytecznego w swoim życiu, no i wreszcie będę miał pieniądze!

Czyżyk zamyślił się. Po chwili na jego wargach pojawił się uśmiech.

— Zmieniam zdanie o panu! — powiedział. — Jest pan rozsądnym człowiekiem. Zresztą przyznam się panu, że od początku wierzyłem, że się dogadamy.

Bernacki sięgnął po taboret i usiadł naprzeciwko krawca. Westchnął głęboko, położył dłoń na kolanie Czyżyka i oświadczył nieśmiało:

— Musi pan jednak spełnić jeden warunek.

Czyżyk odsunął się, zmarszczył krzaczaste brwi i mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

— Czy może pan powtórzyć? — poprosił grzecznie Bernacki.

— Powiedziałem, że słucham! — warknął krawiec.

Bernacki przełknął ślinę. Zaczął żałować, że przyszedł tu sam. Nie mógł jednak okazać strachu.

— To nic ważnego czy istotnego — zaczął niezdecydowanie. — Chciałbym po prostu dowiedzieć się, dlaczego zabił pan, przepraszam, dlaczego zginęła Hanka Kozicka, dlaczego zamordowani zostali Kazik Ostrowski i Paweł Kowalski, no i cholernie jestem ciekaw, dlaczego przyszedł pan wtedy do komisariatu. Przecież nikt pana nie niepokoił i nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, aby wezwać pana na przesłuchanie czy też rozpocząć inwigilację jakiegoś tam krawca.

Czyżyk popadł w zadumę. Patrzył uważnie na Bernackiego. Zastanawiał się, czy powinien zaufać temu przemądrzałemu gliniarzowi i czy nie jest to tylko z jego strony gra na zwłokę. Wstał, położył rękę na ramieniu milicjanta i wolno, wyraźnie powiedział:

— Dobrze, usłyszysz pan to, co chce. Ale ostrzegam, jeśli nie dotrzyma pan słowa, zabiję bez skrupułów — przestrzegał.

Bernacki drgnął. Po raz pierwszy Czyżyk wypowiedział się jasno i konkretnie. Dotychczas unikał używania zbyt drastycznych słów.

— Wiem o tym! — rzekł, chwycił wciąż leżącą mu na ramieniu rękę Czyżyka i odrzucił ze wstrętem. —

Chciałbym zobaczyć forszę — dodał patrząc mu prosto w oczy.

Czyżyk podrapał się po brodzie, rozejrzał się dookoła i podszedł do stołu. Pochylił się i zaczął manipulować przy nodze. Trwało to kilkadziesiąt sekund. Wreszcie wyjął z urządzonej tam skrytki dwie zielone koperty i podał je Bernackiemu. Ten szybko rozerwał je i drżącymi rękami zaczął wykladać banknoty na stół.

— Nie będę drobiazgowy — powiedział patrząc posępnie to na Czyżyka, to na pieniądze. — Wierzę, że jest tu tyle, ile pan wymienił.

— Proszę policzyć — warknął krawiec. — Zarobiłem je uczciwie na saksach...

— Zrobię to w komisariacie, przepraszam, w domu — poprawił się szybko Bernacki widząc tężejącą z nienawiści twarz Czyżyka. — Proszę mi wierzyć, ja się naprawdę przejęczyłem.

Czyżyk włożył ręce do kieszeni fartucha i popatrzył z politowaniem na Bernackiego.

— Wierzę panu, kapitanie. Zresztą jeśli zmieni pan zdanie, to tym samym wyda pan na siebie wyrok śmierci. Radzę o tym pamiętać!

Bernacki po raz drugi tego dnia poczuł przebiegające mu po plecach dreszcze. Rozluźnił krawat, po czym włożył banknoty do kieszeni.

— Postaram się — rzekł pośpiesznie, żałując, że zamknął drzwi na klucz. Pomyślał, że powinien je jak najszybciej otworzyć. Przywołał na twarz uśmiech, wstał, podszedł do maszyny i obejrzał ją, potem zainteresował się skrytką w nodze stołu. Krawiec ani na chwilę nie spuszczał go z oczu.

— Prawda że sprytnie pomyślana? — powiedział nie bez dumy w głosie.

Bernacki kiwnął głową.

— Jeszcze takiej nie widziałem! Sam pan ją zrobił? Czyżby rozłożył ręce.

— Nie pamiętam — odparł i uśmiechnął się drwiąco. — Nie za dużo chciałby pan wiedzieć?

Bernacki wzruszył ramionami.

— Najpierw chciałbym poznać okoliczności śmierci Hanki Kozickiej i jej przyjaciół. Obiecał mi pan to...

— Pamiętam, pamiętam — mruknął krawiec. — Mam nadzieję, że nie ma pan magnetofonu — podskoczył do milicjanta i obszukał go dokładnie. — W porządku. Broni też pan nie ma? — zdziwił się.

Bernacki uśmiechnął się z zażenowaniem, wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni klucz i podszedł do drzwi.

— A będzie mi potrzebna? — zapytał i zaśmiał się rozbrajająco. Potem włożył klucz do zamku i otworzył go.

Czyżby przyglądał mu się z lekceważącym uśmiechem na ustach.

— Przygotowujesz pan sobie drogę odwrotu!?

— Ależ pan podejrzliwy, panie Czyżby — obruszył się Bernacki. — Powiedz mi pan wreszcie to, co mi pan obiecał, a wyniosę się stąd natychmiast.

— No to pytaj pan!

Bernacki chwilę milczał. Jak na razie wszystko przebiegało zgodnie z przewidywaniami. Bez specjalnych zabiegów skłonił krawca do zwierzeń.

— Pytanie jest proste! Dlaczego zabił pan Pawła Kowalskiego, no i gdzie to nastąpiło!?

Czyżby przełknął ślinę i zasępił się. Przez jakiś czas w milczeniu, z opuszczoną nisko głową chodził po swojej pracowni. Wreszcie zatrzymał się. Drżącą ręką sięgnął po leżące na taborecie obok stojącego na nim łucznika papierosy. Bernacki pospiesznie podał mu ogień. Krawiec podziękował, uśmiechnął się smętnie, usiadł i za-

czął zabawiać się puszczaniem kólek z papierosowego dymu.

— Chce pan wiedzieć, jak zginął Paweł?! — powtórzył pytanie. — Otóż do dzisiaj wyrzucam sobie, jak mogłem się tak pomylić! Możesz mi pan nie wierzyć, ale ja naprawdę nie chciałem go wtedy zabić. Tego wieczoru poszedłem do zakładu Ostrowskiego z zamiarem zlikwidowania Kazika, a nie Pawła. Pawła chciałem załatwić w drugiej kolejności. Wiedziałem, że Kazik, jak co dzień, będzie wracał do B. motocyklem. Stałem za drzewem i cierpliwie czekałem, aż wyjedzie na drogę. Wreszcie pokazał się. Uderzyłem go kilka razy metalowym prętem, a gdy przewrócił się, wywiozłem na szosę pod Piotrków. Dopiero rano dowiedziałem się, że zabiłem niewłaściwego człowieka — urwał na moment, zmarszczył brwi. — Po jakiego diabła przylazł on wtedy do zakładu. Być może, żyłby chłopak do dzisiaj, bo w zasadzie przebaczyłem mu. Nieszczęśliwy chłopak — znów przerwał wpatrując się tępo w jedną z reprodukcji. — Sam zresztą nie wiem — dodał.

Bernacki ze zgrozą stwierdził, że krawiec zachowuje się tak, jakby był najspokojniejszym obywatelem B. Starając się utrzymać nerwy na wodzy, zapytał:

— Nadal nie mogę pojąć, dlaczego chciał pan zabić Ostrowskiego!? Może chodziło o pieniądze? — spróbował się domyślić.

Czyżyk zamachał rękami. Rzucił niedopałek papierosa na podłogę i zdusił go obcasem. Potem odchrząknął i rzekł ze zdziwieniem:

— Panie, tego pan nie wiesz!? To w mieście nie trąbią, że Czyżyk zabił Kowalskiego i Ostrowskiego, bo zabrali mu Iwonę...

— Jaką Iwonę? — przerwał mu Bernacki. — Kowalską? Krawiec pokiwał z politowaniem głową.

— Tak, panie milicjancie! Śliczną, zimną Iwonkę Kowalską, żonę Pawła.

— To pan z nią, że tak powiem, kombinował!? — udał, że dopiero co dowiedział się o tym. — Nie wierzę!

— Panie kapitanie, czyżby i pan uważał, że brzydki, niezgrabny Czyżyk nie zasługuje na taką piękność!?

Bernacki zaprotestował urażonym tonem.

— Wprost przeciwnie! Jest pan przystojnym facetem...

— Dobra, dobra — przerwał mu bezceremonialnie krawiec. — W każdym razie musiałem ich zabić. Jeden ośmieszył mnie w oczach mieszkańców miasta, bo zabrał mi ją na tydzień przed ślubem, a drugi drwił sobie ze mnie i też mi ją ukradł... Wtedy postanowiłem, że się zemszczę.

— No i niestety dotrzymał pan słowa — powiedział smutnym głosem Bernacki. — Bronił się?

Czyżyk zmieszał się, poczerwieniała mu cała twarz.

— Kto? Ostrowski? — zapytał. — Ależ skądże! Był spity jak bela, spał.

— A dlaczego zabił pan Hankę Kozicką? — zapytał Bernacki i dotknął ręki mordercy. Pomyślał też, że jest zbyt grzeczny w stosunku do tego siedzącego przed nim człowieka, który wkrótce za popełnione zbrodnie zawisnie na szubienicy. Zdecydował, że nie zmieni formy zwracania się do niego.

— Nie wiem, jakim cudem dowiedziała się, że to ja zabiłem Pawła. Przyszła do mnie i zagroziła, że mnie sypnie...

— Przypuszczam, że domyśla się pan, od kogo dowiedziała się, że to pan jest mordercą — przerwał mu Bernacki.

— Oczywiście! A pan? — zapytał obojętnie.

— Sądzę, że od Iwony Kowalskiej. Cały czas miałem wrażenie, że wiedziała, iż to pan jest człowiekiem, którego szukam.

— Zgadza się! — burknął Czyżyk. Wciąż zachowywał się, jakby rozmawiali o pogodzie. — Ostrzegłem ją, że jeśli zechce mnie zdradzić po raz drugi, zginie.

— Kocha ją pan nadal?

Czyżyk ukrył twarz w dłoniach. Nie spodziewał się tego pytania. Długo nie odpowiadał. Wreszcie podniósł wzrok i oświadczył:

— Szczerze mówiąc, tylko dlatego znajduje się jeszcze wśród żywych.

— I nie boi się pan, że któregoś dnia nie wytrzyma i przyjdzie do mnie czy do komisariatu i wyjawí to wszystko? — zapytał obserwując uważnie szeroką twarz krawca.

— Nie, bo wtedy będę już daleko stąd i bezpieczny.

Bernacki uśmiechnął się dwuznacznie. Nie uszło to uwagi krawca.

— Sądzi pan, że mi się to nie uda? — zapytał z udaną obojętnością.

— Nie to miałem na myśli — odrzekł spokojnie Bernacki. — Zadziwíá mnie pańska przezorność. Okazuje się, że ma pan plan ucieczki nie tylko na wypadek wpadki...

— A pan mnie rozczarowuje! — stwierdził Czyżyk. — Czyżby przypuszczał pan, że z założonymi rękami będę czekać, aż mi założycie na szyję stryczek?

— A więc liczył się pan z możliwością ujawnienia pańskiej działalności? — zdziwił się Bernacki.

— Oczywiście! — odparł Czyżyk i opuścił głowę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się krawiec.

— A co? Zaskoczyło to pana? — zapytał beznamiętnym głosem.

— Raczej tak — odpowiedział Bernacki powoli, ocierając dłonią czoło. — Zazwyczaj przestępcy liczą na bezkarność...

— Powiedz mi pan — przerwał mu niespodziewanie gwałtownie Czyżyk — jak pan wpadł na mój ślad. Ktoś mnie widział?

Bernacki wzruszył ramionami, kiwnął głową i rzekł ze śmiechem:

— Miał pan nieszczęście, że śledztwo powierzono najzdolniejszemu oficerowi w województwie. Czytuje pan kryminały?

Czyżyk przytaknął, wytarł dłonie w fartuch i zapytał:

— Co to ma do rzeczy!?

Bernacki machnął ręką, spojrzał z nie ukrywaniem politowaniem na krawca i odrzekł:

— Otóż w kryminałach genialnym milicjantom najczęściej przychodzi z pomocą szczęśliwy przypadek. I mnie to właśnie się przydarzyło. Do tego pomagają mi bardzo zdolni, pilni i drobiazgowi inspektorzy. Zadowolony z odpowiedzi?

Krawiec podniósł głowę i popatrzył na Bernackiego: niechętnie, z odrazą i pełnym niepokoju głosem zapytał:

— Więc oni wiedzą, że pan jest u mnie?

— Niestety! Wychodząc z komisariatu powiedziałem, że idę zamówić sobie garnitur. Mam nadzieję, że zrozumieli aluzję.

Czyżyk zamyślił się. Zdjął fartuch i rzucił go na stół. Wpatrując się w swoje ogromne dłonie, powiedział:

— Faktycznie musi pan być niezłym gliną.

— Dziękuję za uznanie — rzekł Bernacki i podszedł do okna. O szybę tłukła się czarna, duża mucha. Słońce oświeślało już tylko niewielki skrawek placu. Zbliżał się wieczór. Odwrócił się, westchnął głęboko i podejrzliwie obserwując twarz siedzącego w bezruchu mordercy, dorzucił: — Mimo to nie mogę zrozumieć pańskiego postępowania. Przez nikogo nie niepokoiony przychodzi pan do komisariatu. Po co, dlaczego?

Krawiec opuścił bezradnie ręce i zbladł.

— Wiem, że to był błąd — pospieszył z odpowiedzią. — Ale nie jest to takie irracjonalne, jak się panu wydaje. Po prostu zacząłem się denerwować tym, że nikt nie przychodzi mnie przesłuchać, zapytać o Hankę czy Pawła. Wiedziałem, że ludzie plotkują na mój temat, więc myślałem, że plotki te dotarły do was. Doszło do tego, że w nocy nie mogłem spać. Wreszcie postanowiłem przekonać się, czy jestem na liście osób podejrzanych...

— I co? — przerwał mu Bernacki. — Jakie wnioski wysnuł pan z naszej rozmowy?

— Że jestem poza wszelkimi podejrzeniami. I chyba się nie pomyliłem!? — zapytał z nadzieją w głosie, jakby to miało w tej chwili jakiekolwiek znaczenie.

— Doprawdy, wtedy nie przeszło mi nawet przez głowę, że siedzi przede mną człowiek, za którym ugania się kilkunastu milicjantów, trzykrotnie morderca...

Zapadło milczenie. Nie trwało jednak długo. Krawiec wstał, podszedł do dużego, wiszącego lustra, przyglądał włosy, wepchnął za pasek koszulę i oświadczył:

— Na szczęście mamy to już wszystko za sobą. Pan wie, kto zabił i jest bogaty, ja nie muszę się obawiać, że nad ranem przyjdą po mnie pańscy koledzy. Graba? — wyciągnął rękę.

Bernacki odwrócił się z nie ukrywanym wstrętem. Przez chwilę zastanawiał się. Wreszcie przezwyciężając narastającą w nim lęk, rzekł:

— No to zbieraj się pan! Idziemy!

Czyżyk zadrżał. Przez chwilę przyglądał się Bernackiemu z miną, jakby nie wiedział, o co chodzi. Potem zbliżył się do niego i chwycił go za ramię. Potrząsnął nim z całej siły i syknął:

— Nie wykołujesz mnie!

Bernacki nagłym szarpnięciem uwolnił się z uścisku. Obserwując rozjuszonego krawca kątem oka, wyrzucił na stół banknoty.

— Powiedziałem, zbieraj się! — rzekł twardo.

Krawiec stał nieruchomo z białą jak kreda, ściągniętą przestraczem i nienawiścią twarzą. Nagle chwycił taboret i powoli zaczął iść w stronę Bernackiego. Milicjant nie spuszczaając z niego wzroku zaczął wycofywać się w kierunku drzwi. Zrozumiał, że popełnił błąd. Postanowił jednak nie odstępować od powziętego zamiaru doprowadzenia mordercy do komisariatu. Złapał leżące na stole duże nożyce i powiedział stanowczo:

— Proszę to odłożyć!

Czyżyk podniósł taboret na wysokość piersi. Stał tak chwilę, po czym nieoczekiwanie postawił stółek i usiadł na nim.

— Żartowałeś pan? — rzucił patrząc lodowato na oficera.

Bernacki pokiwał z politowaniem głową. Ściskając potężne krawieckie nożyce w garści, odparł z wymuszonym uśmiechem:

— Nie myślałem, że jesteś pan aż tak naiwny. Chciałeś mnie kupić! Ja jednak nie jestem do kupienia. Za żadne pieniądze. Zapamiętaj to sobie! Zresztą wiedza ta na nic ci się już nie zda. Ciebie już nie ma. Rozmawiam z trupem!

— Ja także! — odparował błyskawicznie krawiec i wyciągnął szufladę biurka. Wyglądał strasznie. Wargi nabrały sinego koloru, a złowrogie spojrzenie świadczyło, że nie jest to czcza groźba. — Czy to twoje ostatnie słowo? — warknął.

Bernacki skinął głową. Był spokojny, opanowany.

— Oczywiście! — powiedział. — I jeszcze żeby cię przestrzec przed popełnieniem kolejnego głupstwa, zdradzę

ci, że w jednej z tych bel materiału ukryłem urządzenie, które nagrało całą tę naszą pogawędkę. Nie jesteś więc taki sprytny, za jakiego się uważasz.

Czyżyk włożył prawą rękę do szuflady. Długo milczał zamyślony, jakby nieobecny. W końcu oświadczył:

— A zatem będę cię musiał wysłać na tamten świat. Bóg mi świadkiem, że uczynię to z ogromną przykrością.

Bernacki nie odkładając nożyc, zrobił krok do przodu. Zaczęły ponosić go nerwy.

— Gruby, tępy palancie! — zawołał. — Zrozum, nie masz żadnych szans na ucieczkę, wieczorem będziesz już pił zbożową, gorzką aresztancką kawę.

— Jestem odmiennego zdania! — syknął krawiec. Potem spojrzął na zegarek i chrapliwym głosem dorzucił: — Daję ci na zmianę decyzji dwie minuty.

W pracowni zapanowała pełna napięcia cisza. Przeciwnicy mierzyli się wzrokiem. Trwali na swoich stanowiskach gotowi do odparcia ataku. Żaden z nich nie zamierzał ustąpić. Cisza przeciągała się. Wreszcie Bernacki spokojnym, pewnym głosem powiedział:

— Ubieraj się! Dalsze, a przede wszystkim szczegółowe wyjaśnienia złożysz w komisariacie przed prokuratorem wojewódzkim.

Czyżyk roześmiał się szyderczo, potrząsnął głową.

— Nigdy! — warknął, wsunął głębiej rękę do szuflady, wyciągnął z niej pistolet i wycelował w pierś Bernackiego. Ten błyskawicznie rzucił się na mordercę. W tej samej jednak chwili rozległo się głucho puknięcie. Bernacki skulił się, chwycił rękami za brzuch. Zobaczył na dłoniach krew. Wyprostował się i w tym momencie drugi pocisk przeszył mu płuca i utkwiał w ścianie. Zanim trzecia kula rozerwała mu serce, zdążył jeszcze pomyśleć, że już nigdy nie zobaczy rodziny i że dał się zastrzelić jak jakiś nowicjusz, i czy warto

było ginać... Nie zdążył już jednak odpowiedzieć sobie na te pytania...

Kilkadziesiąt minut później do zakładu krawieckiego Czyżyka wszedł mężczyzna, którego Bernacki poznał w południe i który powiedział mu o garażu na Tarabelskiej. Był lekko pijany. Przyszedł, aby obrabować i zabić krawca. Kilkanaście lat swojego nędznego życia spędził w więzieniu. Kiedyś w bójce na wiejskiej zabawie zabił młodego człowieka. Na procesie głównym świadkiem oskarżenia był Czyżyk. Niewiele wprawdzie widział, ale zabity był jego bliskim kuzynem i przymuszony przez rodzinę, musiał zeznać, że to właśnie Edmund Gawryło, bo tak właśnie nazywał się ów smutny jegomość, zadał śmiertelny cios. Skazano go na dwadzieścia pięć lat. Odsiedział osiemnaście. Do B. wrócił dopiero przedwczoraj. Przez osiemnaście lat obmyślał zemstę i oto dzisiaj nadszedł czas spełnienia jej. Zrabowane pieniądze zamierzał oddać dorosłemu już synowi, a potem powiesić się w sadzie przed domem swojej byłej żony, która nie tylko że nie pokazała się na procesie, ale natychmiast po wyroku rozwiódła się z nim. Żonie wybaczył, nienawiść do Czyżyka narastała w nim stając się obsesją.

Wkroczył do pracowni uzbrojony w długi rzeźnicki nóż... i zamarł w bezruchu z przerażenia. Widział wiele w swoim życiu koszmarnych scen: samobójców rozrywających sobie żyły kawałkiem drutu, szaleńców skaczących z dachu zakładu karnego na bruk. Jednak widok leżącego w kałuży krwi milicjanta wstrząsnął nim jak nic i nigdy dotąd. Przeżegnał się raz, potem drugi, pochylił się nad zabitym i dotknął twarzy. Była zimna. Stał jeszcze chwilę żałując, że nie zabił krawca rano, w garażu na Tarabelskiej i ostrożnie, starając się nie narobić śladów, obszedł dookoła pracownię. Na stole spostrzegł kilka studolarowych banknotów i kilkanaście polskich papierków z wizerunkiem Chopina.

Bez namysłu schował je do kieszeni i opuścił zakład. Potem usiadł na ławce i przez kilkanaście minut obserwował wejście do pracowni krawieckiej. Ludzie przechodzili obok obojętnie, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Wreszcie sam postanowił zatelefonować do komisariatu. Wstał i powoli, bacznie rozglądając się dookoła i omijając znajomych, poszedł w stronę ulicy Wyzwolenia, przy której znajdowała się poczta. Wszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer pogotowia MO.

— Komisariat, słucham! — usłyszał w słuchawce tubalny głos dyżurnego.

Gawryło wyjął z kieszeni coś, co kiedyś było chusteczką do nosa, przykrył tym mikrofon i jękając się powiedział:

— Halo! Ko-komisariat? W pra-pracowni kra...wieckiej Czyżyka jest wasz czło-człowiek. Nie żyje! Jedźcie tam prędko! — ostatnie słowa wypowiedział jednym tchem i odłożył słuchawkę.

Minał tydzień od ostatniej tragedii, a Czyżyk wciąż znajdował się na wolności. Co więcej, nie natrafiono nawet na jego ślad. W lesie Bagonica, odległym od B. o pięć kilometrów, znaleziono jedynie jego ładę. Było to jednak wszystko, czym dysponowali i czym mogli pochwalić się biorący udział w poszukiwaniach milicjanci.

Las ten natychmiast przeczesano. Dokładnie, krzak po krzaku, drzewo po drzewie. Niektórzy spodziewali się znaleźć zwłoki zabójcy. Okazało się jednak, że były to tylko tak zwane pobożne życzenia. Zresztą ci, co znali go dobrze, od razu zgodnie stwierdzili, że Czyżyk nie należy do tych, których stać na dobrowolne rozstanie się z życiem.

Zakrojone na szeroką skalę poszukiwania prowadzono dosłownie dniem i nocą. Odpowiednie komunikaty zamieś-

ciły środki masowego przekazu, z centralnymi włącznie. Major Lewicki codziennie o osiemnastej osobiście sporządzał dla komendy głównej sprawozdanie z wykonanych w ciągu dnia czynności. I codziennie kończyło się ono beznadziejnie brzmiącym zdaniem: „Mimo trwających bez chwili przerwy działań poszukiwawczych miejsce pobytu przestępcy jest nadal nie znane”.

Siódmego dnia o godzinie osiemnastej naczelnik Lewicki miał sprawozdanie niemal gotowe. Właśnie zamierzał zakończyć je zdaniem: „Reasumując, w dniu dzisiejszym również nie uzyskano informacji, która mogłaby doprowadzić do ustalenia miejsca pobytu poszukiwanego. Nadal prowadzone są energiczne działania, mające na celu zatrzymanie mordercy”, gdy drzwi jego gabinetu otwarły się gwałtownie i stanęli w nich major Szczęch i porucznik Kasperek, obaj śmiertelnie wprost bladzi, z podkrążonymi, zapadniętymi oczami. Bez słowa osunęli się na fotele. Lewicki wybiegł zza biurka, zamknął drzwi, zatrzymał się przed Szczęchem i potrząsając go za ramię, wrzasnął:

— Co się stało?

Przemknęło mu przez myśl, że Czyżyk znów dał znać o sobie, zabijając usiłującego go zatrzymać milicjanta.

Szczęch popatrzył chmurnie na niego, rozluźnił się w fotelu i jednym tchem wyrzucił z siebie długo oczekiwane słowa:

— Mamy go! Nareszcie go mamy!

Lewicki odetchnął z ulgą. Koszmar skończył się.

— Gdzie on jest?! Gdzie jest ten sukinsyn! — wykrzykiwał spoglądając to na Szczęcha, to na Kasperka. — Dlaczego nie przyprowadziliście go tutaj?

Szczęch długo nie odpowiadał, wciąż uspokajając zadyszkę. Po łysinie spływały mu krople potu. Otarł je dłonią, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Kasperkiem i powiedział:

— Gadaj ty!

Kasperek poruszył się niecierpliwie w fotelu, odchrząknął i zaczął bębnić palcami prawej ręki o oparcie. To on uzyskał informację, która, był o tym święcie przekonany, zakończy definitywnie sprawę opatrzoną wyświechtanym kryptonimem „wampir”. Z wyraźną niechęcią obserwował twarz stojącego przed nim majora. Wciąż nie mógł pozbyć się myśli, że Lewicki swoją oschłością, niechęcią do Bernackiego, sprowokował go do tak strasznie lekkomyślnego, nieodpowiedzialnego postępowania. Utwierdził się w tym przekonaniu po rozmowie ze Szczęchem.

— Na razie wiemy tylko, gdzie jest — powiedział z ponurą miną. — A ściślej przypuszczamy, że...

— Czy nie możesz wyrażać się jaśniej!? — przerwał mu impulsywnie major. — Za pięć minut muszę wysłać meldunek do biura kryminalnego! — dodał wyraźnie zawiedziony i opuścił bezradnie ręce.

Kasperek porozumiał się wzrokiem ze Szczęchem, wzruszył ramionami i mruknął obojętnie, wpatrzony w stojącą na biurku Lewickiego maszynę do pisania:

— Trzeba będzie go przeredagować!

Lewicki zrezygnowany, oklapnięty wrócił za biurko i wykręcił z maszyny sprawozdanie. Na kilkanaście sekund zapanowało milczenie. Przerwał je Kasperek:

— Dzisiaj jeden z mieszkańców B. powiedział mi w zaufaniu, że przed dziesięciu laty dwukrotnie odwiedził Czyżyka jakiś nie znany mu mężczyzna, o którym krawiec mówił później, że jest marynarzem i że podczas służby wojskowej uratował mu, to znaczy temu marynarzowi, życie. Informator sugerował, że Czyżyk prawdopodobnie przedostanie się do tego marynarza i liczy, że ten mu się zrewanżuje. W związku z tym — ciągnął patrząc pośpiesznie przed siebie — poszedłem do biura meldunkowego i na

szczęście znalazłem księgę meldunków tymczasowych z tego okresu. Facet, któremu Czyżyk miał uratować życie, nazywa się Ryszard Drabik, mieszka w Gdańsku i był w tamtych czasach marynarzem. Mam też jego adres, miejsce pracy...

— Aktualny czy z tamtych lat!? — znów przerwał mu Lewicki.

Kasperek przeniósł spojrzenie na majora.

— Aktualny! — rzekł sucho. — Koledzy z gdańskiego wydziału kryminalnego ustalili, że pływa na statku „Zamość”, jest drugim oficerem. Podali też, że „Zamość” wypływa jutro o siódmej rano z portu i udaje się w rejs do Singapuru. Jestem przekonany — urwał na moment i spojrzał na majora Szczęcha — że ten Drabik zablindował Czyżyka na statku...

— Co z nim zrobił? — zdziwił się Lewicki.

— Zablindował — powtórzył Kasperek. — Wprowadził go na statek bez wiedzy kapitana i członków załogi i ukrył w jakimś zakamarku — wyjaśnił. — W Hamburgu po cichu sprowadzi go na ląd.

— Domyślam się, że Hamburg jest pierwszym portem, w którym zatrzyma się statek w drodze do Azji. Czy tak?

Kasperek skinął głową i skrzywił się, jako że nie było to odkrywcze spostrzeżenie. Nic jednak nie powiedział.

— A ty co o tym wszystkim myślisz? — major zwrócił się do Szczęcha. — Jest to prawdopodobne?

Szczęch chwilę milczał. W zamyśleniu bawił się długopisem.

— Według mnie, Czyżyk już od kilku dni znajduje się na tym statku! — oświadczył nie podnosząc wzroku. — W związku z tym pozwoliłem sobie trochę „porządzić” twoimi ludźmi i wysłałem ich do Gdańska. W tej chwili — spojrzał na zegarek — powinni być już blisko Torunia. Dowodzi nimi major Rybiński...

— I myślisz, że uda mu się zatrzymać ten cholerny statek!? — nie wytrzymał Lewicki.

Szczęch zrobił mądrą minę, wrzucił długopis do kieszeni, potem popatrzył z ukosa na majora i oświadczył:

— Na pewno nie! Jest na to za mały!

— Więc kto ma to zrobić?

— Nie wiem. Może kapitanat portu, a może placówka gdańskiego WOP-u.

— Ktoś ich jednak musi o to poprosić! — zauważył Lewicki.

— Słusznie! — mruknął Szczęch. — Tylko kto?

Lewicki bezradnie wzruszył ramionami i zapatrzył się w okno. Było już zupełnie ciemno. Pomyślał, że tego roku jesień jest wyjątkowo ponura i że nie zapomni jej do końca swojego życia.

— A może poprosić o interwencję oficera dyżurnego MSW? — zaproponował nieśmiało. — Na pewno zna sprawę...

— Sądzę, że to nie jest zła myśl — po krótkiej chwili zastanowienia odrzekł Szczęch. — A ty co proponujesz? — zwrócił się do pogrążonego w rozmyślaniach Kasperka.

— Zabrać się szybko do realizacji tego pomysłu! — odpowiedział Kasperek i spojrzał przeciągle na naczelnika. — Powinniśmy to załatwić, zanim Rybiński dotrze do Gdańska.

— A jeśli okaże się, że tego diabelskiego Czyżyka nie ma na tym statku? — wciąż nie mógł pozbyć się dręczących go wątpliwości Lewicki. — To co wtedy?

— Przecież ci mówimy, że jest! — uspokajał go Szczęch lekko podenerwowany.

— Drabik mógł go jednak zablindować na jakimś innym statku! — nie dawał za wygraną major.

— Oczywiście, że mógł! — zgodził się Szczęch. —

Wtedy oberwiemy porządnie po uszach. Chyba nie boisz się o swoje stanowisko? — zapytał złośliwie po chwili.

Lewicki potrząsnął głową. Wyglądał na nieszczęśliwego. Musiał powziąć decyzję, lecz nadal nie bardzo wiedział jaką.

— A może by powiadomić szefa wojewódzkiego urzędu? — zastanowił się głośno, drapiąc się po głowie.

— Po co? — wykrzyknął Szczęch, porządnie już poirytowany niezdecydowaniem majora. — Przecież upoważnił cię do podejmowania decyzji w przypadkach nie cierpiących zwłoki. Również prokurator wojewódzki wydał odpowiednie postanowienie, przyznające ci ogromne uprawnienia w tej sprawie. Nie rozumiem więc, dlaczego się wahasz...

Lewicki podniósł się, zaraz jednak usiadł. Przysunął do siebie aparat telefoniczny, potem popatrzył na obserwujących go uważnie oficerów. Nigdy jeszcze nie zdejmował słuchawki z tego aparatu.

— Nie rozmyślaj, tylko bierz słuchawkę i cierpliwie czekaj, aż zgłosi się oficer dyżurny ministerstwa — zachęcał go Szczęch. — Potem ładnie zamelduj się, wyłuszczy, o co ci chodzi i poproś o pomoc. Zresztą sprawa jest tak głośna w kraju, że oficer na pewno ją zna i nie odmówi pomocy. No rusz się! Przecież nie możemy dopuścić do tego, aby morderca naszego kolegi uciekł spod stryczka.

Lewicki odchrząknął, z marynarki wyjął chusteczkę i wytarł czoło, potem przysunął się bliżej biurka i zdecydowanym ruchem sięgnął po słuchawkę.

Szczęch z Kasperkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Śledztwo wkroczyło w ostatni, decydujący etap. Niestety, mordercę ich przyjaciela przywieźć miał do L. major Rybiński, a nie oni. Im nie pozostało już nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na wiadomości z Gdańska.

Major Rybiński po raz pierwszy zatelefonował dopiero o wpół do trzeciej nad ranem. Powiadomił, że „Zamość” wychodzi w morze nie o siódmej, lecz o piątej, że już stoi na redzie i że bardzo mu tu wszyscy pomagają, a najwięcej naczelnik gdańskiego wydziału kryminalnego. Dzięki jego operatywności już ma przed sobą postanowienie o zarządzeniu przeszukania statku i zatrzymania drugiego oficera, wydane przez dyżurnego gdańskiej prokuratury wojewódzkiej. Akcja rozpocznie się najprawdopodobniej za około pół godziny po uzgodnieniu ostatnich szczegółów. Weźmie w niej udział drużyna specjalna ZOMO, która na statek przerzucona zostanie helikopterem. Zadzwoeni po zakończeniu działań, jest przekonany, że wszystko dobrze się skończy i za kilkanaście godzin będą mogli ujrzeć Czyżyka zakutego w kajdanki.

Na następny telefon czekali do siódmej piętnaście, czekali nań cierpliwie, prawie że nie rozmawiając ze sobą. Myślni byli tam, w Gdańsku, z Rybińskim i innymi, którzy brali udział w operacji. A godziny tej październikowej nocy wlokły się powoli, ślamazarnie, budząc w nich wątpliwości i zwątpienie w możliwość ostatecznego sukcesu. Toteż gdy wreszcie odezwał się telefon, zerwali się na równe nogi i rzucili się do biurka. Słuchawkę podniósł jednak Lewicki. Roztrzęsiony, blady, z mętnymi oczami zaczął wykrzykiwać:

— Tak, słucham. Proszę mówić! Słyszę cię bardzo dobrze!

Potem przez blisko dwie minuty, nic nie mówiąc, przyciskał ją z całej siły do ucha. Od czasu do czasu kiwał tylko głową, przewracając przy tym oczami i zwilżając językiem spierzchnięte usta. Wreszcie wykrztusił:

— Wracajcie jak najszybciej! Cześć! — i usiadł za biurkiem nie wypuszczając słuchawki z dłoni.

Kasperek wyjął mu ją z ręki i przyłożył do ucha. Usłyszał jednak tylko krótki, przerywany sygnał.

— Coś nie tak? — wykrzyknął z przestraczem w głosie i rzucił słuchawkę na aparat.

Lewicki milczał przez długą chwilę. Zamyślony wpatrywał się w swoje spocone dłonie.

— W porządku! — rzekł wreszcie smutnym głosem. — Sprawa pod kryptonimem „wampir” zakończona. Czyżyk nie dał się jednak wziąć żywcem. Osaczony przez naszych komandosów w kajucie Drabika, strzelił sobie w łeb.

— Bronił się? — zapytał Szczęch.

— Tak! Zranił nawet jednego z naszych ludzi. Na szczęście lekko — umilkł na moment, przeciągnął dłońmi po blacie biurka i podjął tym samym tonem: — Jeśli chodzi o Drabika, to przyznał się do zablińdowania Czyżyka na statku. Śledztwo przeciwko niemu przeprowadzi prokuratura gdańska. To tyle! Nie tak, jak byśmy pragnęli, zakończyła się ta sprawa, prawda? — spojrzał na Kasperka wyraźnie zmieszany. — Zresztą wszyscy jesteśmy trochę winni temu, co się stało — opuścił głowę i zadumał się.

Kasperek wrócił na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Z trudem powstrzymał napływające mu do oczu łzy.

— Wiem, wszystko potoczyło się inaczej, niż planowaliśmy — powiedział łamiącym się głosem. — A najgorsze, że już nigdy nie pojedę z Adamem w teren, że nie pogadamy sobie tak od serca... — urwał, machnął ze złością ręką i wstał. — Czyba dzisiaj nie będę już nikomu potrzebny!?...

Lewicki stanął przed nim. Położył mu rękę na ramieniu, westchnął i patrząc prosto w oczy, rzekł:

— Nie! I przez najbliższe trzy dni nie pokazuj mi się w komendzie. Dziękuję ci!

Kasperek pokiwał głową, potem zerknął niewidzącymi

oczyma na zastygłego w bezruchu Szczęcha, odwrócił się i bez słowa pożegnania opuścił gabinet naczelnika.

Dzień był słoneczny, ale ulice zatłoczone spieszącymi do pracy ludźmi wydawały mu się ponure i nieprzyjazne. Na Krakowskim Przedmieściu u sympatycznej starowinki kupił wiązanek różnokolorowych, wspaniałych astrów i zaniósł je na grób przyjaciela. Potem spacerował po Starym Mieście, na placu Litewskim grał w karty i w warcaby z emerytami, oglądał wystawy, wchodził na chwilę do restauracji, kupował gazety, zaglądał w oczy eleganckim, ślicznym dziewczynom i uśmiechał się do nich. Robił wszystko, aby jak najszybciej zapomnieć o wydarzeniach kilkunastu ostatnich dni.

Kwadrans przed dziesiątą zatrzymał się przed budką telefoniczną na ulicy Kościuszki. Po chwili wahania wszedł do środka, zdjął słuchawkę, nakręcił numer i oparłszy się o ścianę, z drżeniem serca czekał, czy usłyszy w niej właściwy głos. Po raz ostatni spotkał się z Ewą na początku wakacji. Od tej pory nawet nie próbował telefonować do niej. Wsluchując się w przeciągły sygnał, zastanawiał się, jak rozpocząć rozmowę. Był przygotowany nawet na to, że odeśle go do diabła.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Ewę wyraźnie ucieszył telefon od Kasperka. Zaraz na wstępie powiedziała:

— To wspaniale, że przypomniałeś sobie o mnie. A może masz jakieś kłopoty? — zatroszczyła się.

— Nie! Tylko dawno cię nie widziałem! — odrzekł Kasperek. — No i bardzo stęskniłem się za tobą! — dodał po chwili cicho.

— A więc na co czekasz!? Wsiadaj w taksówkę i przyjeżdżaj! Tylko pośpiesz się, zanim... — nie dokończyła, roześmiała się wesoło i odłożyła słuchawkę.

Kasperek wiedział jednak, co miała na myśli. Wiesząc

sluchawkę pomyślał, że Lewicki będzie musiał dorzucić mu przynajmniej jeszcze jeden wolny dzień, że wreszcie zapomni o morderstwach, przeszukaniach i przesłuchaniach, świadkach i podejrzanych i być może uda mu się też chociaż na chwilę zapomnieć o tym, że już nigdy nie porozmawia z Bernackim.



Redaktor
Jadwiga Białowas

Redaktor techniczny
Andrzej Woytowicz

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1988

Wydanie I. Nakład 99 730 + 270 egz.

Ark. wyd. 9,6. Ark. druk. 13/16.

Papier offsetowy kl. V. 70 g. 70 × 100 cm.

Oddano do składania w październiku 1987 r.

Podpisano do druku w styczniu 1988 r.

Druk ukończono w lutym 1988 r.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne w Lublinie, ul. Źnicka 4.

Zam. nr 1772/87 Z-7.

„Po krótkim namyśle postanowiłem zobaczyć się z nią. Chciałem jej powiedzieć — umilkł na chwilę — że zdecydowałem się na rozstanie z żoną. Drzwi były otwarte. Cicho, starając się nie narobić hałasu w ciemnym przedpokoju, wszedłem do sypialni. I wtedy ją zobaczyłem. Leżała na tapczanie, na wznak, z nożem w piersi. Niewiele myśląc chwyciłem ten nóż, zacząłem ją ratować. Niestety. Hanka już nie żyła. Przerażony wybiegłem z mieszkania — znowu zamilkł na kilkanaście sekund. — Potem przez pół godziny — podjął beznamietnym głosem — chodziłem po mieście. Zastanawiałem się, czy dobrze uczyniłem, nie powiadamiając milicji o zbrodni.”
